# TĘCZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

## WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

TOM III.



WARSZAWA.

1838.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

# TĘCZA.

Choć walki o pierwszeństwo ze słońcem nie toczy,
Ale miłemi barwy wdzięcznie bawi oczy.

## A Z I M.

*(Z rossyjskiego.)*

Szach Azim, w kwiecie młodości, prawem następstwa zasiadł na tronie perskim. Przyrodzenie nie szczędziło mu swoich darów; jaśniał on najpiękniejszemi przymiotami, jakie mogą zdobić człowieka, i całe jego postępowanie okazywało, że będzie dobrym monarchą. Czysty i zdrowy rozsądek, stałość, bogobojność, wstrzemięźliwość i wszelkie zalety, słodką poiły nadzieją serca poddanych. Nadzwyczajna piękność, będąca dopełnieniem jego doskonałości, zwracała oczy mężczyzn, a częściéj jeszcze uwagę niewiast.

Objąwszy stér rządu, Azim z niezwykłą okazałością pochował ojca, serdecznie go opłakiwał,

wzniósł marmurowy pomnik na jego pamiątkę, nakazał grubą żałobę całéj Persji, a potém zajął się sprawami państwa. Podług zwyczaju czcigodnych przodków swoich zajął się między innemi urządzeniem haremu; starsze kobiety szczodrze udarowawszy wypuścił na wolność, i młode wydał za mąż za Paszów i Emirów bez żadnego przymusu, stosując się w tém do ich własnéj woli.

Urządzenie nowego haremu nie było poruczone nieczułemu Eunuchowi, lecz Emir Achmet, rozsądkiem i przymiotami duszy zalecający się, był do tego przeznaczonym; ważne usługi dawniéj wyświadczone Azimowi zjednały mu ufność Szacha, i wyniosły na dostojność Wezyra. Prawdziwie wyznać należy, że co do wyboru piękności, nikt lepiéj od Achneta nie znał Persji, przyległych jéj krain, a nawet Europy, gdzie bywał niekiedy handlując szalami.

W krótkim czasie, ze wszystkich stron świata, jak stado pstrych ptasząt, które na wiosnę zlatują się do naszych ogrodów, piękności tłumami gromadziły się w mury seraju. Jedne z nich tęskniły do rodziny, do kochanków, do miejsc pamiętnych, gdzie przebywały w niewinném dzieciństwie gdzie rozkwitła ich młodość, gdzie może poprzednio namiętny, pałający młodzieniec, z bojaźnią i nadzieją pierwszy raz ścisnął rękę zarumienionéj dziewicy. Te pogardzały blaskiem i przepychem, nie cieszyła ich wielkość. Z tęsknotą wspominały o

strumykach i dolinach, będących świadkami ich szczęścia, i ciężkie westchnienia wznosiły ich piersi. Inne, nie smucąc się zamknięciem, wśród murów i krat, poiły się radością swego przeznaczenia. Tam czarodziejska Gruzjanka, oddychając ambrozją, w obłoku dymów aromatycznych, spoczywa na axamitnéj sofie, wolno rozpuszcza długie włosy, i z upragnieniem oczekując Azima, bawi się z ulubioną papugą. Oświeżona srebrnym wałem wodotrysku, ognista dziewica Hellady, wzdycha do skał majnotskich, gdzie na europejskim brzegu ukazał jéj się pasterz, obraz Endymiona; kryształowa łza zrosiła jéj piękne niebieskie oko.

Dumna dziewica Albionu gniéwa się na zapory, niezdolna pojąć, dlaczego jest tak strzeżoną, i zajmująca bladość jéj lic pokrywa się rumieńcem niezadowolenia, przy każdém spojrzeniu na kraty haremu. Jéj surowa skromność, i dumny uśmiech, zmiękczył piękny władca; jéj pieszczony wzrok mimowolnie zatrzymuje się na Azimie, gdy on uzbrojony dzirytem, pędzi na arabskim rumaku, prześcigając wiatry i unosząc za sobą tumany pyłu. Świątynia Benaresa przysłała Szachowi córkę Bramy: oczyszczona świętą wodą Gangesu, nie jest przystępna ułomnościom, a tém mniéj grzechom człowieka. Żółto-płomieniste odzienie obejmowało jéj wciętą kibić, woniejące włosy przesnute były jasminem, pierś ozdobiona

kwiatem cynamonu, opaski z pereł otaczały jéj obnażone ręce. Błyskając namiętném spojrzeniem, wyśpiewuje pieśń miłosną o Bramie. Nadobna Bajadera uderzając w lutnię, pląsa około przejrzystéj krynicy, i z uśmiechem przegląda się w zwierciadle wód. Złocista, na palmach wzniesiona wieżyczka, odbija jéj dźwięczne śpiéwy. Lecz któż opisze wszystkie piękności, tak roskoszne i tak rozmaite, jak kwiaty równin Kaszmiru? Kto opisze wdzięki huryss Mahometa? Smiertelnik olśniony ich blaskiem, nie śmie wierzyć swemu wzrokowi; szczęśliwy, jeźli na wieki zdoła zachować w swéj duszy nieskazitelny ich obraz.

Wojska perskie zebrały się pod Bagdadem, i rozłożyły się nad Tygrem, naprzeciw brzegu nieprzyjacielskiego; połączyli się z niemi Bagdadczycy, pod wodzą Arsałana, którego Szach osypał pochwałami i nagrodami, i którego całe wojsko witało jak bohatera. W nocy Azim przeszedł rzekę po bagdadzkim moście, a ze świtem, Turcy ujrzeli na obszernéj równinie armję perską w bojowym szyku. Dowodzący Wezyr, wzmocniony świeżemi posiłkami, umyslił zakończyć wojnę jednem natarciem; a choć najczęściéj przegrywał bitwy, zawsze jednak był ufny w opiece Mahometa, i nie wątpił o niezawodném zwycięztwie. Zresztą był to jedyny sposób ocalenia jego głowy, którą mu zdjąć już nieraz pragnęli carogrodzcy janczarowie; obawiał się sprawiedliwego

gniewu Sułtana Amurata, dotąd mu pobłażającego. Nie było się nad czém zastanawiać. Wezyr wyszedł z okopów, i rozwinął naprzeciw Persów niezliczone swe pułki. Za danem hasłem, oba wojska, jak dwie czarne chmury, starły się z sobą. Wkrótce dwa nieprzyjazne narody, ocienione kurzawą i dymem działowym, wśród okropnych błyskawic i gromów, zmięszały się z sobą na podobieństwo burzliwego oceanu, rozjątrzonego wściekłemi wichrami.

Przed samym początkiem bitwy, gdy Szach już dosiadł konia, przedstawiono mu młodzieńca. Wiosenna świeżość igrała na jego obliczu; ogniste oczy jaśniały z pod długich rzęsów, gdy wzniósł śmiały wzrok na Azima. Przybrany był w odzież turecką; pod ciężarem białego zawoju zwieszała się jego głowa, jak rozkoszny kwiatek napojony rosą poranka. W ręku miał łuk arabski, na barkach kołczan, u boku wisiała zakrzywiona szabla; pierś jego wzdęta od utrudzenia, pokryta była łuskowym pancerzem; za nim postępował wrony koń, lekki i rzeźwy, jak wiatr pustyni arabskiéj. Szach był zachwycony młodością i pięknością przybyłego.

— Kto jesteś? kto są twoj rodzice? ja wrócę ci wolność, rzekł do niego z dobrocią.

— Wspaniałomyślny władzco wiernych! ja nie jestem niewolnikiem: jedyném mojém życzeniem, jest mieścić się w liczbie sług twoich.

Oczy z dziecinną ufnością zwrócone na Szacha, spuścił na ziemię, i można w nich było dostrzedz łzę radości.

— Jak się nazywasz?

— Nazywam się Sejd; rodzice moi wyznawali religję chrześcijańską; śmierć już ich dawno zemną rozłączyła!.. ja wychowany jestem w wiemrze Mahometa... Amurat kazał ściąć głowę Paszy, mojemu dobroczyńcy, zniszczył i zagładził cały dom jego. Ukrywałem się w lasach, a teraz uwielbiam Proroka, że mi dał sposobność stawienia się przed obliczem Najjaśniéjszego Szacha Azima. Młodzieniec złożył na krzyż ręce, skłonił głowę, i żywy rumieniec ubarwił jego piękne lica.

— Dosiądź swego rumaka, i bądź przy mnie, rzekł Azim.

— Wielki Monarcho! rzekł z cicha Wezyr Achmet; czy nie obawiasz się zdrady?

— Zdrady! odpowiedział Azim, wskazując na Sejda: ja w oczach jego czytam, że onby dla mnie poświęcił życie swoje. Spiął konia, i puścił się przed walczące szeregi, gdzie jednak nie pospieszył za nim ostrożny Wezyr.

— Częstokroć traci głowę nasz Szach! mówił z niechęcią do kilku, którzy z nim zostali; wierzy każdemu! Ja kazałbym najprzód wybadać tego chłopca, a potém dopiero zaszczyciłbym go godnością Jezoglana.

Azim wśród wojennéj wrzawy, jużto orlim wzrokiem rozpoznaje stanowiska nieprzyjacielskie, i skinieniem ręki wydaje rozkazy licznym zastępom, już sam przywraca porządek w łamiących się szykach, zachęca do bitwy piechotę osypaną kulami i kartaczami; albo z dzikiemi pokoleniami pustyń, których długą włócznią, giętki bambus indyjski, których stalowe szyszaki barwią się różnofarbnemi piórami, których piersi, a nawet konie są zbrojne pancerzem, wdziera się w szyki Ottomanów; koń jego dyszy ogniem, miecz błyska, i jak grom uderza... On jak wicher przesuwa się nad trupami; za nim ślad krwawy, a przed nim przestrach i śmierć! Nieustraszeni Mamelucy, Spahowie, buńczuczne Janczary, wszystko to drży i szuka ocalenia w sromotnéj ucieczce. Gdzie Azim, tam zwycięztwo; tuż za nim ciągle Sejd, wierny paź jego, lotem błyskawicy wypełnia jego rozkazy. Szach ani myśli o niebezpieczeństwie, jakie go otacza, lecz Sejd nie spuszcza z niego oka: zasłania go od strzałów, odbija ciosy; dla ocalenia Szacha, gotów swe życie poświęcić. Arsałan z Bagdadczykami podobnież ciągle był czynnym, mężny i stały, wydawał rozkazy jak dowódzca, i walczył jak prosty żołnierz. Słońce nachyliło się ku zachodowi; a Turcy, zostawiwszy pole bitwy zwycięzcom, spiesznie cofnęli się ku okopom.

Szach wspaniale obchodził swoje zwycięztwo; zdawało się, że ono spokrewniło go z wojskiem. W każdym żołnierzu widział świadka swoich czynów, i nie obawiał się poniżyć swojéj godności przez przyjacielskie obchodzenie się z każdym. Któżby za niego nie poświęcił życia? Widziano w nim monarchę, ojca i bohatera. Tymczasem młody Sejd, równie waleczny jak piękny, coraz większe zyskiwał zadowolenie Azima: Szach nie mógł się obejść bez przyjemnego młodzieńca. Nikt ani lepiéj, ani prędzéj nie czyścił broni Szacha, nikt sztuczniéj nie układał jego zawoju, nikt zręczniéj nie prowadził konia, i Azim czuł nadzwyczajną przyjemność, gdy ręka Sejda przytrzymywała mu strzemię. Młodzieniec odgadywał i uprzedzał wszystkie jego chęci. Całe wojsko mówiło o pięknym paziu; lecz Sejd dla wszystkich był zimny i milczący. Krótko odpowiadał na pochwały towarzyszów, nie miał udziału w ich szumnych biesiadach; lubił samotność, i często wschód słońca zastawał go na skałach Tygru, albo wśród gęstych jaworów.

Teraz dopiero, burza z dawna wisząca nad głowami walczących, w całéj okazywała się sile; zaraza w obu wojskach z nieopisaną gwałtownością rozszerzać się zaczęła, spustoszenia jéj były okropne, tysiące w ciągu dnia padały, rycerze zapomnieli o swoich zabawach, a nawet codziennych zatrudnieniach, wszędzie rozlegały się jęki

chorych, którzy, bez posiłku i pomocy, samym sobie zostawieni byli; żyjący nie mogli nadążyć chować umarłych, ciała ich tysiącami w Tygr rzucać byli przymuszeni. Wojenne męztwo, przyjaźń, a nawet uczucia ludzkości ucichły; zdrowy jeszcze, odbiegał złożonego niemocą brata, chcąc przez to własne ochronić życie. Dotknięci zarazą, wśrod okropnych mąk dręczeni pragnieniem, naprożno błagali o kroplę wody, a nie mogąc jéj wśród pustyń otrzymać, wybiegali z namiotów, kryli się wśród skał, gdzie ginęli od głodu albo dzikich zwierząt; inni rzucali się w Tygr, i w spienionych jego wałach znajdowali ostatnią ulgę, koniec wszystkich cierpień, dobroczynną śmierć.

Bezwzględna na gorące modły, które wierni do Mahometa zanosili, nielitościwa zaraza już się zaczęła po okolicach rozszerzać, i to zmusiło Azima do odwrotu w kraj własny, gdzie wszyscy tęsknili za nim. Po drodze widział straszne zniszczenia ślady...

Boleść rozdzierała serce Azima; z męzką jednak stałością znosił niedolę, dotykającą kraj jego, i z równym jak w boju zapałem zajmował się sprawami państwa.

Pałac, który zamieszkał Azim wraz z swoim dworem, leżał za miastem. Bystra rzeczka przerzynająca przyległą mu okolicę, płynęła równo odległe od poblizkiéj drogi do pałacu wiodącéj, ocienionéj po obu stronach palmami i drzewami po-

marańczowemi, tworzyła na przyległéj dolinie obszerne przejrzyste jezioro; po lewéj stronie marmurową zaporą wstrzymywane wody jeziora, zwolna odpływały, tworząc kryształowy wodospad. Szumiący potok, rozbijając się o kamienie, swawolnie przerzynał zielone łąki i piasczyste równiny: to krył się w cieniu kasztanowego gaju, to znów wypływając, osnuty aksamitną zielonością brzegów, zbliżał się blaskiem do nieba Gulistanu. Na niezmierzonéj przestrzeni rozsypane chaty i wioski, zajmującą tworzyły sprzeczność z kłębami dymu, w pogodny wieczór nad Ispachanem unoszącemi się, z pośrodka których przebijały się ołowiane minaretów szczyty. Niektóre części tego czarodziejskiego obrazu jeszcze były oświecone promieniem zachodzącego słońca, inne już spoczywały w cieniu. Przeciwny brzeg jeziora najeżony był wysokiemi wzgórzami; w oddaleniu można było dojrzeć czerniące się skały, o które się głucho obijał śpiew ptasząt i miły szmer strumyków. Ogrody ozdobione były okazałemi budowlami: tu jaśniała biała marmurowa galerja, tam dumnie się wznosił pomnik dawnych zwycięztw, granitowy obelisk, tu pod zwieszone ramiona płaczącéj wierzby tuliła się smętna urna grobowa, tam w oddaleniu ogromne kolumny dźwigały wytworny szczyt świątnicy, ocienionéj kasztanowemi drzewami, albo niekształtna ruina, napiętnowana szanowną starożytności cechą, wznosiła swą mchem

pokrytą głowę nad inne okoliczne pomniki. Czarowny widok przedstawiały róże, anemony, goździki, helistropy i pyszne lilje, rozsiane po zielonych kobiercach, ozdobne kryształową łezką fontanny. Wysmukłe palmy, wonne mirty, okazałe cedry objęte miłosnym winogradu ramieniem, rozlewały w około miły aromatyczny zapach. W ich dobroczynnym cieniu jaśniały portyki i kopuły wspaniałych gmachów Azima, pokryte wytworną rzeźbą, marmurem i złotem, a odbijając swój blask płomienisty w zwierciadle powierzchni jeziora, przejmowały widzów niedocieczoném, uroczém zajęciem.

Z spuszczoną głową i założonemi rękami przechadzał się po zacienionéj alei smutny Szach Azim; nie zajmował go już ani monarszy przepych, ani urocza przyrodzenia piękność, był głuchym na dźwięczne pieśni śpiewaka róży, z gorzkim uśmiechem spoglądał na błyszczące łódki żon jego, przerzynające powierzchnią jeziora. Azim zapomniał o swoim haremie, chociaż dotąd jeszcze nie miał wcale następcy, tak go wyłącznie tylko sprawy państwa zajęły. To też po części powiększało jego tęsknotę i smutek, że wszyscy ulubieńcy byli oddaleni od niego. Achmet z utrudzenia, niecierpliwości i obawy, którą go przejęła morowa zaraza, ciężko zachorował, Arsałan był w Bagdadzie, a Sejda wysłał z ważnemi poleceniami. Dręczony smutkiem, z ściśnionem sercem przecha-

dzał się Szach nad wodą, gdy nagle myśli jego przerwane zostały, niezwykłém w ogrodach haremu zdarzeniem: obok niego przemknęła się dziewica z odkrytą twarzą, odziana na podobieństwo Nimfy, a rzuciwszy mu różę, skryła się w palmowéj gęstwinie. Piękność tak działa na mieszkańca Azji, jak iskra na proch. Azim zadrżał z radości, myślał bowiem, że Mahomet przysyła mu jedną z swoich hurysek, pobiegł za dziewicą, lecz ona uciekała z lekkością sarny z wzgórza na wzgórze, z krzaku w krzak, to znikała, to pokazywała się znowu, jaśniejąc pięknością, czarując wdziękiem. Niekiedy, wstrzymawszy się nieco, mile Szacha wabiła ręką, spojrzeniem, rzucała do niego kwiatami, pryskała wodą kaskady, i — znikała znowu. Dziewica pokazała się za szerokim potokiem, na wzgórzu, pod cieniem rozłożystego jaworu: skinieniem ręki kazała mu się zatrzymać, a zachwycony jéj wdziękami, Szach stał się rozkazom posłuszny. Nieznajoma rozpoczęła niezwykły taniec: unosi się jak lekki zefir po miękkiéj murawie, ledwie trącając rosnące kwiatki maleńką nóżką, a pierś, jak śnieg biała, wznosi się i drży, wzrok jéj pali, a usta wioną ogniem miłości, nakoniec zatrzymuje się, aby spocząć.

Azim płonął miłością. Wtém nieznajoma zrzuca przepaskę z głowy, i czarne jéj włosy spadając aż do ziemi, jak welon okrywają dziewicę. Znów rozpoczyna taniec, — w jednym punkcie o-

kręca się coraz prędzéj, coraz prędzéj! Lica niebianki, to znikają w chmurze włosów, to ukazują się żywym przeświecone rumieńcem; jak młode, poranne słońce, rozpędzając chmurne zasłony jutrzenki, wypływa na widnokrąg. Obnażone ramiona, alabastrowe ręce roskosznie się opuszczają, i wabią szczęśliwego śmiertelnika do tchnących miłością piersi, do niebezpiecznego serca. Azim zachwycony, już nie jest panem siebie samego, rzuca się w potok, lecz dziewica uchodzi w cienie jaskini, jak jaśniejący meteor przepada w ciemnościach nocy, jak promień nadziei niknie w przepaściach wieczności.

Azim przebiega krzaki, zarośle pieczary, zwołuje Eunuchów, straż, pyta każdego o nieznajomą, rozkazuje szukać ją wszędzie, lecz nikt nic nie wie, i wszelkie usiłowania są bezskuteczne. Niektórzy myśleli nawet, że Szach rozum utracił; lecz te domysły każdy przed sobą starał się utaić. Noc wszystko przerwała, i w głuchą pogrążyła spokojność cały seraj. Tylko Azim w swoim pałacu nie mógł się uspokoić, sen unikał zmordowanych powiek jego, lekkie marzenie już mu przedstawiało miły obraz, wyciągał ręce i przyciskał do łona swego czcze, zimne powietrze. Napróżno rzucał się na aksamitném swém łożu, i przyciskał miękkie okrycie do strudzonych swych piersi, szukał spoczynku; lecz spiekłe, w pół otwarte usta, mimowolnie wołały nieznajomą. Wstał

z pierwszym promieniem wschodzącego słońca, i udał się do ogrodu; potrzebny mu był chłód ranny. Wezyrowie w zwykłym czasie przyszli z ważniejszemi sprawami państwa; lecz się nie mógł niemi zajmować: cierpiał zawrót głowy, myśli mięszały mu się, i nie zdołał między niemi żadnego znaleźć związku; wszystko jak przez mgłę widział. Azim upadając pod ciężarem smutku, który głębokie wyrył ślady na jego pobladłém licu i zmienionych oczach, odłożył wszystkie sprawy państwa do dnia następnego. Cały dzień błądził po ogrodzie, przysłuchiwał się najmniejszemu szmerowi, każde poruszenie listka zwracało jego uwagę, długo stał na brzegu potoku, przechodził koło jaworu, i położył się dla spoczynku w pieczarze; dziewicy nie było. Na trzeci dzień podobnież. Szach stał się bezczynnym, ponurym, niecierpliwym, cały dzień przepędzał w ogrodzie, chociaż już stracił nadzieję, ujrzenia kiedykolwiek swéj nieznajoméj.

Pewnego razu wieczorem, gdy wracał do swego pałacu, słyszy przyjemny głos, wymawiający jego nazwisko: Azim! Azim! — Dźwięk tego głosu przejął go do duszy. Obéjrzał się, i widzi za kaskadą dziewicę, tęż samą co przed kilką dniami. Szach rzucił się ku niéj z ognistym zapędem wskrzeszonéj nadziei, lecz dziewica jak pierwéj ukryła się w pieczarze, i Azim długo jeszcze słyszał dźwięczną jéj pieśń o roskoszach miłości.

— Okrutna! zawołał Azim, czyś dobrym, czyś złym duchem, musisz znać moje uczucia, a jednak szydzisz ze mnie! — W największym gniewie, i zarazem z najżywszą w sercu miłością nieszczęsny Azim opuścił ogród. Przez kilka dni wcale tam nie uczęszczał, wstydząc się swojéj słabości. Chciał się zająć sprawami państwa, lecz nie mógł; pojechał na łowy, lecz zamiast jelenia, zastrzelił ulubionego psa. Powrócił z większém niż przedtém niezadowoleniem, wziął się do czytania; lecz poezje, z rozkazu Szachów złotemi literami pisane, nie zdołały go zająć. Usiłując zapomnieć o nieznajoméj, z przyjemnością wystawiał sobie w myśli jéj obraz. Nakoniec cierpienia uspokoiły się; seraj był mu jednak za ciasnym, nieodgadniona siła i skryte przeczucie, wabiły Azima do mirtowego gaju: pewnego razu, spostrzega wśród gęstych krzewów, zwodniczą dziewicę, osypaną kwiatami, jak spoczywa w spokojnym śnie pogrążona, budzi ją tysiącem pocałowań... Dziewica już mu się wymknąć nie mogła. Lecz któż jest ona? kogóż on w niéj poznaje? — Tę piękną istotę, która płonąc miłością ku niemu, ukazała mu się w postaci Sejda, pod Bagdadem.

# WIDMO MORSKIE.

— Willy! Willy!

— Jęstem bracie Jack!

— Pójdź tu, i oprzéj się na kotwicy, ja się do ciebie spuszczę.

— Tu jest dość miéjsca dla nas obu.

— Cicho, nie trzeba głośno mówić, bo nas usłyszą. Widzisz te ciemne postacie na sztabie? To kapitan i sternik, oni nas słyszeć nie powinni.

— Ach, Jack, głodny jestem, a co gorsza, pragnienie mię dręczy okropnie! Gdyśmy jeszcze w domu byli, wyszedłem podczas silnego deszczu; przemokłem wskróś i zawołałem: Przeklęty ten deszcz! Bóg zapewnie karze mię tém pragnieniem za to, że przekląłem wtedy słodką wodę.

— Przestań bracie, przestań kochany Willy! Musiemy oba wytrzymać. Pod jednem sercem spoczywaliśmy, w jednéj godzinie ujrzeliśmy światło dzienne, w jednéj godzinie nie czuły nasz ojciec, opuścił biédną naszą matkę, która dzień i noc płakała, aż wzrok utraciła. Słyszeliśmy to od niéj nieraz, i nigdy tego nie zapomniemy.

Czy wiesz ty jeszcze, co jéj konającéj przysięgaliśmy?

— Nic nie wiem, tylko, że pić mi się chce okropnie! Prędko dostaniemy naszą małą cząstkę.

— Dopiéro za siedm godzin. Chciałem ukraść dla ciebie kilkanaście kropel, ale kapitan ma u siebie na szyi, na żelaznym łańcuszku, klucz od ostatniéj beczki. Wszystko omdlewa z pragnienia w téj przeklętéj pustyni; spojrzyj tylko na gwiazdy, jak ciemno i smutnie one świecą, zdaje się, że blask postradały. Całe morze południowe ziaje, i pragnie kropli deszczu; jak konający leży bez poruszenia. Już sześć tygodni nie ruszamy się z miéjsca. Musi wielki grzesznik znajdować się na naszym okręcie, dla tego Bóg nas bez ratunku zostawia. Ha! jak złowróżba jest tu cisza na morzu.

— Nie wytrzymam, Jack! skoczę w wodę, i dam się połknąć jakiemu rekinowi!

— Nie, Willy! głód jest silny, pragnienie silniéjsze, ale nadzieja najsilniéjsza. Bracie! ja jeszcze mam nadzieję.

— Boże nam pomóż! co to jest? patrzno bracie Jack, tu, na przodzie, nad sztabą, widzisz ten czarny obłok? posuwa się w tę i w ową stronę, można go przéjrzeć, okropnie wygląda.... ja się boję!

— Nie bój się bracie! jesteśmy dobrzy chrześcijanie! Przeżegnam, ustąp złe! nie znika, powiększa się, biada nam! co to jest?

— Wiem już, to jest widmo morkie! Stary jeden majtek mówił mi o niém, ale ja go na boku wyśmiałem razem ze wszystkiemi duchami. Teraz ono przychodzi tu, aby zjeść nas obu; to jest kara za mój śmiech!

— Czy to prawda, że teraz gorące lato, i że jesteśmy na morzu południowém, bo mnie zimno! Snu! jak mi ciężą powieki, daj mi spać!

Dwaj bracia zasnęli.

---

Na pokładzie w tyle okrętu przechadzał się kapitan i sternik, jeden z prawéj drugi z lewéj strony.

— Czy dosyć jeszcze wody w zapasie, Blank? zapytał kapitan.

— Co się mnie pytacie? odmruknął sternik, klucz od ostatniéj fassy nosicie na szyi, musicie za tém lepiej jak ja to wiedzieć.

— Nie uważałem ostatnim razem; ale pójdę teraz zobaczyć.

Sternik zastąpił mu drogę, i uchwycił go żelazną ręką.

— Nie bezemnie i nie bez wszystkich tych, którzy są na pokładzie, i mogą jeszcze chodzić. Możecie kraść djamenty gdzie tylko chcecie, łatwiéj wam to będzie przebaczone, jak tutaj kradzież jednéj kropli wody.

— Pojdźmy sami, przyjacielu Blank, jeden łyk dla mego płonącego gardła, ty możesz dwa się napić, prócz tego, jest jeszcze półkwaterek araku tym się z tobą podzielę.

Sternik położył rękę na ramieniu kapitana, i spojrzał mu ostro w oczy.

— Szesnastu ludzi wypłynęło z wami na morze, i tu najokropniéjsze nieszczęście nas dotknęło. Wy i ja stojemy tu dwaj, chłopcy włóczą się tam oto, pięciu leży chorych czekając co godzina szczęśliwego wybawienia, inni woleli prędko umrzeć, i skoczyli w morze. Nam pozostałym to samo wypada uczynić, albo ciągnąć losy kogo mamy zabić, aby jego krew pić i jeść jego mięso. To okropnie!

— A niechby tak było, jesteśmy panami, i będziemy mogli zostać do końca! Niech sobie natychmiast umrą, co nam to szkodzi? dla nas dwóch na ośm dni jeszce zapas wystarczy. W ośmiu dniach może się wiele odmienić, może deszcz padać, i pomyślny wiatr jaki okret przypędzić, nie mamy się o co troszczyć!

— Kapitanie jesteś potworem, a kara niebios zbliża się, idzie za twemi zbrodniczemi myślami, już zbliża się do okrętu, widmo morskie wzrasta co chwila. Szczęśliwy kto może duszę swoją Bogu polecić.

— O tak, szczęśliwy wyjęknął kapitan, i wlepił błędny wzrok przed siebie.

— Za wiełe popełniliście występków, mówił daléj sternik, ale ja wam ich liczyć nie będę. Wasze oko nie byłoby mię nigdy widziało, ale przyjmując służbę na okręcie nie wiedziałem że wy tu pod innem imieniem jesteści. To duch mojéj siostry, Anny, pokazuje się wam w téj chwili, i dręczy wasze sumienie!

— Ciężko obraziłem twoją siostrę, czuję to! żałuję i pragnę złe naprawić. Ożenię się z nią i wrócę jéj cześć przed światem,

— A gdziesz spodziewacie sie ją znaleść? Kiedy została przez was opuszczoną, i powiła dwóch synów, matka wypędziła ją od siebie, i sąsiedzi palcami ją wytykali; jednéj nocy oddaliła się ze wsi, a nawet z hrabstwa, i odtąd nikt o niéj nie wie. Dawno już bez wątpienia spoczywa w chłodnéj ziemi. Ale chociażby i żyła, dla was ona jest umarłą, usta jéj niewymówią dla was przebaczenia, zgryzoty pozostaną wam na wieki.

— Patrzcie na to widmo, sterniku Blank! rośnie i rośnie co chwila; wygląda zupełnie jak słup dymu. Musi być ogień na okręcie! Do czarta z twoją siostrą i jéj przebaczeniem! Idźcie oto na sztabę, zobaczyć, czy nie dojrzycie gdzie śladu ognia.

— To idźcie sami, jeśli chcecie sobie palce poparzyć. Kogo Bóg, tak ciężko jak nas dotknie, ten zapomina wszelkich ludzkich praw. Idźcie swoją drogą kapitanie, a gdy się rozłączemy, pe-

wien jestem, że drogi nasze nie zéjdą się nigdy, bo mam nadzieję, że wy prędko dostaniecie się do piekła.

---

— Willy! Willy! obudź się!

— Daj mi spać, nie mogę otworzyć oczu, bo widzę zaraz straszne widmo, unoszące się nad nami. Od czterech dni okropnie powiększyło się. Ono pasie się temi co na okręcie pomarli; daj mi spać.

— Nie powinieneś! Jeśli tak ciągle spać będziesz, nie zdołasz potém wcale oczu otworzyć; będzie to snem wiecznym dla ciebie.

Głośny dźwięk obił się od powierzchni morza, Willy podniósł głowę i spojrzał błędnie na brata.

— Co to jest? zdaje mi się, że wikary naszéj wsi, kazał na mszę dzwonić.

— Nie, to nasz sternik, bije w dzwon okrętowy, bo właśnie ostatniego chorego wrzucił w morze. Teraz nas tylko czterech. Oto, w téj chwili trup znikł w otchłani, to Toms.

— Szczęśliwy! ach jak gorąco słońce pali. Zamknę oczy.

— Nie zamykaj! nabierz odwagi! oto sternik woła nas, dziś ostatni raz dostajemy wodę!

— Wodę!

Willy zerwał się i spojrzał do koła. Sternik trzymał napełnioną miarkę w ręku.

— Dał znak, abym przyszedł, nie mogę iść! nogi się chwieją podemną.

— Ja ci przyniosę, zawołał Jack, i pobiegł.

Gdy wróił, Willy przycisnął rękę brata do pałających ust swoich, i potem połknął słodki napój.

— Ach jak to chłodzi, Boże dzięki ci! To już wszystko? Ani kropli więcéj! I to był ostatni raz? nigdy już więcéj pić nie będziemy? O mój Boże! Nigdy!

— Tak! zawołał Jack, i patrzał na brata z nieopisaném wzruszeniem, tak, będziesz pił raz jeszcze!

Wyrwał mu miarkę, odebrał swoją część, i wrócił z nią do brata. Ale w drodze osłabł, zachwiał się, i upadł z tym nieocenionym skarbem, który w jednéj chwili pociekł po rozpałonym od słońca pokładzie. Bracia rzucili się nań i silnie przycisnęli usta do zmoczonego miéjsca.

— Teraz umieraj! umieraj Willy! Nie mogę cię już dłużéj wspierać, nawet pocieszać cię już nie jestem w stanie! Chcę umrzeć z tobą razem! Oh! jeśli w niebie jest chłodne źródło, jak tam miło być musi.

Obaj bracia objęli się rękami, w nadziei, że tak zakończą życie.

— Sterniku Blank! pójdźcie no tutaj!

— Czego chcesz kapitanie?

— Patrz, jak szeroko rozciągnęło się widmo! Już większą część okrętu zajęło, wkrótce ogarnie cały, i wtedy będziemy pochłonieni. Ja nie chcę jeszcze zginąć!

— Polećcie Bogu duszę waszą kapitanie, a będziecie spokojnie jak ja, czekać śmierci.

— Śmierci! głupstwo! Niech tylko słońce zajdzie, będziemy deszcz mieli, i nie umrzemy. Słuchajcieno! mam dziwny zamiar, zastrzelę to widmo. Można trąbę morską zastrzelić i pozbawić siły, dlaczegóżby takiego dymu, mgły, zniszczyć nie można; głupstwo! szaleństwo! muszę to straszydło odpędzić.

Jesteście twardym, zakamieniałym grzesznikiem! Czyńcie co chcecie, ja gotuję się do odejścia! Widmo pomści się wkrótce, a ja i moi młodzi towarzysze, nie otworzemy już oczu.

Kapitan z olbrzymią siłą, wykręcił działo okrętowe, i wycelował prosto ku czarnéj mgle, wiszącéj nad okrętem, potém, podsypał prochu na panewkę, i palącém szkłem zgromadził promienie słońca na zapał.

W mgnieniu oka działo wystrzeliło, kula świszcząc poleciała nad pokładem, okręt, który od sześciu tygodni stał nieporuszony, zadrżał, i wzruszył gładką powierzchnią wody. Ale widmo nie zmieniło postaci, tylko opadło niżéj na okręt.

— Jeszcześ tu, piekielna poczwaro! zawołał kapitan. Na pomoc! — czerni mi się w oczach — Nic nie mogę rozróżnić. Kto to wychodzi z pośród téj nocy, i dumnie na mnie spogląda? Jakaś kobieta z dwojgiem dzieci na ręku! To moje dzieci! Anna Blank!!! czego żądasz Anno?

— Dajcie pokój umarłym! krzyknął sternik, spoglądając gasnącemi oczyma.

— Nie mogę! zbliża się do mnie, chwyta mię skościałą dłonią! Anno Blank, ulituj się!

— Kto tu woła mojéj matki? zapytał Jack drżącemi wargami, i zbliżył się, trzymając zwłoki brata.

— Wielki Boże! krzyknął sternik, a kapitan wyjąkał:

— Któż ty jesteś?

— Ja jestem Jack, a to mój brat Willy, synowiec nieszczęśliwéj Anny Blank z Betford w Exetershire. Umieramy przez zbrodnią naszego kapitana! przekleństwo jemu za śmierć mojego brata i moję.

— To jest Boska sprawiedliwość! rzekł konający sternik. Tu moje dzieci, tu, do nieszczęśliwego brata Anny; zostawcie waszego występnego ojca, samego, z sumieniem tylko. Już po wszystkiém.

Głęboka, niema cisza, panowała w około, nie słychać było żadnego oddechu ani jęku; widmo groźnie wisiało nad okrętem. Z zapadającém

słońcem, spuszczała się i mgła czarna coraz niżéj i niżéj, i objęła okręt olbrzymiemi ramiony. Noc wszystko pokryła swojém milczeniem.

Z następnym porankiem, chłodny wiatr obudził drzémiące wody, i z spuszczonego obłoku deszcz wylał się potokami.

Okręt znikł pod wodą.

# CIERPIENIA

## PORZĄDNEGO CZŁOWIEKA.

(z Angielskiego.)

August Minns był kawalerem, podług swego obrachowania miał lat 40; a podług zdania znajomych 49. Był on zawsze porządnym, punktualnym, wyrachowanym; był to żywy zegarek, którego mechanizm nigdy się nie psuł, i którego jednostajność, nigdy nie doznała zmiany. Któż kiedy dostrzegł pyłek na jego brązowym surducie? albo najmniejszy fałdek na nim, kto znalazł plamkę na jego jasno stalowych pantaljonach, niere-

gularność w zawiązaniu chustki na szyi, albo jakikolwiek ślad zużycia na swiecącém się obuwiu? Jego brunatny jedwabny parasol, z rączką z kości słoniowéj, był jeszcze zupełnie nowy, chociaż służył mu już od lat piętnastu. Pracował on w jedném z biur w Somerset House, i łatwo zgadnąć, że odznaczył się tam swoją regularnością, i miłością porządku.

Ten urzędnik, bo tak się chętnie sam mianował, miał przyzwoite utrzymanie, do którego jeszcze przybyło 6000 funtów szterlingów, które w wielką księgę wpisane były. Mieszkał on na pierwszém piętrze przy ulicy Tawistock-Strest. Od dwudziestu lat, używał tam roskoszy najgłębszego spokoju, i nieporównanego ukontentowania, w sprzeczkach z właścicielem domu. Z końcem każdego kwartału, pan Minns czynił na pozór przygotowania do wyprowadzenia się, a nazajutrz oświadczał, że jeszcze na jeden kwartał pozostanie. To ciągłe zatrudnienie, przyczyniało się bardzo do zdrowego obiegu krwi pana Augusta. Jedyną stałą myślą jego, była spokojność; a najzupełniéjszy porządek, koniecznym warunkiem jego istnienia. Dla tego dwa rodzaje stworzeń, zaszczycone były nieubłaganą jego nienawiścią; psy, i dzieci; jedne i drugie raniły myśl jego nieporządkiem, a to było dlań prawie zgonem. Scięciu psa, albo zabiciu dziecięcia, przypatrywał by się z wewnętrzną okrótną radością.

Niezmierzona była odległość, między sposobem myślenia pana Augusta Minns, i jego kuzyna Oktawiusza Budden. Ten, były kupiec, był krzykacz, próżny, cokolwiek ociężały, i przyjaciel wystawności. Minns był milczący i oszczędny; był on wzorem umiarkowania. Dla tego też kuzyn jego był mu niemiłym. Z trudnością skłonił się trzymać do chrztu młodego Budden, i nigdy potém nie pomyślał o swoim chrzestnym synie. Pan Budden zarzucił handel korzenny, zrobiwszy znaczny majątek; mógł się oddać swojéj skłonności do miejskiego życia, i kupił domek niedaleko od gościńca. W tym domku, albo raczéj w tym kamiennéｍ pudle, żył on z swoją żoną, i synem Alexandrem Augustem Budden. Pewnego wieczora, napieściwszy się bez końca prawie z ukochanym jedynakiem, zaczęli małżonkowie Budden rozmawiać o jego chrzestnym ojcu. Był on porządnym człowiekiem, a człowiek porządny zawsze uważany jest za bogatego. Szczególniéj kobiéty mają szczęśliwy instynkt, do zgadywania ukrytych źródeł pieniędzy.

— Tak, zawołała pani Budden, musiemy się postarać o jego przyjaźń. Mamy syna, a pan Minns może mu się na co przydać. Daléj panie Budden, weź się do tego, odwiedź pana kuma.

— Ależ pani Budden...

— Ależ panie Budden, żadnego sprzeciwiania się, uczynisz to.

— Nasze charaktery tak są przeciwne sobie.

— Musisz więc, starać się z swoim zastosować do tamtego.

— Zgoda! zaproszę go na Niedzielę, na obiad do nas.

— Otóż to tak, to się nazywa być dobrym, posłusznym mężem.

— Masz słuszność, rzekł Budden z chytrą minką, ale ja jeszcze cóś więcéj uczynię... Kobiety na tém się nie rozumieją; ale zobaczysz sama.

Następnego rana Minns pożywał śniadanie z zwykłą swoją słodką powagą; śniadanie i dziennik, który od końca do końca, od tytułu aż do podpisu drukarzą czytał, zupełnie zajmował całą jego uwagę. Przeląkł się, usłyszawszy pukanie do drzwi; byłto ktoś obcy, bo pukał silnie i prędko. Za chwilę wszedł służący, i podał Augustowi bilet, na którym ogromnemi gockiemi literami było napisane: *Oktawiusz Budden, chatka Zoi w topolowéj alei. Stamford Heli.*

Pani Budden nazywała się Zoe, przed domem stała topola; otóż wykład napisu. Minns przeczytał i zadrżał.

— Budden!... Niech sobie, idzie z-kąd przyszedł!... Spię... i nie wrócę aż wieczorem...

— Już idzie panie!..

Znikła wesołość Augusta, znał swego krzykliwego kuzyna, i nie nawidził go; nerwy jego zadrżały, już słyszał skrzypienie nowych butów kupca

korzennego, a do tego dziwaczne szczekanie, które najgrawało się z jego wszystkich przeczuciów.

— Niech wnijdzie, wyjąkał bolesnym głosem. Otworzyły się drzwi, i najpierwéj okazała się ogromna bjała pudlica, z długiemi uszami, czerwonemi oczami i krótkim ogonem; za nią wszedł jéj właściciel godny i miły pan Budden. Jego obejście było tak rubaszne że możnaby je w części za nieokrzesane uważać; wchodząc zaraz przewrócił krzesło, i omało nie zgniótł ręki swego kuzyna. Potém siadł, przydeptał obrus, i zawołał:

— Niezmiernie cieszę się że cię widzę!

— Wzaiemnie!

— No jakże się masz?

Minns nic nie odpowiedział.

— A twoja rodzina? żona? Ah! prawda, nie masz żony. A brat?, eh jakżem rostargniony!... Wyglądasz mi doskonale!

— Dziękuję, dziękuję, panie Budden.

Minns siedział jak na torturach, i ścigał wzrokiem ogromną pudlice.

— A więc jesteś zupełnie zdrów! krzyknął znów Budden.

W ten sposób zwykle w Anglji a podobno i wszędzie, starają się utrzymać rozmowę ludzie, nie zbyt chojnie uposażdni darem dowcipu. Niezmiernie zajmują się naszém zdrowiem, i okazują to nieskończonemi o to samo zapytaniami i wykrzyknikami. Podczas téj zajmującéj rozmowy, czworo-

nożna towarzyszka Oktawiusza Budden, była daleko zręczniéjszą i szczęśliwszą. Stanąwszy na tylnych łapach, a przedniemi oparłszy się o stół, ogryzała najrumieńszą i najdelikatniéjszą ze wszystkich pieczeni z całego świata. Właśnie miała zamiar ściągnąć ją na dywan.

Budden spostrzegł jéj zamysł i z głośnym śmiechem zawołał:

— Patrzcie kuzynie, pies godzien jest pana swego. Obadwa są zwierzętami bez ceremońji. Precz, Hannibal, precz! Przyszedłem pieszo, doskonały mam apetyt.

Minns był przyjacielem grzeczności, i zawsze wiele przymusu sobie czynić musiał, żeby pod tym jednym względem, nie przekroczyć granic przez oszczędność zakreślanych.

— Jakto, wyszedłeś bez śniadania! zawołał.

— Kochany kuzynie, chciałem śniadać z tobą razem. Zadzwońno, a tymczasem przysuń mi tu szynkę. Ja nie robię żadnych ceremońji, to się na nic nie zdało. Nieprawda kuzynku?

Wtém porwał adamaszkową serwetę, i zaczął okurzać nią swoje obuwie. Minns z niemą rozpaczą pociągnął za sznurek od dzwonka, i usiłował uśmiechnąć się.

— Co za upał! wykrzyknął Budden, i drugą serwetą otarł sobie pot. Potém, żeby przecież coś powiedzieć, zawołał po raz piętnasty: — Kochany drogi kuzynku, wyglądasz zdrów jak ryba.

— Tak sądzisz? i znów starał się uśmiechnąć. A jakże tam u was idzie? zapytał daléj, podczas gdy Budden zapamiętale pałaszował ogromny płat szynki.

— Doskonale! Ty jeszcze nie znasz naszego mieszkania; pyszna szynka.... Leżeć, Hannibal! Hannibal włóczył po dywanie duży kawał szynki, szukając dogodnego miejsca, aby go spożyć. Budden tak daléj mówił:

— Zielone okiennice, mały ogródek, zielone kraty, nowa spiżowa kołatka, wszystko bardzo wykwintnie. Podczas téj rozmowy porozrzucał wszystko na stole, nóż z masłem leżał na obrusie, a widelce na ziemi. Któż potrafi sobie wystawić boleść porządnego człowieka, na widok takiego zamieszania; a jednak łagodnym jeszcze głosem odezwał się:

— Żebyś trochę równiéj krajał szynkę kuzynie, sądzę, że lepiéjby ci smakowała.

Nieczuły Budden wbił ogromny kawał na widelec i odpowiedział:

— Owszem, tak wybornie! mniéj ceremonji! Leżeć Hannibal!... Proszę cię jeszcze o cokolwiek cukru! jeszcze nieco! Daj pokój widelcowi, to służący podniesie. Ależ odwiedzisz mię przecie! bez ceremonji.

Oblicze biednego Augusta zbladło. Hannibalowi zdarzył się przypadek bardzo szkodliwy meblom nieszczęśliwego przyjaciela porządku,

— Leżeć, krzyknął Budden, przeklęty pies, podrze firanki!

Minns skoczył z krzesła, jakby go iskra elektryczna przebiegła. Twarz jego była blada, czoło zmarszczone, a oczy iskrzyły się. Wypędź psa kuzynie! krzyknął odstępując w najdalszy kąt pokoju. Czytał właśnie w gazetach o wodowstręcie psów; Hannibal szarpnął firanką, i zdawał się mieć zamiar nie puścić jéj. Budden sprawił mu polowanie, kilka krzeseł zostało przewróconemi, frendzle u firanek podarte, stół się przechylił i herbata strumieniem pociekła po obrusie. Co za nieszczęście! po wielu krzykach, wypędzono nakoniec psa, ale tu dopiero zaczął on żałosne wycie rozdzierające serce. Niedość na tém, niepoprzestając na dręczeniu uszu biednego Augusta, odrapywał mu jeszcze drzwi z bezprzykładnym zapałem.

— To nie jest miejski piesek, ale za to na wsi jaki doskonały! odezwał się z zimną krwią Budden. No Minns! kiedyż nas odwiedzisz? nie możesz mi odmówić. Dziś Czwartek; przyjdziesz w Niedzielę. Już ułożone, nieprawdaż?

Pan August Minns, długo dał się prosić, nakoniec przystał. Z rozpaczą prawie przyjął zaprosiny swego kuzyna. Przyrzekł punktualnie o trzy kwadranse na piątą, być w chatce Zoi z małym ogródkiem i nową kołatką.

— Krocset piorunów! krzyknął Budden, który lubił popisywać się swoją junacką rabusznością, najważniéjszéj rzeczy zapomniałem! Nie potrafiłbyś nas znaleźć. Uważaj! co pół godziny odjeżdża powóz najemny z Flower-Pot do Bishopsgate-Strest. Będziesz jechał, jechał.... Powóz zatrzyma się przed *łabędziem*, porządna oberża na drodze, otóż tam....

— Tam; rozumiem, odpowiedział Minns.

— Ale właśnie że nie tam. Zobaczysz biały dom, który należy do Johna Grog, handlarza żelaza. Pójdziesz tedy prosto wzdłuż murów; są tam stajnie. Potem będzie mur na którym wiszą ogromne tablice z napisem: „Proszę się strzedz samolówek.

Minns zadrżał.

— Ze ćwierć mili pójdziesz pod tym murem; zwrócisz się w lewo, a każdy ci mój dom pokaże.

— No, to już wiem, bądź zdrów!

— Nie daj na siebie czekać kuzynie!

— Przyjdę o trzy kwadranse na piątą.

— Ale, ale, masz też kuzynku mappę okolic Londynu, bo bez niéj nie trafiłbyś.

— Mam!

— Nie zapomnij wziąść grubą laskę; może cię co niedobrego spotkać.

Pan Oktawjusz Budden, oddalił się, zostawiając swego kuzyna w śmiertelnéj obawie. Nadeszła

Niedziela; niebo było pogodne, ulice ożywione; kabryolety i kocze snuły się po wszystkich drogach; w około cieszyło się wszystko. Tylko Minns wstał powoli i ze smutkiem się ubiérał. Było parno, wybrał się w drogę, i szedł ciągle, ile możności w cieniu; całkiem pokryty kurzem i spocony, spogląda na zegarek, już późno; ale znalazł jeszcze jeden powóz do najęcia w Flower-Pat. Za chwilę powóz miał odjeżdżać. Minns wsiada, a woźnica upownią go, że za trzy minuty pojedzie. Tymczasem kwadrans przeminął, a on się nie rusza; Minns już szósty raz spojrzał na zegarek.

— Jedziesz czy nie? zawołał. Rozgniewany wyjrzał okienkiem. Woźnica uspakaja go, i po pięciu minutach siada wreście na koźle, gwiżdże jakąś piosnkę, wkłada rękawiczki, ogląda się na wszystkie strony, zachęca przechodzących żeby wsiedli, i jeszcze pięć minut pozwala koniom wytchnąć. Nakoniec Minns grozi, że wysiądzie; powóz zwolna wyruszył, a nasz podróżnik, spuścił się na swój los nieszczęśliwy. Dziecię i kobieta z pudełkami, kapeluszami i parasolem, są jego towarzyszami. Dziecię sądzi, że Minns jest jego ojcem, i gwałtem chce go uściskać.

— Nie krzycz tak, zawołała matka dziecięcia, które niecierpliwie tupało nogami, to nie twój ojciec.

— Na moje szczęście! zawołał Minns, i to była pierwsza wesoła myśl dnia tego. Klął potém, to małe stworzenie, które pragnąc koniecznie ściągnąć na siebie jego uwagę, obcierając swoje zakurzone buciki o kolana i nogi jego, albo pchając go w piersi parasolem swojéj matki.

Już było kwadrans na szóstą, kiedy biedny Minns stanął w oberży pod *łabędziem*. Z wrodzoną sobie dokładnością stosował się do wszystkich udzielonych przez kuzyna przestróg; i nakoniec znalazł chatkę Zosi, i jedyną suchą topolę stojącą przed jéj drzwiami. Owym ogrodem, był kawałek piasczystego gruntu, około dziesięciu stóp w kwadrat, na którym widać było jedno tylko drzewo bez liści, i dwadzieścia kilka tulipanów. Z ciężkiém westchnieniem, podniósł pan Minns nową brązową kołatkę aby uwiadomić mieszkańców domku o swojém przybyciu. Otworzył mu krępy czworograniasty prawie sługa w liberji błękitnéj, bawełnianych pończochach i aksamitnych pantaljonach, i poprowadził do małego, czekoladowo malowanego saloniku, z którego widok wychodził na stajnie i chlewy sąsiedniego domu. Dwunastu gości, zgromadzonych w tymże salonie z niecierpliwością czekało obiadu. Największy oryginał z całego towarzystwa, były kupiec obrazów, wstał za wéjściem Augusta, i pod pozorem przejrzenia książki z sztychowanemi rycinami, rozbierał uwa-

źnie, rys po rysie, fałd po fałdzie, fizjonomją, powierszchowność i ubranie nowego gościa.

— Cóż zamyślają czynić ministrowie Bregsonie? zapytał Budden, zostaną w gabinecie czy wystąpią?

— Zapytajcie się waszego kuzyna, odpowiedział złośliwie były kupiec obrazów. Pan Minns jest urzędnikiem, i bez wątpienia lepiéj was pod tym względem, jak ktokolwiek inny oświeci.

Minns zapewnił, że wprawdzie pracuje w Somerset-House ale nie otrzymał żadnéj urzędowéj wiadomości względem zamiarów PP. ministrów. To oświadczenie przyjęte zostało z widoczném niedowierzeniem; ale ponieważ nikt nie śmiał nastawać o dokładniéjsze objaśnienie, nastąpiła długa pauza, zapełniona chrapaniem i spluwaniem obecnych; potem jedni zaczęli wyglądać okném, drudzy bawili się z poduszkami sofy, inni zaś wzajemnie zapytywali się o zdrowie, nakoniec ukazała się Pani Budden.

To była pociecha dla wszystkich; mogli się po kilka razy pytać, jak się ma? czy zdrowa? czy nie słaba? i t. p. Dano znać że stół już zastawiony, i pan Minns, który zdawał się być królem uroczystości, poprowadził panią Budden, aż do drzwi salonu; na tém musiała się dworność pana Minns ograniczyć, bo wschody do sali jadalnéj tak były wązkie, że niepodobna było dwóm osobom iść obok siebie.

Nie ma nic przykrzéjszego, jak obejście się osób które chcą panów udawać; zły ton i zły smak są u nich połączone w pośród gastronomicznych ceremonji, często odzywał się silny głos gospodarza; wzywał on tego lub owego z gości aby pił, i bez końca upewniał że cieszą się niezmiernie z obecności swoich szanownych przyjaciół. Na deser podano najlepsze potrawy, ozdobę całéj uczty. Czworograniasty służący, zrozumiał znaczące spojrzenie pani Budden, wychodzi, i przynosi osmolonego Alexandra Budden, w niebieskiéj sukni z srebrnem guzikami. Włosy jego były prawie tego samego koloru co guziki.

Po długich uściskach, matka przedstawiła go chrzesnemu ojcu. Ten usiłował przybrać przyjemne wejrzenie, usiłowanie to było najwięcéj bohaterskiém poświęceniem się w jego życiu.

— Czy jesteś grzeczny, moje dziecię? zapytał malca.

— Grzeczny odpowiedział tenże.

— Wiele masz lat?

— W przyszłą środę skończę ósmy rok; a ty wiele masz lat?

— Olesiu, jak możesz pytać się o lata, twego chrzesnego ojca? przerwała matka.

— A dla czegóż on się o to pytał?

Spojrzano po sobie; Minns zbladł, poprzysiągł sobie wewnętrznie, nie zapisać małemu ani feniga. Po chwili milczenia, jakiś niski, uśmiechający się, z rudemi

faworytami jegomość, który podczas obiadu opowiadał różne anegdoty o Sherydanie, zapytał Alexandra:

— Powiedz mi moję kochanie co to jest słowo?

— Słowo...., odpowiedział Alexander, jest to wyraz oznaczający stan jakiego przedmiotu albo działanie np: „Mamo daj mi jabłko.“

— Dobrze kochane dziecię, mówił daléj ów przyjaciel domu z rudemi faworytami, dam ci jabłko ale odpowiedz mi jeszcze, co to jest rzeczownik?

— Rzeczownik! odpowiedział chłopczyk, rzeczownik!... rzeczownik!... i rozpłakał się niemiłosiernie. Ojciec chcąc uwolnić go z kłopotu, odezwał się grubym głosem:

— Mości panowie! napełniajcie wasze szklanki, wznoszę toast.

— Słuchajcie! słuchajcie! zawołali goście, przybierając poważne postawy, iakby byli członkami izby. Pan Budden rzekł daléj:

— Mości panowie! znajduje się tu ktoś...

— Słuchajcie! słuchajcie! zawołał jegomość z rudemi faworytami.

— Cicho bądź, Jones! zawołał Budden. Powiedziałem tedy, że znajduje się tu ktoś, którego obecność... wielką... wielki zaszczyt sprawia naszemu towarzystwu. Wiem, że jego rozmowa, wszystkim nam równą sprawiła przyjemność. (Minns ani ust dotąd nie otworzył, wyjąwszy do jedzenia.) Mości panowie! mówił daléj Budden,

jestem prostym, otwartym człowiekiem; powinienem był może, prosić o przebaczenie..: że moje uczucia, i przywiązanie, powodują mię do wniesienia zdrowia tego człowieka... człowieka, którego... tak sądzę... to jest, którego cnoty muszą drogim czynić każdemu, który... wszystkim tym, którzy... rozumiecie mię, moi panowie, i ci, którzy nie mają zaszczytu, znać go, będą zapewnie...

Minns westchnął głęboko; domyślał się, że to o nim była mowa, i on, najtrwożliwszy i najskromniejszy z wszystkich ludzi, widział w téj chwili, zwrócone na siebie wszystkich gości ciekawe spojrzenia.

Budden mówił daléj z nieubłaganą wymową:

— Szlachetny krewny, którego mam pociechę widzieć tutaj, i który, gdyby tu nie był... pozbawił by nas zapewne, roskoszy widzenia go między nami.

Ten zwrot był wspaniale szczytny, i całe towarzystwo chórem wykrzyknęło: „Słuchajcie, słuchajcie!

— Mości Panowie, prowadził daléj mówca, czuję, że za długo już nadużywam uwagi waszéj; z czułem uczuciem...

— Przychylności! zawołał przyjaciel domu z faworytami rudemi.

— Przychylności, i..,

— Przywiązania! podpowiedział znowu tamten.

— Przychylności i przywiązania, odważam się wznieść toast za zdrowie pana Augusta Minns.

— Daléj mości panowie, powstańcie, krzyknął niezmordowany podpowiadacz; okażmy cześć naszą, szanownemu kuzynowi gospodarza! Powstali wszyscy, zabrzękły kielichy, wzniesiono toast. Minns, na którego wszystkie oczy zwrócone były, wolałby w téj chwili, znajdować się naprzeciw baterji o szesnastu ciężkich działach, i aby ukryć pomięszanie, wychylił szybko kielich Oporto, tak, że się aż zakrztusił. Po chwili milczenia podniósł się, aby odpowiedzieć na toast. Nie wyraźnie usłyszano wyrazy: *szacunek*, *pokrewieństwo*, *wielkie szczęście*, *zaszczyt*, które wymykały się z bladych drżących ust jego, każdy mimo to, przekonany był o miodopłynnéj wymowie jego. Jones, który oddawna już czatował na sposobną chwilę, powstał i rzekł:

— Pozwólcie mi, szanowny gospodarzu, wznieść także toast.

— I owszem, odpowiedział Budden; a potém zwracając się do swego kuzyna, dodał:

— To doskonały człowiek, pewny jestem, że się wam podoba jego wymowa.

Minns ukłonił się w milczeniu, a pan Jones tak mówił:

— Z różnych powodów, w różnych okolicznościach i rozmaitych towarzystwach, miałem spo-

sobność, wznosić toasty na cześć osób, z któremi znajdowałem się razem. Jednak przyznaję, że doświadczyłem nieraz, z jakiemi obowiązek ten połączony jest trudnościami. Co dziś z tego samego powodu czułem, trudnoby mi było wyrazić, i nie mogę wam moi panowie, dokładniéjszego o tém dać wyobrażenia, jak przytaczając anekdotę, którą przypomniałem sobie w téj chwili. Jest to zdarzenie sławnego męża, Sheridana...

Przerwało mu mowę wejście posłańca z oberży, który odezwał się w te słowa:

— Panowie i panie, zabiéra się na deszcz, za chwilę powóz odjeżdża, jeśli kto życzy sobie powrócić do Londynu, jest jeszcze jedno miéjsce wolne.

Minns zrywa się, biegnie ku drzwiom, nie zważając na prośby i wołania współ-biesiadników. Ale nie może znaleźć brunatnego jedwabnego parasola. Posłaniec z oberży zapewnia, że powóz tylko co ma odjechać. Pan Minns zapomniał, że zostawił parasol w powozie, którym przyjechał z Londynu; biegnie do oberży, lecz dowieduje się, że powóz już odjechał.

O trzeciéj godzinie z rana, pan August Minns, słabo zastukał do drzwi swego mieszkania, przy ulicy Tawistosk-Strat; nieszczęśliwy całkiem był przemokły, i w pół przemarzły. Humor jego, bardziéj jeszcze był ponury, niż słotne mgliste powietrze.

Nazajutrz napisał testament; ale ani pan Oktawiusz Budden, ani Pani Zoe Budden, ani ośmioletni pan Alexander August Budden, nie byli w nim zamieszczeni.

# BEATA.

## I.

Nie spełna ód dwoch godzin, napełniali salon kąpielny w Spa, chorzy pijący wodę, próżniacy i gracze, gdy nagle oba skrzydła drzwi otworzono. Ukazał się w nich naprzód gęsty obłok pary, następnie wrzask pomięszanych głosów, odbłysk tysiąca swiateł jarzących, a nareszcie niebieski frak z długiemi szossami, i kołnierzem przypłaszczonym, spodnie skórzane żółte, winem i ponczem poplamione, buty z ostrogami zakurzone, ręce okryte cienkiemi koronkowemi mankietami, postać żywa, wesoła, czoło zapocone, policzki trunkiem zarumienione, dwudziesto letnia głowa pod sniegiem upudrowanych włosów, jedném słowem młodzieniec nie patrzący ani w prawą ani w lewą stronę, potrą-

cający wszystkich i skaczący po wschodach jak kot zagorzały.

— Panie, panie, upuściłeś rękawiczkę, twoje pieniądze! — Jak by do wiatru, nic nie słyszy, tylko pędzi i już jest daleko, daleko.... Przebiegł jak strzała wschody, przysionek, dziedziniec, aleję ogrodową, sztachety, i niezatrzymał się aż w pocztowym powozie, na który natrafił, a który właśnie stał w pogotowiu, oczekując na swojego podróżnego, a tym zapewne nasz młodzieniec nie był. J cóż mu to szkodzi? — Hola pocztyljon, z bicza i ruszaj!

— Dokąd że mam jechać?

— Dokąd sam chcesz.

— Ależ Panie!.....

— Pierwsza lepsza droga, masz pięć dukatów, zamykaj i na koń!

Konie parskają, bicz trzaska, pocztyljon pali fajkę, a powóz toczy się, wśród pięknéj lata nocy, milionem gwiazd ukraszonéj, po drodze zupełnie przeciwnéj téj, jaką miał przebiegać...... Po pół godzinném takiém pędzeniu, grubo-płaski pocztylion, zsiada z konia, i gdy powóz wolno postępuje pod górę, wytrząsa popiół z fajki, nakłada ją na nowo, i po raz pierwszy otwiéra usta z niemiecką powagą, trzykrotnie pierwéj pociągnąwszy dymu z fajki.

— Zdaje mi się wszystko, że ten młody panicz zwarjował..... Istotnie! oszalał z radości, lub mo-

że się upił gorzéj, niżeli majtek angielski z Judjów wracający.

Grał i wygrał.... 15,000 dukatów pędzi z nimi pocztowym powozem. Kieszenie, oczy, głowa nawet jego pełne są złota....

— *Rouge passe*, *impair gagne*, odzywa się z głębi powozu, niemiłosiernie trzęsącego się po nierównéj drodze.

— *Rouge passe impair gagne*... Wygrałem!...

— Stawiajcie panowie. — *Rouge passe impair gagne*, — znów wygrałem. — Zawsze wygrałem. A złoto w ogromną piramidę piętrzy się przed nim, i oświetlony blaskiem świec, jak gorejący Wezuwjusz... Mnóstwo głów, jedna przy drugiéj zwieszonych w około stołu; ręce ciągle przebiegające z sukna do kieszeni, gracze, widzowie, wszystko to znikło; nic nie widzi, tylko stolik i bankiera, nic nie słyszy, oprócz turkotu szczęśliwéj kulki, nie rozumie nic więcéj, jak tylko: *rouge passe impair gagne*. Zdaje się, że na to tylko ma ręce, aby zgarniać złoto, które mu ze wszystkich stron rzucają; nie ma innego pojęcia, jak wygrywać... jest w zachwyceniu.

— Motłoch! zawoła, który ucieka od gry, jakby od ukąszenia psa wściekłego!... Ci, co nic więcéj na świecie nie umieją, jak jeść i spać, bydlętami są!... o! dzięki wam, setne dzięki, mili przyjaciele, coście rzekli: Graj, a będziesz człowiekiem... moja pierwsza złotówka nagromadziła

mi stós złota i uciechy!... dostąpiłem już zupełnéj doskonałości, jestem mężem dojrzałym, i z waszego natchnienia, poznałem myryady uczuć, zawartych w trzech literach wyrazu: *Gra*! o nieporównane *rouge* i *noire*! wygrać lub przegrać, nie masz tu środka; pozbawiony mowy, oddechu, oczekujesz co chwila, czy będziesz pod niebiosa wyniesiony, albo też w przepaść zepchnięty. Głowa twoja leży na rusztowaniu, widzisz nad nią ostrze topora, i uważasz, czyli spadnie lub nie? i to wszystko, nie raz, nie przypadkowo, ale, sześćdziesiąt razy, raz po raz, w ciągu jednéj godziny; równie za jeden złoty jak za miljony; jakby szło o jeden szeląg, lub o całe królestwo. — Gro!... ty nieporównana drażliwości nerwów, która krew zagrzewasz; maligno, do któréj nie wszyscy przyznają się, a jednak wszyscy bez wyjątku doświadczają, nawet w końcach włosów, namiętności, która porwawszy, wstrząsasz człowiekiem aż do wyzucia go z sił, a może i życia; dzielny napoju! zdolny umarłego poruszyć, który sprawiasz, że kadłub człowieczy, choćby najbardziéj zorany chorobami lub wiekiem, zmarszczony, żółty, i w proch się rozsypujący, powraca do życia, na widok talji kart, i wstrząsa się pod kolumną galwaniczną złota!... Nie!... pieszczoty dziewicze, roskoszne uczty, w porównaniu z grą, nic nie znaczą.

Nic nad *rouge et noir*, i chyba tylko wytrzymać z nim zdoła porównanie ta krwawa roleta, w któ-

réj sukno zielone, jest polem rzezi, stawką czaszki ludzkie, a bankierem śmierć! Zaiste! jeżeli grzmotem dział zasłałeś pola trupami, ziemię krwią zmoczyłeś, powietrze nasyciłeś siarką, i po długiéj niepewności i oczekiwaniu będziesz mógł powiedzieć: Wygrałem partję!.... Natenczas jedynie doznasz nieporównanéj rozkoszy, która wszystko na świecie przewyższać będzie. Ale potrzeba żelaznego usposobienia, trzeba czaszki Tytana, ażeby jéj podołać..... Oh! dlaczegóż nie miałem dosyć odwagi!... czułem się na siłach; mogłem bank cały znieść, grać noc i dzień, i nieustannie, na życie, kulę ziemską, gdyby się tylko na stoliku pomieścić mogła, byłbym niezawodnie wszystko wygrał.....lecz szczęście rozprzęgło mi nerwy w przeciągu trzech godzin,... wyszedłem..... Ah! biedny, jestem kobietą, zdatną do bawienia się z dziećmi cackami. Ah! *rouge passe impair gagne!* byłeś mi jak pies posłuszny i wierny przez trzy godziny; któż wié czyli cię odzyskam kiedy? duszno mi.....

I w tém rzuciwszy się do drzwiczek powozu z roskoszą napawa się chłodnym poranku wietrzykiem.....

Do serca jego wraca nieznacznie pokój, puls wolniéj uderza.... oddycha; dopiéro to z dziecięcem niejako zajęciem, przygląda cię przemijającym się szybko drzewom przy drodze posadzonym, zdaje mu się, że góry, domy, łąki i pola przelatują

koło niego; odbłysk księżyca na krysztale wód, wydaje mu się jakby błyskawica jaka, a sam księżyc jak wytarta moneta. Pomiędzy miljonami gwiazd, upatruje swojéj, nakoniec zagłębia się w kąt powozu, wyciąga nogi... i zamyka oczy...

Jednostajny odgłos dzwonków wiszących koło uszu końskich, głuche skrzypienie ressorów, uspiły go nieznacznie. Lecz myśli czuwają i zagłębiają się w dziwaczne marzenia; jest niby doktorem, zawołano go do choréj będącéj już *in extremis*: W uliczce krzywéj, domek nikczemny, ze schodami jeszcze nikczemniéjszemi, na piątém piętrze, leży chora stara panna, któréj przy słabém świetle kaganka, otworzywszy lancetem żyłę, upuszcza nieco krwi w brudną miseczkę. Stara sąsiadka napróżno szuka wody, żeby sobie ręce mógł obmyć; niema nawet ręcznika, przymuszony zostaje użyć własnéj chustki, nareszcie bierze kapelusz, chce odejść, lecz chora wstrzymuje go, a uniosłszy się z posłania, oddaje mu w dowód wdzięczności małe pudełeczko, starą różową wstążeczką przewiązane. Otwiéra, i znajduje w małem gniazdeczku z pożółkłego starego muślinu, dużego czarnego pająka leżącego do góry nogami, któremi przebierając, rozrzuca drobne papierki z napisanemi na nich numerami. Na odwrotnéj stronie pudełka, czyta napis: „Środek niezawodny wygrania na loterji.“ W téjże chwili, chora opuszcza głowę na posłanie, wzdycha i umiéra!...

Powóz nagle zatrzymany obudza śpiącego, oblanego zimnym potem. Zdaje mu się, że go chcą zamordować, jest młody, ma wiele złota przy sobie, i znajduje się w nieznaném sobie miejscu. Nachyla się do drzwiczek powozu i spostrzega górę, drzewa, i zajazd do wsi... jednym skokiem już jest na ziemi tuż przy pocztyljonie, który spokojnie sobie krzesząc ogień, patrzy z boku na podróżnego, który niewiadomym mu sposobem, tak blisko niego się znajduje.

— Gdzież jesteśmy?

— W Sauveniere, panie.

— Znasz tu kogo?

— Znam, do usług pańskich.

— Chcesz zarobić pięć dukatów?

— Czemu nie.

— Dobrze, podaj mi nazwisko jakiego poczciwego człowieka.

— Poczciwego człowieka nazwisko? zapyta zdumiony pocztyljon.

— Tak jest, i to najpoczciwszego....

— Franz Rapmann, Węgier, oddałbym mu moją lulkę i konia.

— Oto masz dziesięć dukatów za twój adres, zostań tu, i czekaj na mnie.

Pocztyljon, osłupiały, przekłada złoto z jednéj ręki do drugiéj, podnosi się wreszcie, aby pieniądze włożyć do kieszeni, gdy wtém fajka mu wypada i tłucze się w drobne kawałki.

— Biada! biada, z goryczą zawoła, potrząsając głową, fajka moja przepadła! Zaprzedałem imie poczciwego człowieka szalonemu. O mój Boże! zlituj się nademną! kto wie, co z tego wyniknie.

II.

Wieczorem, w lecie, gdy niebo zarumienione jest jak młoda zagrzana dziewica, jeżeli wchodzisz do jednéj z tych pięknych wiosek nad brzegiem Renu, z drugiéj strony Szwajcarji rozsianych, usłyszysz przy każdych drzwiach śpiewanie.... Wprawdzie, są to tylko walce, ronda, piosneczki złożone z trzech lub czterech tonów, w najprostszym na świecie kształcie, ale oddałbyś za nie najpiękniejsze twory Bethovena, Mozarta, najdoskonalszą prima-donnę z teatru San Carlos lub della Scala, tyle uroku sprawują akorda młodych śpiewaczek, świeżość i czystość ich głosu.... Jesteś albowiem w Niemczech, gdzie instynkt muzykalny przebywa na ustach niemal każdego, gdzie nareszcie przyrodzenie samo chciało zapewne nagrodzić ostrość klimatu, darem cudownéj łatwości do muzyki. Język dusz poetyckich, mowa ognista, obfita, niezmierna, nieskończona jak dusza, cieniowana jak tęcza, muzyka jest różą Germanji; jest to kwiat napełniający powietrze, ciężkie i mroźne wonią poezji, a tą mieszkaniec ponury i melancholiczny, zasilony, tworzy sobie promień sło-

neczny w pośród mgły, i upatruje więcéj błękitu na horyzoncie....

*Mein Schatz ist ein Reiter,*
*Ein Reiter muss er sein;*
*Das Ross ist dem Kaiser,*
*Der Reiter ist mein!*

Spiewaczka, nagle zatrzymana w swoim trelu, krzyknęła i odskoczyła w tył.... Ale iéj ręka uchwyconą i mocno ściśniętą została przez młodego człowieka.

— Moja piękna synogarliczko, powiedz, mi czy tu mieszka Frantz Rapmann?

— Tu panie, proszę wejść.

Spłoszone dziewczę, podskoczywszy jak sarneczka, otworzyła młodzieńcowi drzwi, i na nowo zaczęła swoją piosnkę:

*Mein Schatz ist ein Reiter*, etc.

## III.

W izbie niskiéj, zakopconéj, z staremi portretami w starych ramach, wielkiemi firankami z czerwonego alepinu, widzieć się daje jedno okno nieco odchylone, lecz zarośnięte do koła powojem, dzikiém winem i grochem; na środku stół grubym kobiercem nakryty, stołki, w iednym ką-

cie piec, a w drugim zegar drewniany. Na stole lampa zapalona, biblja rozłożona, nakryta w poprzek okularami, rolki dukatów rozsypanych, młoda dziewczyna licząca i młodzieniec na nią patrzący.... Zegar bije dziewiątą godzinę.

— Kiedy ojciec na mnie zdał cały kłopot, trzeba pieniądze przeliczyć—jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, ośm...... nie, źle rachuję, trzeba zacząć jeszcze raz. Jeden, dwa, trzy, cztery.... Do prawdy nie mogę dojść do końca.

— A to dla czego? moja duszko.

— Bo mię pan myli swojemi oczami.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć....... jak się ładnie świecą pana piękne pieniądze!

— Prawda, ale one powalają twoje piękne paluszki.

— To wezmę rękawiczki.

— Zostań, oto są moje.

— Nie przydadzą się na mnie.

— Spróbuj.

— Ah jakaż mała ręka, a czy to pana rękawiczki?

— Zobacz sama i przyjmiesz.

— Kiedy ja się wstydzę.

— Figlarka! ja mam tak małą rękę, że dziecko by ją mogło przełamać.

— Doprawdy?

— Spróbuj tylko, załóż swoje palce między moje.

— O! jakżebym rada wydobyć krzyk boleści z mężczyzny.

— Jakież szczęście! widać że jesteś złośliwą.

— Cokolwiek.

— Cóż ci złego zrobili mężczyzni, że masz do nich takie uprzedzenie?

— Nic wcale; ja to tylko przez instynkt, a może i przeczucie mówię.

— Czyś kochała kiedy?

— I bardzo, to pana dziwi?

— Jeszcze jesteś zbyt młoda.

— W kochaniu kobiety nie są nigdy za młode.

— Jesteś przedziwna.

— Nie, jestem szalona.

— To jest, że twoje szaleństwo, może do szaleństwa innych przyprowadzić. Kocham cię!

— Tak się to panu zdaje.

— Nie, ja tak czuję.

— Jak to być może? pan nawet mojego imienia nie wiesz!

— Cóż mi po imieniu, kiedy ciebie widzę?

— Imie bardzo jest potrzebném do kochania.

— Imie? to jest rzecz najmniejsza,

— Właśnie też dla tego.

— Nie pojmuję.

— Wierzę, bo pan nie jesteś kobietą.

— Oh trzpiocie! ty ze mnie żartujesz

Być może, ale my nie liczemy pieniędzy; wiesz pan, że jeżeli tak dłużéj potrwa.... to i do jutra nie skończę....

— Dałby to Bóg! moja piękna.

— Nic z tego, mój panie, przecięż ja chcę pójść spać; proszę mi nie przeszkadać, będę liczyła.

— Jak ci się tylko spodoba, ale wprzód muszę ci inną rzecz opowiedzieć; czy Niemką jesteś?

— Jestem Węgrzynką do usług pana.

— Dajże temu pokój, chciałem ci powiedzieć...

— Słucham.

— Chciałem powiedzieć, że cię kocham.

— Doprawdy? jakże, kiedyś mię pan tylko po ciemku widział.

— Coż to ma do tego?

— A gdybym ja była śniada, ogorzała.

— Niepodobna, jesteś blondynka.

— Mogę być ułomna.

— Ręka moja by mię o tém przekonała.

— Ale może ja mam oczy zielone?

— Natenczas z tém nie wydawałabyś się, równie jak z tém, gdybyś mię kochała.

— Co w tém, to się pan mylisz.

— No! więc kiedy jesteś tak otwarta, powiedzże, czy mię kochasz?

— Nie.

— A dla czego?

— Bo... dla wielu przyczyn.

— Przecież.

— Bo najprzód pan jestes Hrabią, a ja tylko prostą wieśniaczką.

— Jeżeli tylko dla tego, dałbym wór złota i tytułów za jeden promień twoich włosów.

— Ale jest jeszcze inna przyczyna, która mi nie pozwala kochać pana.

— Cóż takiego, czy serce?

— O nie! ale mały kawałeczek papieru.

— Zapewne jaki talizman.

— Nie, mój panie, mały świstek, na którym skreśliłam mój ideał, jaki mi się marzył.

— Co za dziwactwo!

— Żartuj pan sobie, i śmiej się jak chcesz, ale on do niego jest zupełnie niepodobny.

— Jakto? ani nawet cząstki mnie tam niema?

— Ani źdźbła; on jest brunet, a pan masz włosy zupełnie białe, jemu na imie Henryk, a panu Otto. Pfe, jakież brzydkie imie.

— O! złośnico! a gdybym ja też przypadkiem nazywał się Henryk, i miał włosy czarne, a oczy ciemne, kochałabyś mię wtenczas?

— Wtenczas... strzegłabym się tego.

— A to czemu?

— Zawsze czemu? dla czego? po co? Otóż dlatego, że pan tak obszedłbyś się ze mną, jak kot z myszą.

Lampa zgasła, księżyc słabe światło przez okno udziela, północ na zegarze wybiła. Młode dziewcze spi, lub też marzy od dawna, a młody trzpiot pędzi powozem pocztowym do Spa.

O drugiéj po północy, powraca do domu, bez pieniędzy, nawet bez rewersu, jaki mu stary węgier podpisał, ale zadowolniony z siebie, i niecierpliwie pragnący nazajutrz powrócić do Sauveniere. Nazajutrz już był na drodze do Paryża, otrzymał albowiem list, donoszący mu, że ojciec jego umiéra.

## IV.

W roku 1780, Paryż był takim, jakim jest dziś, to jest stolicą ucywilizowanego świata, ogniskiem nieustannych popędów silnych i młodych, Pandemonium filozofów. Paryż jednym słowem, był w téj epoce, owym Emeladem, który przywalony stosem kamieni, gotowy był jednak wstrząsnąć cały świat jednem poruszeniem.... A jednakże z równą zapamiętałością jak teraz, tańczono.

Tańczono więc w Paryżu na przedmieściu St. Germain, przy ulicy Varennes, u pewnéj wdowy, która wydawała za mąż córkę. Był to bal, co się zowie, salony obszerne, ustrojone malowidłami à la Boucher, buffety obciążone, i niezliczona moc rozmaitego stanu osób. Najpiękniéjszą, to jest panną młodą, było niewinne stworzenie, ściśnięte długą rogówką, i z ogromnym tupetem na głowie. Lica jéj, pomimo rózu i ośmnaście latek, miały powłokę nieco bladawą. Z tém wszystkiem jest piękną i dobrego urodzenia; ma 200,000

liwrów posagu. Co się tycze pana młodego, powiadano, że liczy więcéj przódków niżeli talarów, i że dla tego się żeni, aby w téj mierze mógł przyjść do równowagi. Nie lubił on w ogólności kobiét, i zwykle mawiał, że dobra, jakie z nich miéć można, nie wyrównają złemu, jakiém nas obdarzają, i że wreszcie zawsze wystawieni jesteśmy na utratę czasu, jeżeli nas kochają przez dumę; pieniędzy, jeżeli nas biorą z interessu; i zdrowia, jeżeli nas uwikłają w miłości.

Pomimo tego, jednak był to człowiek bardzo miły, przystojny i nader oryginalny. Tego właśnie wieczora, mało tańczył, lecz dużo grał. A tak, kiedy narzeczona tańcując, przechodziła z rąk do rąk, jegomość stawiał garściami złoto na stolik faraona.

Około północy, panna młoda, odeszła z matką i służącemi do swego apartamentu, i nieznacznie zwolna sale zaczęły się coraz przerzedzać, aż nakoniec orkiestra, światło, i wszystko znikło. Gracze nawet, zwykle w podobnych zdarzeniach wytrwali i nieustępujący z placu, powynosili się jeden za drugim, oprócz dwóch... a ci dwaj... nie grali w karty, ale w kości, i to grę wielką. To się zowie galopem do celu dążyć.

— Niech djabli wezmą hrabiankę i jéj posag. Tysiąc luidorów Markizie?

— Zgoda, *va*, rzucaj kości — trzy i pięć;

— Przegrałem dwa tysiące luidorów!

— Dwa, sześć.

— I znowu przegrałem dziesięć tysięcy!

— As i pięć.

— Przegrałem, oto są całe 200,000 liwrów.

— Niemasz już nic więcéj?

— Nic!

— Taką rzeczą, dobra noc.

— Czekaj, oto masz co warte 15,000 franków, (zdéjmuje z szyi plecionkę z blond włosów, związaną wstążeczką niebieską, i rzuca je na stół.)

— Czyś oszalał, plecionka włosienna!

— Mówię ci, że to jest 15,000 franków, słowem honoru zaręczam, że to jest pewniéjsze jak wexel banku.

— Kiedy tak, idzie. — Cztery, sześć; przegrałeś.

Znów tysiąc przekleństw.

— I nic więcéj już niemasz?

— Nic....

— Nie masz dziś szczęścia, mój drogi; lecz nie chcę cię pozbawiać twojéj nowéj monety, ofiaruję ci ją w podarunku. Do zobaczenia Ottonie.

Hrabia pozostał chwilę w krześle, jakby piorunem rażony, wlepiwszy wzrok w plecionkę włosianną. Pan Margrabia zaś sprostowawszy nieco pogniecione żaboty i mankietki, i poprawiwszy czuba na głowie, wykręcił się na jednéj pięcie, zagwizdał pod nosem i odszedł.

V.

Ledwie za margrabią drzwi się zamknęły, gdy jakaś stara postać, na cal różem okryta, sparła się na ramionach zgrzanego panicza, i szepnęła mu do ucha, że już późno, i że przecież jest żonaty.... Przypomnienie to nie w smak mu poszło; porwał się jednak z krzesła i dał się jak dziecko zaprowadzić tam, dokąd by kto inny z drzeniem radości sam pospieszał. Wchodząc do sypialni żony, blady i zimny] jak głaz, [juk posąg kommandora w Don Juanie. Znajduje się w najpiękniéjszym gabinecie, ozdobionym wszystkiém tem, na co się tylko przepych zdobyć może. A nareszcie żonę uśpioną na berżercę, z tą spokojnością do jakiéj w klasztorze przywykła. Chociaż jéj serce biło z bojaźni i oczekiwania, jednak ułudzenia z tańca odniosły zwycięztwo nadewszystkiemi innemi uczuciami, i sen opanował jéj powieki. Twarz jéj wsparta na ręku, zachowała jeszcze ślad maleńkiéj niechęci, a co jeszcze przydawało jéj piękności; druga ręka spuszczona od niechcenia, obrzwała jeszcze kiedy niekiedy listki róży wypadłéj z ubrania głowy; nóżka jedna pozbawiona pantofelka, uderzała jeszcze po krawendzi sofy takt tańca o którym zapewne marzyła w téj chwili.

Nie mógł nie spojrzeć na nią Otto; tak była naiwnie milutką, że długo wpatrywał się w nią,

zrazu jakby w coś takiego, co mocą swéj piękności porywa i czucie i wzrok; następnie zdawało mu się, że widzi jakieś łagodne światełko, które na chwilę zabłysło w czerni jego ponurych myśli, i że anioł zstępuje do jego rozognionéj duszy. Wpatrując się tak ciągle w swoją narzeczonę, Otto uczuł w sercu to, czego jeszcze nigdy nie doświadczał... dreszcz zimny, od którego zęby mu się ścięły. Coś podobnego do wyrzutów sumienia ciągnęło mu usta jakby do śmiechu. Lecz wkrótce upamiętał się, a natenczas, nakształt dzikiego zwierza w klatce zamkniętego, z głową zwieszoną i oczami osłupiałemi, szerokiemi krokami zaczął chodzić po pokoju. Ile razy przechodząc koło śpiącéj, trącił nogą w sofę, dreszcz magnetyczny przeszedł mu po całym ciele.

Zgrawszy się, pozostają tylko dwie ostateczności: albo się utopić, albo pójść spać. Wybór tu zależy od usposobienia i od wysokości summy przegranéj. W każdym jednakże razie, jeżeli pierwszy zamiar nie będzie wykonany, drugi niezawodnym być musi lekarstwem, na uspokojenie umysłu i orzeźwienie głowy.

O jakże słodko jest, gdy z przepełnioném sercem i próżną kieszenią weźniemy nogi za pas, i wśród wiatru, gradu, nocy i burzy, wdzieramy się do naszego mieszkania na piąte piętro, a tam pod kołdrą, otoczywszy się ciemnością, łajemy, gryziemy, kłuciemy się, narzekamy, złorzeczemy,

i przelewamy żółć, dopóki nas zmordowanych sen nie umorzy.

Ale wpaść nagle z szulerni, wpośród familję, złożyć głowę na łonie żony, i słyszeć jéj serce, bijące z niespokojności i oczekiwania, widziéć oczy i usta, które cię badają, tłumić w sobie wściekłość, i nie modz jéj na wierzch wytłoczyć wszystkiemi porami... jest to przéjść z jednego piekła w drugie, jest to tortura.... jakiéj Otto doświadczał.

To już przechodziło jego siły„ ani szeląga, rzeknie do siebie, ani szeląga, zniszczony do ostatka.... nędza, nędza, nędza dla nas wszystkich... niepodobna!... karafka wody stała na kominku, porwał ją Otto, i jednym tchem wypróżnił, pragnienie go paliło... zaczął znow chodzić w około pokoju, ciągle powtarzając jak Hamlet: Nędza!... Nędza!...

Nic nie ma szkodliwszego jak kołowanie, wilk kołuje, czarownica koła zakreśla, orzeł kołuje w powietrzu; słowem, kołowanie na złe wychodzi. Im więcéj też hrabia kół w pokoju zakreślił, tém więcéj zapalona głowa jego mąciła się... oczy mu zbielały, usta zsiniały, a policzki pałały, wymawiał słowa urywane i niezrozumiałe, cały drżał. Raz porywał objema rękami włosianną plecionkę, na którą w uniesieniu szaleństwa grał, jak gdyby na garść złota, i szarpał ją na swéj szyi; to znów chwytał za szpadę, a dobywszy jéj z pochew do po-

łowy, zdawał się mieć jakiś nieszczęsny zamiar, otwiérał znów okno, i na dół spoglądał. Zdawało się, jakby z niepewnością w wyborze, upatrywał więcéj lub mniéj prędkiéj śmierci.

Zaczął znów chodzić; lecz śmierć była w jego wzroku, poruszeniach, a nawet i w myśli. Nakoniec pozbawiony tchu stanął przed swoją małżonką, i spoglądał na jéj rysy twarzy czyste i spokojne. Biedne dziecię, gdyby się w tę chwilę przebudziło i ujrzało przed sobą owe widmo rozpaczą znękane, umarłoby z przestrachu. Lecz spała ciągle, a mąż jéj wziąwszy ją w obięcie poniósł do okna. Wychodziło na ulicę... brukowaną. Żywéj duszy nie było widać. Zakłada więc nogę za okno, spogląda jeszcze raz na swoją małżonkę... Daléj! jednym skokiem oboje!... W tém zegar u Missjonarzy uderzył czwartą. Słońce już zaczynało złocić choryzont, wpływ świeżego powietrza i wietrzyku obudził hrabinę. Otwiera wielkie niebieskie oczy, rzuca się na szyję męża, i tak blisko do ust Ottona, że... niegodziwiec, wolał żyć...

## VI.

Koniec jesieni bywa zwykle smutny: Natura tyle jest dobroczynną podczas wiosny, która wypogadza naszą duszę, równie jak niebo, i uśmiecha się do nas każdym kwiatkiem, taż sama na-

tura w Listopadzie napełnia nas ponurością niebo jest zachmurzone, liście na zczerniałych drzewach pożółkłe; zimno przéjmuje duszę, a opadające liście z drzew przypominają nam śmierć. Słowem czujemy wtenczas potrzebę obcowania z ludźmi poruszającemi się, chodzącemi, mówiącemi i zdrowemi; potrzebujemy ruchu, zajęcia abyśmy wmówili, w siebie że żyjemy.

Pora ta, większe wrażenie czyni na mieszkańcach okolic górzystych, mało zaludnionych; tam bowiem wszystko jest tęskliwe. W taką to porę bryczka jednym koniem zaprzężona, toczyła się na drodze z Spa de Malmedji.

Bryczkę zajmowali: woźnica i razem jéj właściciel, oraz dwóch podróżnych, młodszy, w kapeluszu na oczy spuszczonym, zajmował tylne siedzenie na zawiniątku z płaszcza, starszy siedział obok woźnicy; był to gruby niemiec, rumiany, milczący, i wielki palacz tytoniu. O milę za miastem, nałożył sobie fajkę, skrzesał ognia, i zaczął puszczać gęste kłęby dymu. Jak tylko sąsiad jego, poczuł zapach tytoniu, natychmiast dobył rogowy cybuszek, i niedbając na to, że mu saméj lulki niedostawało, wziął go w usta i zaczął ciągnąć jakby miał piankową fajkę napełnioną najprzedniéjszym tytoniem. Zadziwiło to mocno naszego podróżnego, ale, będąc niemcem, nieokazał tego zrazu, oczekując zawsze, rychło woźnica dokończy

urządzać swoją fajkę, tymczasem ani lulki, ani tytoniu, ani krzesiwka nie było widać. Woźnica poganiał konia, i ssał ustawicznie swój rogowy cybuszek. Zniecierpliwiony naostatek niemiec tém, że jego sąsiad pali fajkę bez lulki i tytoniu, otworzył szeroko usta, i niby z gniewem zawołał:

— Saperment! chłopcze, czy djabła masz w ciele?

— Zgadłeś pan, odrzekł woźnica.

Któż pojmie zdumienie niemca, usłyszawszy taką odpowiedź. Zaczerwienił się, oniemiał, lecz zaraz przeżegnał się, bo był prawowiernym chrześcijaninem.

— Djabła! djabła! zawoła...

— Tak, tak panie, djabła, samego djabła!... raz w życiu mojém miałem to nieszczęście być jego pocztyljonem, a wtenczas stłukła mi się najlepsza lulka, jaka kiedy mogła być zrobiona, i od tego czasu, smokczę cybuch rogowy, ażeby przecież nie odwyknąć od potrzeby mojego życia, i żeby mi usta nie zamknęły się, jak przykrywka na tabakierce... he! wio! he!...

— Djabła! djabła! powtarza ciągle przestraszony niemiec...

— Tak jest mein Herr, byłto dalibóg piękny młodzieniec, wystrojony, upudrowany, sypiący dużo pięknych słówek, i dukatów, ladaco francuz... jednym słowem djabeł, bo wyłudził odemnie za 10 dukatów nazwisko poczciwego czło-

wieka, zgubił młodą dziewczynę i zniszczył starego wojaka Rossmanna węgra... Będzie to temu dwa lata, ale ja dobrze pamiętam, i nigdy tego nie zapomnę...Ile razy mi to na myśl przyjdzie, zaraz mi się na płacz zbiéra.

— Uważajże chłopcze, koń wyszedł z kolei strzeż się, żebyś nie przewrócił.

— Ohe! hej, nic to nic! Dalej kasztanku, naprzód śmiało, już dojeżdżamy do naszego celu... Biedny pan Rossmann, przyszedł do upadku, zeszczętem zniszczony, przymuszony został szukać schronienia w nędznéj lepiance za wsią, daleko od Sauveniere, a przecież był kiedyś bogaty, i szczęśliwy... miał młodą ładną córkę... A tém wszystkiém moja jest wina,... bo razu jednego przywiozłem djabła... Oh! serce się kraje, człowiekowi mającemu jeszcze cokolwiek sumienia.— Boże! zmiłuj się nademną.

— Dalibóg, chłopcze, jak nieprzestaniesz, to i ja się z tobą rozbeczę!... Jednakże, powiedz mi, jakto, więc djabeł?...

— Oh!... mój panie, długo by to było powiadać... Poprzysiągłem sobie, od tego czasu nie palić tytoniu, i nic o tém niegadać... Nadjeżdżamy tu właśnie do wsi, bo podkowy końskie dzwonią po bruku, a światła błyszczą się jakby gwiazdy... Pojeżdżaj kasztanku, zaraz staniemy, dostaniesz obroku. — Koń stanął, bryczka skrzypnęła, i z pod płóciennego pokrycia wysiedli podróżni,

zapłacili woźnicy i odeszli każdy w inną stronę, a raczéj gruby niemiec, zmierzył swe kroki ku karczmie, oznaczonéj na wchodzie wichą sosnową, drugi zaś, zatrzymujący się przed woźnicą, popuszczającym właśnie koniowi popręgi, zaczął z nim następującą rozmowę, nie odwijając nawet swego płaszcza.

— Czy to jest Sauveniere?

— Tak panie.

— Długo tu myślisz zabawić?

— Do jutra panie.

— Dobrze więc, jeżeli mię chcesz odwieźć do Spa, bądź gotów skoro świt.

— Dobrze panie.

— Oto masz, wypij za moje zdrowie. I dał mu talara. Więcéj ci nie mogę dać.

— Oh! jesteś pan łaskaw, do jutra zatém, czekać będę przed karczmą.

Młodzieniec znikł, a woźnica długo za nim patrzał, jakby go jakieś dawne przypomnienie zajęło. Zdawało mu się bowiem, że już kiedyś słyszał podobny głos, i widział taką samą postać, i żywe oczy. Długo jeszcze szukał w swojéj pamięci tego przypomnienia, a nie mogąc nic dokazać, obéjrzał talara, schował wraz z cybuszkiem rogowym, i zaprowadził konia do stajni.

## VII.

Otto, on to bowiem był, niedługo potrzebował szukać lepianki starego węgra, na pół wystrzału od wsi znalazł w środku małego zarośla, nad brzegiem bystrego strumienia, budynek dość obszerny, do którego przyczepiony był, jak gniazdo jaskółcze, szałas z gałęzi jodłowych, z którego przez dwa otwory, służyć zapewnie mające za okna, przebijało się słabe czerwonawe światło. Do takiéj tedy lepianki zmierzały kroki hrabiego.

Wnijście było otwarte, znalazł się więc w izbie niskiéj i wilgotnéj. Zrazu nie mógł nic widzieć, lecz powoli, bądź to za pomocą zarzących jeszcze na kominku węgli, bądź też przyzwyczaiwszy wzrok do ciemności, zaczął rozeznawać w kącie przed kominem postać staruszka, głęboko zamyślonego lub spoczywającego, w wielkim dębowym krześle. Głowa jego, zupełnie z włosów ogołocona, odbijała słaby połysk z węgli, a ręce i nogi w jednostajnym były ruchu, tak właśnie, jak gdyby grał na jakim instrumencie, lub takt wybijał, rzeczywiście zaś prządł gruby len, nie wiedząc bynajmniéj o tém, że ktoś wszedł. Kobieca robotą w ręku mężczyzny, zawsze prawie jest piętnem niedołężności i zgrzybiałości. Jakkolwiek zupełnie inne uczucia zajmowały w téj chwili Ottona, nie mógł jednakże tego niepomyśleć. Z założonemi

rękami, wzrokiem wlepionym w starca, zamyślił się nad wszystko niszczącym czasem; trudno mu bowiem było pojąć, jak ciało człowieka, przedtém tak silne i krzepkie, dziś drży nakształt płomyka staréj lampy, a ręka, co niegdyś szablą władała, teraz ledwie wrzeciono utrzymać jest zdolna.

Otto zbliżył się do staruszka, i ukłoniwszy się, panie Rossmann, rzecze, witam cię.

Staruszek nie odpowiada, tylko wciąż przędzie.

— Czy z panem Franciszkiem Rossmann mam honor mówić, powtórzył głośniéj nieco hrabia.

Podniósł głowę i lekko zatrzymał.

— Nie spodziewałem się, żebyś mię pan poznał, gdyż dawno bardzo nie widzieliśmy się; lecz może nazwisko moie...

Staruszek powstał i lekko się skłonił.

— Jestem hrabia Otto.

Rossmann zmarszczył brwi, podniósł głowę, i wolnym głosem powtórzył: hrabia Otto... drugi raz spojrzał na niego, wszystkie członki zadrzały mu jak by w paroxyzmie febry, ręce opadły, i upuściły na ziemię wrzeciono. W téj chwili nagle izba została oświecona iasnym blaskiem, i młoda kobieta z lampą w ręku ukazała się pomiędzy hrabią i staruszkiem. Ojcze idź się połóż! Wyrazy te czarodziéjski wpływ na nim wywarły, albowiem natychmiast stał się posłusznym, i nie mówiąc ani słówka, nie obejrzawszy się nawet wyszedł.

Młoda kobieta zostawszy na miejscu nieporuszona oparta o krzesło, odprowadzała wzrokiem ojca; ale gwałtowne wznoszenie się jéj piersi, wydawało jéj pomięszanie i wzruszenie,

Skoro już wszystko ucichło, zawołała głosem przytłumionym i drżącym:

— Czy to ty panie jesteś?

Hrabia milczał, otrząsnął kapelusz z rosy wieczornéj, obtarł czoło spocone, i przybliżył się do ognia.

— Czy to ty panie jesteś? powtórzyła, o nazbyt późno przybywasz.

— Prawda, późno, a może już i zapóźno, przybywam.

— O! panie hrabio, nie sądź tak.

I wtém odsłoniwszy chusteczkę, która jéj pierś okrywała, wyjęła kawałek papieru złożonego, a podając go hrabiemu, rzecze z godnością:

— Oto jest rewers mojego ojca, na pańskie 15,000 frank: jest cały i nietknięty.... nigdy mię nie opuszczał — a jutro mości panie... jutro....

Drzenie głosu nie pozwalało jéj dokończyć. Wysilenie jéj aby pokryć wzruszenie, obecność hrabiego, słowa dopiero wyrzeczone, wyczerpały do reszty siły biednego dziewczęcia... padła na krzesło... Otto widząc ją omdlewającą, przyskoczył do niéj, ujął w swoje objęcia i siadł obok niéj. Przyszedłszy do siebie, spoglądała na swego kochanka, wzrokiem, w którym się malowała radość

nadziemska, wydawał jéj się piękniéjszym od słońca a dzwięk głosu jego, zdawał się przewyższać muzykę. W zachwyceniu porwała go za obie ręce, i podniosłszy do ust całowała.

— Oh! Henryku, zawołała, dla czegóż tak spóźniłeś się z przybyciem. Jleż godzin w cierpieniu i niespokojności, bez ciebie przepędzić musiałam! każdą minutę liczyłam od ostatniego widzenia się z tobą! a jednakże trzy lata, trzy wieczne lata przetrwać jedynie tyko na wyglądaniu twego przybycia, smutno jest i nieznośnie dla słabéj dziewczyny, w samotnych górach z jedynym starcem zostawionéj! Od téj chwili na żadnym jarmarku nie byłam, ani razu nie tańczyłam, i nigdy nie śpiewałam, chociaż śpiewanie najmilszą było dla mnie zabawą. Ciągle w oknie lub na progu, wyglądałam, wyglądałam tylko rychło przybędziesz... Oh męszczyzni są okrutni, nieprawdaż? bardzo okrutni!...

Otto uwolnił swoją rękę od całowania, i nic nie mówiąc spoglądał na nią.

— Przypatrujesz mi się, drogi kochanku! niestety! patrz do jakiéj nędzy przyszłam. Gorączka strawiła mię, nie pozostawiając nic, prócz suchych kości, wiatr północny zniszczył krasę mego lica; już nie jestem ową synogarliczką, którąś słyszał kiedyś śpiewającą przed swém gniazdeczkiem. To biedne serce ktore samą miłością napełniłes, jak kwiatek polny, deszczem przemoczony, zostało zni-

szczone! Już tylko cień że mnie; spojrzyj na moje ramiona, jak wyschły; oh! ile ja wycierpiałam!

— Biedne dziéwcze!

— Oh zapewne, prawdę mówisz, nie można już być biedniéjszą, jak ja jestem wraz z ojcem. Ciężko jest, będąc w dostatkach wychowanym, wpaść w niedostatek; okropnie jest trawić całe moje życie, na szyciu lub przędzeniu, i jeszcze w jakim celu? żeby zaledwie na nędzne życie zarobić. Nieszczęście nawiedziło nasz dom, wszystko straciliśmy. Ojca mego dwa razy wtrącono do więzienia, poszłam z nim dzielić jego los i chleb czarny. Po uwolnieniu nas, chciano mnie uważać za dziecko bez przytułku, i chciano mię gwałtem ojcu wydrzéć, musiał się jeszcze okupywać. Wyczerpawszy się do ostatka, byliśmy przymuszeni opuścić Sauveniere i zamieszkać tę oto lepiankę, w któréj żyjemy jak możemy, a często się zdarza, że nam brakuje na wszystkiém.

— Czy podobna?

— Prawdę mówię, odpowie Beata, dosyć rzucić okiem na około tych gołych ścian, żeby się przekonać, że nie zmyślam; a jednakże, Henryku, dla mnie większe szczęście było przeznaczonem; powinnam była nosić takie same koronki delikatne, jakich ty używasz, miałam być wielką panią, bo moja matka pochodziła z szlachetnego domu w Presburgu. Dom w Spa, w którym

matka moja zwykle mieszkała przez porę kąpieli; w którym ja na świat przyszłam, jeszcze do dziś dnia ozdobiony jest nad drzwiami wchodowemi tablicą z pręgami czarnemi i żółtemi, i złotą koroną. Nie widziałam nigdy mojéj matki, umarła ona kiedy jeszcze byłam tak malutka... Ledwie ją sobie mogę przypomnieć, i to tylko pamiętam, że mię zawsze nazywała: Beata, piękna Beata; — po łacinie znaczy to szczęśliwa. Węgry mówią po łacinie tak dobrze, jak po niemiecku; kiedyś i ja ię od ojca nauczyłam niektórych wyrazów, ale dotychczas już nic nie pamiętam. Szczególniéj od trzech lat nie jestem w stanie liter nawet rozróżnić; nie zajrzałam od tego czasu ani razu do biblji, a to jest grzech wielki: dlatego też Bóg mię srodze ukarał. Jednakowoż nie szemrzę na to: oh! nie! nie uskarżam się więcéj, Bóg mi zesłał znowu tego, którego kochałam, i kocham więcéj jak własne życie.

To mówiąc, rzuciła się na szyję swemu kochankowi.

Nie było wprawdzie żadnego porządnego związku w głowie biednéj dziewczyny, a wszelako, w tym chaosie, przebijał się zapał duszy, zdolny zmiękczyć najtwardsze serce. Prócz tego, należało się spodziewać podobnego potoku wyrazów, i uniesienia myśli. Serce długi przeciąg czasu uciśnione, potrzebuje wywnętrzenia się, osobliwie u kobiét. Otto nigdy nie przywiązywał wielkiéj

wartości do zniewolenia sobie téj młodéj dziewczyny, uważał on związki z nią, jako rzecz zupełnie obojętną, jako przypadek przemijający, mogący łatwo przystojnego spotkać młodzieńca. Rzeczywiście hrabia, pomylił się tutaj; albowiem tam, gdzie rozumiał znaleźć naturę w saméj prostocie, natrafił na uczucia delikatne, organizacją subtelną i wyższą. Uczucia, jakie z taką lekkomyślnością obudził wzmogły się; nieszczęścia, przeciwności, oddalenie, i tysiące innych okoliczności, żywiły je ciągle; a teraźniéjsze wypadki posunęły je do najwyższego stopnia mocy.

Poznał Otto odrazu wszystko złe, jakiego był przyczyną, ale nieprzewidział skutków, jakie ztąd wyniknąć mogły. Czy to przez obojętność, czyli też przez zaufanie w szczęściu, oddał się zupełnie wrażeniom teraźniéjszości; pomimo otaczającéj go nędzy, pomimo powieści woźnicy, i pomimo tego czego dopiéro był świadkiem, miłość Beaty, zapał jéj uczuć nadto szczerych, aby mogły być udawanemi, ręczyły mu za poczciwość starca; pewny wynalezienia jeszcze cokolwiek pieniędzy, nie myślał jak tylko o zagojeniu ran przez siebie zadanych, oddając się zupełnie tkliwym pieszczotom biednego dziewczęcia. Zaklinał się, że ją stale zawsze kocha, że nigdy o niéj nie zapominał, i że tylko ważne i nieprzewidziane okoliczności, trzymały go tak długo w oddaleniu.

Kobiétę, która kocha, jedno nic, jedno spojrzenie, zdolne jest pocieszyć i uspokoić. Beata też uwierzyła wszystkiemu; hrabia zaś, czując się być strudzonym podróżą, i potrzebując spoczynku, wyciągnął się w krześle, okrył płaszczem, i zasnął.

## VIII.

Już było późno w noc; na dworze nadzwyczajna burza wściekłość swą wywiérała. Swierki i jodły skrzypiały, miotane wichrem, który przedziérając się z gwałtownością przez szpary drzwi i okien świszczał przeraźliwie, gdy tymczasem ulewa spadająca z impetem na dach szałasu, sprawiała taki łoskot, jak gdyby kamienie miotała, deszcz bił w szyby, i przez otwór komina do reszty zalał żarzące się jeszcze cokolwiek węgle. Ciemno było zupełnie, księżyc tylko kiedy niekiedy wychyliwszy się na chwilkę z pomiędzy czarnych chmur, rzucał promień bladego i ponurego światła. A jednakże wśród tego wszystkiego, nasz podróżny spał twardo, nie słyszał nawet, jak Beata, lekka jak ptaszek, krzątała się około niego.

Chciała ona zaraz rozniecić na kominku ogień, lecz to było niepodobnem; musiała zatém tego zaprzestać, i położyła się w nogach swego kochanka. Uchyliła potem lekko płaszcza, a widząc, że go nie obudzi, przybliżyła się aż do jego serca!

Jakże była wtedy szczęśliwą! skarb odzyskany, tyle jest szacownym! chciałaby w téj chwili umrzéć; pragnęłaby, żeby jéj objęcia zamieniły się w łańcuch spizowy, aby już nie rozłączyć się ze swojém bożyszczem.

Tymczasem Otto, czyni poruszenia, podnosi głowę i otwiéra oczy; czuje, że ręka zimna, jak lód i koścista, przeszedłszy po jego twarzy, zatrzymała się na szyi. Dreszcz go przebiegł całego, chce się wywikłać z fałdów płaszcza, gdy w tym słyszy głos, który mu się zdaje wychodzić z daleka, ale który natychmiast poznał:

— Mój ojcze, połóż się!

Nagle przy blasku księżyca, spostrzega postać mężczyzny w pośrodku między oknem a kominkiem stojącą, a potem drżącemi krokami poruszającą się i niknącą w ciemności. Otto, który jeszcze powątpiéwał o tém co widział i doświadczał, tak nagłe było, ukazanie się i zniknięcie owego zjawiska, nie zadał sobie nawet pracy wyjaśnić rzecz, odezwał się tylko:

— Czy to ty Beato byłaś?

— Tak jest, ja.

— Czemuż nie spoczywasz?

— Nie mogę zasnąć, straszny wicher.

— Czy noc jest burzliwa?

— O i bardzo.

Na tém się rozmowa urwała. Hrabia zwiesił głowę i znów zasnął. Co zaś Beata, cała drżąca

i wzruszona, nie zmarszczyła oka, tylko wróciła na swoje miéjsce przy nogach kochanka. Zdarzenie którego dopiéro była świadkiem, odkryło jéj straszną tajemnicę; poznała zhańbienie swego rodzica, i ocaliła życie hrabiemu.

IX.

Poranek po owéj burzliwéj nocy, był posępnym i złowrogim nietylko dla familji węgra, ale nawet i dla hrabiego.

— Czy twój ojciec Beato, jeszcze spi?

— Tak mnięmam, nie zwykł bowiem rano wstawać.

— Cóż to ci moje dziecię, cierpisz?

— Nie mogę znieść zimna w nogach.

— Czemuż nie wzniecić ognia?

— Nie mamy drzewa.

— A z sąsiedztwa?

— Nie ma tu żadnego.

— Czyjeż są te zabudowania, co tu przytykają?

— To jest huta, nawet niedokończona.

— Biédne dziecię!

— O zapewne że biédne!

— Cóż mam uczynić dla ciebie?

— Wszystko! — wyprowadź mię z tąd.

— A ojciec twój?

— Cóż mię to obchodzi, jeżeli mię kochasz?

— Niestety, ja nie mogę!

— Więc Boże! zlituj się nademną!

Beata wymówiła te ostatnie słowa, głosem tak przenikającym, że hrabia uczuł w sobie głębokie wzruszenie, spojrzał na nią; siedziała w krześle bez ruchu, z twarzą wybladłą i wzrokiem osłupiałym.

— Moje dziécię, wyjdźmy.

— Dokąd?

— Na górę, przéjdziemy się nieco po drodze.

— Dobrze.

Otto okrył ją swoim płaszczem, sam zapiął frak aż pod brodę, i wziąwszy się oboje pod ręce wyszli.

Zbliżali się właśnie do ścieszki prowadzącéj do wioski, gdy spostrzegli człowieka ku nim idącego; wrócili się więc i szli wzdłuż brzegu strumienia który przepływał około mieszkania Rossmana.

Słońce wychyliło się z zaobłoków; piasek spłukany deszczem, i ugładzony wiatrem, chrupał pod stopami i, za każdym krokiem rozsypywał drobne świecące kamyczki w różnych kolorach. Powietrze się nieco ociepliło, jak właśnie ostatni uśmiech jesiennéj pory. Szli w milczeniu. Dopóki strumień płynął po łące, przechadzka ich była dosyć

przyjemną. Ale niebawem inny obraz przedstawił się ich oczom, natrafili na skały, strumyk stał się potokiem, który pędząc z szumem po kamieniach i spadając nakształt kaskady, nasladował ryk zwierząt, Za każdym krokiem nowe napotykali trudności, słowem ujrzeli się w pustyni. Wicher i burza zeszłéj nocy, nagromadziły tu odłamy skał, i drzewa skorzeniami powyrywane. Myślałby kto może, że hrabia i Beata, znajdowali jaką przyjemność w tym obrazie spustoszenia; albowiem, nie zatrzymując się szli ciągle.... Ale dokąd?.. Bóg to raczy wiedzieć... Postępowali coraz wyźéj i wyźéj, aż doszli nakoniec do skały, którą trzeba było koniecznie obejść, a która przerażała okropnością.

Doszedłszy do tego miejsca, zdawało się Ottonowi, że rostropność każe wracać; dość było póżno, i starzec mógł się już przebudztć. Wziął zatem Beatę pod rękę i tąż samą drogą zaczął schodzić. Potok szumiał poniżéj, Beata z zwieszoną głową, w milczeniu powracała, i z takąż samą obojętnością z jaką wstępowała na górę. Nagle stanęła.... trzeba było przéjść po pniu, łączącym dwie skały.

— Czegóż się lękasz Beato?

— Nic to, ale ja nie mogę przéjść.

— Dziecińśtwo, tu przecie raz przechodziliśmy.

— Kręci mi się w głowie od waru wody.

— Dajże mi rękę.

— Oto jest.

— Strzeż się, padamy...

— Przebacz mi Henryku.....

. . . . . . . . . . . . . . . . .

O! niech szydzi kto chce z serca kobiéty, ja zawsze utrzymuję, że to jest najszytniéjsze dzieło Boga. Czy może być co wznioślejszego, jak kobiéta, uważająca cierpienia za szczęśliwość, i zwracająca do siebie kielich goryczy, mężczyźnie przeznaczony. Istoty nieszczęśliwe! niech gardzi waszém sercem kto ma na to odwagę; ale jeżeli jest raj, piękniéjsze tam dla was jest miéjsce, jak dla nas; jeżeli jest sprawiedliwość, ta będzie względniéjszą na wasze występki, jak na wasze błędy.

# SAMOTNE GROBY.

*(Z obrazów podróżującego malarza.)*

---

Nadeszła wiosna, i pokryła żywą ziélonością nadreńskie góry. Obszerna dolina Renu, stała się miéjscem uroczystości, do koła brzmiały odgłosy muzyki i śpiewów. Słuchacze i widzowie gromadzili się wszędzie; najgorsze jednak miejsce, było na statkach parowych, bo najpiękniéjszą część harmonji głuszył łoskot machiny i szum wałów.

To jest najstosowniéjszy czas dla młodego malarza, do zbiérania wzorów w téj wielkiéj galerji z wspaniałym błękitnym stropem, w któréj swiatło tak stosownie z góry pada.

W moim pokoiku w Düsseldorf, było mi za ciasno, jak ptaszkowi w klatce za nadéjściem wiosny.

„Te ściany mię cisną, oddychać nie mogę,
Więc daléj, kij w rękę, i puszczam się w drogę."

— Dokąd? zapytał mój przyjaciel; przecie nie do Aar!

— Bez wątpienia, nie! odpowiedziałem; ty już tam wszystko zebrałes. Nie masz tam najmniéjszego kącika, któryby się nie znalazł w twojéj podróżnéj tece.

— A więc gdzie?

— Nad Ren; gdzię miasta i skały, kwiaty i ładne dziewczęta.

— Brawo! będziesz mógł zbiérać kłosy po żniwie!

— Bajki! znam ja się na tém; bo gdzie ryczą fale, sterczą opoki, a bluszcz wije się po sprochniałych szczątkach gór, gdzie nawet dusza ludu mieściucha, staje się poetyczną. Tam, przyjacielu stała moja kolébka, tam bawiłem się w dzieciństwie, tam malowałem pierwsze kocie łapki na papierze, tam piérwszy raz kochałem; wreszcie, na tém znam się lepiéj niż wy wszyscy. Chcesz wiedzieć w któréj szkole zebrałem te szkice, które z powodu ich oryginalności, piękności i siły, tyle razy wychwalałeś, tam; ale nie w wielkiéj dolinie Renu, gdzie pełno malarzy anglików, statków parowych i popisujących się jezdców; nie, tam nie ma ani jednego drzewa, któregoby nie odmalowano, żadnéj ruiny, eh! nawet, żadna kobiéta nie może być pewną, czy jako nadreńska ruina nie została na papier przeniesioną. Moje szkice, zbiérałem na przyległych Renowi dolinach, które jakkolwiek małe, nieopisane, bogatemi są w cudowne widoki.

Po długiém niezmiernie „Aa — tak“ nastąpiło „*Addio* i życzę dobrego powodzenia!“

„Wesołym ochoczym biegiem,
Młodzian idzie Renu brzegiem.“

Hożo przeciw prądowi, który zielonawe swe wały u stóp jego piętrzy, i

„O zakład z śpiewem słowika,
Nuci piosnkę wędrownika.“

Gdy się przejścia w górach zielonością pokrytych zaczęły zwolna ścieśniać, opuściłem wielką dolinę, i przebiegłem pobliskie mniejsze doliny, gdzie znalazłem więcéj niż się spodziewałem. Jedna z nich szczególnie mię zajęła. Gdzie leży? Niepowiem. Jesli ją znacie, mój opis zaraz-by ją wam przypominał. Nieznacie zaś, to szukajcież jéj, nie chcę was pozbawiać niespodziéwanego na widok jéj wrażenia.

Dość, że leży tam, gdzie olbrzymi syn Alfo, mruczy w swém łożu, na zuchwalstwo opok, które mu na drodze stają; i znosi to cierpliwie jedynie dla tego, że to są starzy wierni świadkowie, którzy jeszcze przy kolébce jego stali.

Leży tam, gdzie rośnie ogniste wino, które tak lubicie, gdzie ruina nad miasteczkiem szydzi z zębów czasu; gdzie żywy obrazek anioła, podał mi pokrzepiający napój, gdy znużony na ciele, a świeży na umyśle, wieczorem z dziennéj wędrówki

wracałem — tak, tam ona leży, i od wielu lat zawsze ją z łatwością znajduję; bo moje serce jest drogowskazem, i zatrzymuje się pod złotą kotwicą, gdzia mieszka aniołek, którego lica tak pięknie umalowało przyrodzenie, i na którego widok, muszę zawsze zanucić.

„Lica twoje,
Róż zawoje,
Oczki jak fijołek,
Wzrok radośny,
Uśmiech wiosny,
To żywy aniołek.“

Wysokie kamienne ściany, najdzikszych kształtów, śmiejące się łączki, pełne niezapominajek, a w cieniu olszów nad strumieniem młyn stary pod skałą, która mu co chwila grozi zgruchotaniem, wodospady, chociaż nie takie jak w Tivoli, jednak zdolne zachwycić oko wędrowca, to las, to krzaczki wiszące na skałach; oto są szczegółowe rysy. Całą dolinę opisać byłoby za trudno. Wzdłuż jéj liczą godzinę drogi, ku końcowi wznosi się zwolna, i zakończa się w górze, jak człowiek w starości, płaszczyzną prozaicznego bardzo ornego pola. Tu kończy się jéj powab.

Ale w górze jéj leży wieś kościelna, któréj stara piękna świątynia poważnie spogląda w dolinę. Często widok ten naprowadzał mię na myśl o życiu człowieka. Młodość, dzika jak ta dolina, po-

tem coraz bardziéj pusto smutnie jednostajnie, na koniec kościół i cmentarz, port spokojności po burzliwéj przeprawie.

W pośród doliny już podczas pierwszego mego tam pobytu, zajęła mię skalista ściana olbrzymiéj wielkości. Ogromny dąb na jednéj stronie wydaje się małą roślinką obok siedmdziesiąt stóp wysokiéj opoki; dąb ten nie jest istotnie nadzwyczajny wysokością ale niezmiernie rozłożysty. Po drugiéj stronie zębato postrzępione dzikiemi krzewami szczyty. Ze środka chropowatéj ściany wypływa wąską rospadliną obfite źródło, i w pjanę przemienione na dół spada. Brzeg źródła otacza mech najżywszéj zieloności, od któréj wspaniale odbijają się śnieżyste bukiety saxifragi. W innych rozpadlinach zielone lub kwitnące kraczki; w gorze zaś dzikie zarośle głogu i leszczyny, u spodu mała jedwabno zielona łączka, równie w około krzaczkami uwieńczona. Tak ona leżała na złotém tle wieczornego słońca, przed upojonym wzrokiém moim. Szybko wstąpiłem na wzgórze, i zacząłem rysować.

Skończywszy rysunek, zstąpiłem z wzgórza i wszedłem na inny w stronie zachodniéj, chcąc spocząć i ostatnim promieniom słonecznym dobra noc powiedzieć.

Już niebo okryło się szkarłatem, a kilka obłoków przedstawiało najwspanialsze cieniowanie kolorów, od świetnie złotego, aż do ciemno błękitnego,

gdym doszedł w górę. Przedzierałem się przez krzaki, które jak pas otaczały małą wonną łączkę, i nagle znalazłem się przed dwoma mogiłami!

Zielona murawa z białemi stokrotkami, żółtemi sasankami i błękitnemi fijołkami, pokrywała je; obie blisko obok siebie wzniesione były a pomiędzy niemi stał jeden tylko krzyż. Wrażenie które widok tych grobów ne mnie uczynił, było bardzo głębokie.

Samotność, piękność miejsca, zachodzące słońce, śpiew słowików, i rzewny dzwięk dzwonów kościołka, wszystko to przejęło mię tém cichem smętném zamyśleniem, które najuroczystsze w życiu sprowadza godziny.

Ale tu groby! tu gdzie nie ma żadnego poświęconego cmętarzu. Rzecz dziwna! zapewne dwoje ludzi którzy tu życie postradali? Albo może dwóch dziwaków. Któż to wie!? Niech Bóg błogosławi pobożną rękę, która tu krzyż ztknęła! Był on nowy ale groby widocznie były dawniéjsze. Poszedłem ku staremu dębowi, urwałem kilka gałązek, i jakby instynktem wiedziony, splotłem wieniec który zawiesiłem na krzyżu. Wieczny wewnętrzny głos mówił mi, że tu coś nadzwyczajnego zaszło.

Dawno już słońce zapadło za góry. Obłoki zamieniły złoto na ciemny szkarłat, i zbierały się grożąc burzą; ale słowiki jeszcze śpiewały. Smutném spojrzeniem pożegnałem dwie mogiły, i udałem się ku gospodzie pod złotą kotwicą, w za-

miarze zapytania się mego aniołka z fijołkowemi oczkami, o szczegóły tyczące się owych grobów na górzę, na których krzyżu zawiesiłem dębowy wieniec.

Znalazłem lube dziewcze w ogrodzie, pod sklepieniem jasminowéj altanki.

Pierwsze zapytanie po uprzéjmem wzajemnem powitaniu było:

— Kto spoczywa w owych dwóch mogiłach?

— Jest to smutna powieść odpowiedziało dziewczę, a jéj piekne rysy przybrały smętną powagę. Chcesz pan ją usłyszeć? Wprawdzie wypadek ten nie za mojéj pamięci wydarzył się, ale mój ojciec kilkakrotnie mi o nim opowiadał, i każde dziecię w okolicy, umie go na pamięć.

Oświadczyłem chęć usłyszenia z ust jéj téj powieści, a ona tak mówić zaczęła.

— Jeszcze wtedy gdy okolica ta, była pod rządem francuzów, a ich celnicy otaczali granicę, wielka część rodzin utrzymywała się jedynie z przemycania: ten rodzaj handlu zajmował nie tylko nadbrzeżnych szyprów, ale prócz tego mnóstwo przedsiebierczych wieśniaków miało w nim udział, pomimo połączonych z tém niebespieczestw, które, zważywszy surowość kar któremi grożono, nie małe były. Zarobek każdego wabił, bo był znacznym.

Wtedy żył w wiosce, któréj kościelną wieżę musiałeś pan widzieć, młody człowiek ośmnasto-

letni, poczciwy, dobry i prócz tego najłagodniéjszy w całéj okolicy. Nazywał się Konrad.

Ale pod względem losu, Konrad nie tyle mógł o sobie powiedziéć; nie miał żadnych krewnych, po którychby mógł się spadku jakiego spodziéwać, a zatem żadnego widoku na przyszłość, prócz w pracy rąk własnych i przemyśle. Jego ojciec i matka spoczywali pod darniowém pokryciem, brata zaś ani siostry nie miał. Był więc zupełnie sam wpośród świata, bez domu, bez piędzi własnéj ziemi; a jednak wszyscy we wsi dobrze go uważali, bo był bardzo zacnym i poczciwym człowiekiem. Bardziéj jednak niż wszyscy, lubiła go Marja. Marja liczyła wtedy lat piętnaście.

Była to najpiękniéjsza dziewczyna w téj saméj wiosce. I ona była sierotą i biedną. Cóż dziwnego, że wspólność losu zbliżyła te dwie istoty, i ścisłym je złączyła węzłem? Nikt nie mógł zaprzeczyć, nawet najzazdrośniéjsze dziewczęta, i chłopaki, że Konrad i Marja, byli najpiękniéjszą parą w całéj okolicy. Marja służyła u pewnéj wdowy, Konrad zaś najmował się dziennie do roboty. Co zarobił, to Marja chowała u siebie, i dokładała wszystko, co z zasług swoich mogła oszczędzić, dopókiby się nie zebrała sumka, za którą mogliby sobie wybudować chatkę, a potem połączyć się małżeńskim węzłem.

Zdarzyło się raz, że Konrad bardzo użalał się na brak roboty.

— Posłuchaj, rzekł mu jeden z nadbrzeżnych szyprów, masz silne barki, smagłe nogi, i widać ci z oczu, że potrafiłbyś w pole wywieść nie jednego celnika, czemu nie zostaniesz kontrabandzistą, mógłbyś piękne pieniążki zarabiać.

To była iskra, która dzielnie paliła. — Prędko ułożyli się, i Konrad tego jeszcze wieczora dał dowód swéj zręczności.

Wesoło i z płonącém wéjrzeniem, włożył nazajutrz błyszczący pięcio-frankowy pieniądz, w drżącą rękę Marji.

— Jakim sposobem tak dużo za.obiłeś, zapytała, patrząc mu w oczy.

— Zaniosłem pakę kontrabandzistów aż pod las, dobrze mi zapłacono, nieprawdaż?

Marja uśmiechnęła się, bo nie pomyślała o niebezpieczeństwie połączoném z tym rodzajem zarobku. Usłużył, i zapłacono mu, o czemże więcéj mieli myśléć. Oboje widzieli tylko w tém bogate źródło, które mogło przyspieszyć jedyny wspólny cel ich życzeń.

Tak upłynęło pół roku. W dzień Konrad pracował jeśli mógł dostać robotę, a wieczorem pomagał kontrabandzistom. W ten sposób, sumka szybko się zwiększała, i Marja, choć jéj serce radośnie biło, bo Konrad kupił już miejsce na chatkę i ogród, a do wiosny mogli być pewni u-

zupełnienia potrzebnego na resztę wydatków zapasu, Marja, smuciła się jednak, bo jéj zarobek, bez porównania był mniéjszy od zarobku Konrada.

Nadeszła zima, śnieg okrył okolicę, i wysoko leżał w górach. Ren zamarzł, i lud tak był gruby, że nawet wozy po nim pojeżdżać mogły.

Celnicy podwoili czujność, ale chytrość kontrabandzistów potrafiła ich jeszcze oszukać. Ubiérali się oni zupełnie biało i białemi płachtami pokrywali paki towarów. W ten sposób, nie różnili się od barwy całéj okolicy, i unikali wzroku celników. Przechodząc po dziesięciu lub dwunastu wzdłuż Renu i brzegami spadzistych skał.

Najważniéjszą częścią wyprawy, było ominąć drugą linję celników. Wzmocniono ją od niejakiego czasu znacznie, gdyż znajdowane ślady na śniegu, wyraźnie świadczyły o popełnianem przemycaniu. Co wieczór kontrabandziści obiérali inną drogę aby uniknąć celników.

Jednego wieczora, w Styczniu 1811 roku, przyszedł Konrad do Marji, prosząc ją, aby o północy znajdowała się na szczycie owéj góry, gdzie pan dwie mogiły widziałeś, i uważała, czy niema w bliskości celników. Miał on z trzydziestu innemi przechodzić z towarami, wzdłuż kamiennéj ściany. Dał jéj przytém latarnię, którą miała zawiesić na wskazanem drzewie, tak, aby tylko z dołu

idącym mogła być widzialną. To miało być oznaką niebezpieczeństwa.

Marja, z bijącém sercem, przyrzekła jak najdokładniéj wypełnić polecenie, ale po raz pierwszy, zaklęła Konrada, aby wyrzekł się tego niebezpiecznego rzemiosła, przeczuwając zły kiedykolwiek koniec.

Konrad żartował z jéj niespokojności, i opuścił ją z wesołym umysłem, spiesząc na niebezpieczną wyprawę.

Wieczór był bardzo ciemny, tylko połysk śniegu mógł dobrze znającemu wskazać drogę. Ale po nieznacznych ścieszkach w górach puszczać się w taką porę, było bardzo niebezpiecznie. Powietrze było gęste i mgliste. Żadnéj gwiazdy na niebie pokrytem śniegowemi chmurami.

Powoli płynęły Marji godziny przy kądziołce. Nakoniec wybiła na wieży kościelnéj jedenasta, i Marja za pozwoleniem swojéj pani, udała się na przeznaczone miejsce.

Ostrożnie sunęła się ona, skrywszy fartuszkiem latarnię. Wszystko było cicho do koła, ziemia wydawała się jak mogiła pokryta śniegowym całunem. Serce Marji odetchnęło, kiedy zbliżała się do wskazanego miejsca, niedostrzegłszy żadnego celnika po drodze.

Stała w téj chwili przy owém drzewie, na którém miała, w razie niebezpieczeństwa, zawiesić ostrzegającą latarnię.

Po drugiéj stronie w dzikiém zaroślu, odezwał się złowrogim głosem puchacz, i echo długo smętnie ten dźwięk powtarzało. Smiertelny przestrach przejął trwożną dziewczynę. Przycisnęła się do drzewa, jakby żądała od niego opieki. Przez chwilę było zupełnie cicho. Znowu ozwał się jęk puchacza, biédna dziewczyna drżała jak listek. W tém, dźwięk wieżowego zegara oznajmił godzinę, dwanaście powolnych uderzeń! Północ! pora, w któréj groby otwiérają się, i szkielety rozpoczynają śmiertelny taniec. Znowu ozwał się puchacz. Wiatr świszczał po suchych gałęziach drzewa. Włosy Marji powstały, trwoga jéj coraz zwiększała się. Piérwszy to raz w swém życiu, o téj porze, wpośród ciemnéj nocy znajdowała się pod gołém niebem. Zaczęła się modlić. Dusza jéj uspokoiła się cokolwiek. Nie wiedząc prawie co czyni, opuściła stanowisko, i udała się w stronę, z któréj nadéjść mieli kontrabandziści. Trwoga przyspieszyła jéj kroki. Już była niedaleko od kamiennéj ściany, ale lękała się, żeby nie spadła. Ukryła się w małém wydrążeniu skały przed silnie dmiącym wichrem i przed mnóstwem rzeczywistych i urojonych niebezpieczeństw.

Wkrótce usłyszała zbliżających się. Rozróżniała ich kroki i ciche wzajemne ostrzeżenia, żeby się za bardzo do brzegu skały nie zbliżać. Serce Marji już nie czuło obawy. Wiedziała, że Kon-

rad się zbliża, wstępuje wyżéj; w tém wiatr odrzucił fartuszek zakrywający latarnię.

— Zdrada! zdrada! krzyknął najbliżéj stojący, i zwrócił się, cały orszak w pomięszaniu, każdy pragnie jak najspieszniéj uciekać.

Napróżno Marja woła, z razu cicho, potém głośniéj, nakoniec rozdziérającem głosem rozpaczy! — już za późno.

Prawie wszyscy razem, ci nieszczęśliwi spadają w okropną otchłań. Przerażający krzyk, potém milczenie grobowe daléj jęki, zwolna głuchnące. Marja skamieniała, krew jéj zastygła, serce bić przestało! Nagle rospacz ją ogarnia, bo smutna pewność jak grom uderzyła jéj duszę.

Biegnie nad brzeg.

— Konradzie, mój Konradzie, zawołał. Ale śmierć nie może odpowiedziéć. Marja rzuca się za swoim kochankiem, którego śmierci, mimowolną była przyczyną.

Opowiadająca, przerwała mowę. Mnie samemu, przyznam się, zimny lód ściął krew w żyłach

– I? zapytałem po długim przestanku.

— Niedaleko stali, niczego się niespodziéwając celnicy, usłyszeli krzyk, i przybiegli do miasta. Szybko mnóstwo ludzi z pochodniami, udało się na miejsce. Jakiż okropny widok przedstawił się ich oczom!

Dwunastu nieszczęśliwych i Marja leżało u podnóża kamiennéj ściany. Wszystkich ciała okropnie były pogruchotane.

Dwóch żyło jeszcze, i nawet przywrócono ich póżniéj zupełnie do zdrowia, z ich opowiadania dowiedziano się o szczegółach tego okropnego zdarzenia. — Wszyscy zostali pochowani na cmentarzu wiéjskim, tylko Konrad i Marja których ciała najokropniéj były zgruchotane spoczywają na górze. Na ich to mogile, zawiesiłeś pan dzisiaj wieniec. Pokój ich popiołom!

Miła opowiadaczka otarła łzy z pięknych swych oczu, ja także uczułem, że moje oko było wilgotne.

Nie raz jeszcze zwiedzałem to miejsce i teraz zwiedzam je corocznie, a zawsze wspomnienie losu nieszczęśliwych kochanków napełnia serce moje smutkiem i uroczystą rzewnością. Znajduję zawsze świeże wieńce na krzyżu, które ręka mojego aniołka z pod *złotéj kotwicy* w mojéj nieobecności tam zawiesza.

# KAMIENNA ŁAWKA.

(*Z niemieckiego.*)

Na ulicy Tirechappe w Paryżu, leży kamień w kształcie nieforemnéj ławki, tu i owdzie pokryty czarnoczerwonemi plamami. Już nieraz obojętnie przeszedłem tamtędy, a nawet pomyślałem sobie, że nie można było gorszego miejsca wybrać dla tego kamienia, bo w ciasnéj uliczce, między dwoma domami położonéj i swojém bronatném pokryciem podobny nieokrzesanéj kryle skały, zdaje się urągać przechodzącym, którzy z trudnością tylko między nią a okopconym murem przesunąć się mogą. Późniéj jednak, dowiedziawszy się o powieści z tym kamieniem związek mającéj, widok jego obudzał we mnie jakieś pomięszane uczucie trwogi i uszanowania. Jako na jedyny pomnik wzruszającego i wzniosłego, poświęcenia się, patrzałem nań z uroczystém uczuciem, jak wędrównik wsród samotnéj okolicy, patrzy na utkwiony w ziemi krzyż, który mu spełnione na tém miejscu jakieś zabójstwo na pamięć przywodzi.

Powieść jest następująca:

Będzie temu około lat sześćdziesiąt, mieszkała tu na trzeciém piętrze jednego z dwóch naprzeciw ławki stojących domów, sama z matką swoją biedna młoda dziewczyna, nazwiskiem Eliza Morel; była ona tak piękna, tak ujmująca, że z oczu jéj można było wyczytać iż z urodzenia niebyła przeznaczoną do ubóstwa.

Istotnie, Eliza i jéj matka niezawsze żyły w niedostatku, ale ubóstwo jest to rana, która coraz daléj rozszerza się i co dzień więcéj niszczy. Przymuszone były przedać wszystkie swoje rzeczy; a nawet mówiono, że na wexel pożyczyły dość znaczną summę.

Ponieważ nieszczęście nigdy samo nieprzybywa, pogorszył się jeszcze stan ich, gdy matka Elizy ciężką słabością złożoną została.

Właśnie w tym samym czasie, uczciwy, zacny młodzieniec, z ulicy Tirechappe nazwiskiem Robert Dumonteil zabrał znajomość z Elizą. W sąsiedztwie nie wiedziano jakim sposobem widują się z sobą i o czém rozmawiają. To zostało tajemnicą między niemi.

A jednak o niczem złém nie myślano, nie dla tego że zbywało wtedy na złośliwych językach, ale ponieważ Eliza była tak dobrą, obyczajną i czystą, tyle niewinności wyrażało jéj czarujące oblicze, które rumieniło się na najmniéjsze słówko, że nikt nie mógł odważyć się pomyśléć o niéj co złego, a tem bardziéj mówić.

Pewnego dnia jeden z gości u pani Sanson, u-rz ymującéj dość porządną traktyjernię, opowiadał, że stan biednéj, dobréj Elizy i jéj matki, coraz się pogorsza, że nadszedł czas zapłacenia wexlu, a one dopełnić tego nie są w stanie, że nawet o uwięzieniu ich mówią. Robert był obecny; zbladł i głos jego drżał. Wkrótce odszedł.

Wieczorem, kiedy znów siedział za stołem u pani Sanson, uważano w nim wielkie pomięszanie; i prawie nieprzytomność umysłu; mówił sam z sobą, a jego oczy błędnie do koła spoglądały. Za nadejściem nocy, widziano go siedzącego na kamiennéj ławce przed oknem Elizy. Ulica była pusta i bezludna. Wkrótce późniéj spostrzeżono lekki biały cień obok niego, i rozróżniano postać kobiéty; nikt nie wie o czem mówili, ale Robert w brew zwyczajowi swemu, późno wrócił do domu, smutniéjszy i posępniéjszy jak kiedykolwiek.

Robert był od niejakiego czasu, w obowiązku u bogatego kupca na rogu téj saméj ulicy, i kupiec ten, bardzo go dobrze uważał. Następnego poranku, Robert ukłonił mu się, i przez niejaki czas stał, nie mogąc ani słowa wymówić.

— Dzień dobry, Robercie! rzekł kupiec, nieodwracając głowy od książki rachunków, w któréj właśnie coś rozliczał. Nazywał się on Didier, a jego obejście, było otwarte i rubaszne. „Dzień dobry, Robercie!“ powtórzył jeszcze raz; cóż tam nowego?

— Przychodzę, prosić pana o wielką łaskę, odpowiedział Robert, a głos jego drżał.

Kupiec podniósł głowę, i z podziwieniem wpatrywał się w pomięszaną twarz młodzieńca.

— Potrzebuję pieniędzy, panie Didier, mówił daléj Robert, i przyszedłem prosić pana, abyś mi chciał pożyczyć.....

Brwi kupca zmarszczyły się lekko, pokiwał głową i tylko mruknął.

— Hm! hm!

— Okazywałeś się pan zawsze przychylnym dla mnie, prawie jak ojciec, mówił dalej Robert z żywém wzruszeniem, i spodziéwam się, że nie zechcesz pan odmawiać prośbie mojéj.....

— Słuchaj, Robercie, przerwał tamten, byłeś zawsze dobrym, uczciwym młodzieńcem..... nie wiem, nie pojmuję nawet..... rozumiesz mię?...

— Panie Didier, odpowiedział Robert, przysięgam panu, że mu zwrócę te pieniądze! kiedy i jak pan zechcesz, wysłużę mój dług, choćbym całe życie miał służyć!

Kupiec spojrzał nań z wielkiém zadziwieniem.

— A wiele potrzebujesz?

— Sześćdziesiąt talarów, panie Didier.

— Sześćdziesiąt talarów! zawołał kupiec, sześćdziesiąt talarów! straciłeś rozum, biédny Robercie, sześćdziesiąt talarów!... a zkądże ja wezmę te sześćdziesiąt talarów?

Robert przygryzł usta do krwi, i dreszcz silny przebiegł całą jego istność.

— Panie Didier, rzekł słabym głosem.

— Sześćdziesiąt talarów! przerwał mu kupiec, zamykając kassę, to niepodobna, mój biédny Robercie.

— Sądziłem......

— Niepodobna, powtórzył kupiec i wstał.

Robert oddalił się.

Nie wiadomo co przez cały dzień czynił, nigdzie go nie było widać.

Wexel nie mógł być zapłacony, i nazajutrz matka i córka, miały pójść do więzienia, a ich meble miano sprzedać.

Robert późno wieczorem, przyszedł do pani Sanson, oblicze jego świadczyło o żywém wzruszeniu wewnętrzném, spojrzenie jego było błędne, a ubiór bardzo zaniedbany. Z podpartą głową siedział nad przygotowaną wieczerzą, przyczém niekiedy wychodziły z ust jego, na w pół przytłumione wykrzyknienia; uważano że nic nie jadł, ale za to pił, znacznie więcéj niż zwykle. Wziął nóż i zdawał się z zadowoleniem mu przypatrywać, potém ukrył go pod suknią. Wkrótce wyszedł spiesznie a dopiero późno w nocy wrócił do domu.

Następnego dnia wydano ogłoszenie, iż poprzedzającéj nocy, złodziéj zakradłszy się do domu pana Didier, wszedł zapomocą drabiny na piérwsze piętro, odbił gwałtownie skrzynię z pieniędzmi, i

z znajdujących się w niéj trzech tysięcy liwrów, wziął tylko 60 talarów. Na szelest sprawiony przez złodzieja, nadbiegł w bliskości śpiący służący, i chciał go zatrzymać, ale złoczyńca wyrwał się, skaleczywszy owego sługę nożem w prawe ramię. Rana jednak nie jest niebezpieczną.

Ze świtem Robert udał się do mieszkania Elizy. W kilka godzin potém, wszyscy wierzyciele jéj matki byli zaspokojeni, ale Robert został oskarżony o kradzież, i zatrzymany. Nie opierał się wcale, i został natychmiast do więzienia odprowadzony.

Wszystko świadczyło przeciw niemu, jego żądanie pieniędzy od pana Didier; nieobecność w nocy, nóż który wziął u pani Sanson a który znaleziono w miejscu gdzie go chciał służący zatrzymać. Prócz tego Robert nie usiłował się bronić, tylko uporczywie milczał.

Gdy go pytano o wspólników występku, odpowiedział że nie miał żadnych.

— Gdziebyś tak prędko te pieniądze stracił? zapytał sędzia.

Robert zbladł, spuścił głowę i nic nie odpowiedział

— Widocznie więc, oddałeś je jakiemuś współwinowajcy, mówił daléj sędzia; sąd dojdzie śladu tego.

— Grałem, odpowiedział żywo Robert, i wszystko przegrałem....

Roberta skazano na powieszenie.

Matka Elizy, w ostatnich dniach, tyle się zmartwiła, że słabość jéj powiększała sie znacznie. Często omdlewała a biédna Eliza mniemała że już traci matkę. Przez cały ten czas nie wychodziła wcale zdomu, nakoniec zdrowie jéj matki polepszyło się znacznie. Biedna Eliza niespokojną była o Roberta! bo od ośmiu dni niewidziała go ani razu. Nakoniec dziewiątego wieczora spotkała panią Sanson, i zapytała jéj co czyni pan Robert.

— Ach! biédny człowiek, odpowiedziała pani Sanson, przed ośmiu dniami, ukradł 60 talarów za to ma być jutro powieszony na placu de la Greve.

Nieszczęśliwa Eliza nie rzekła ani słowa; upadła w tył, uderzyła głową o kamienną ławkę, i rozraniła ją ciężko. Bez zmysłów została zaniesioną do swego mieszkania, i dopiéro po trzech godzinach przyszła do przytomności. Natychmiast zerwała się, odepchnęła otaczające ją osoby, i z rozpuszczonemi włosami i obłąkanym wzrokiem, pobiegła do sędziego.

Długo stała przed nim, nie mogąc nic więcéj wymówić jak tylko: „łaski! łaski! ja jestem....: i obfite łzy roniły się z jéj oczu, załamała ręce, wszystkie jéj członki zlodowaciały.

Biédna dziewczyna! rzekł sędzia, i kazał ją do jéj domu odprowadzić.

Nazajutrz Robert został powieszony.

We dwa dni potém, Eliza przyszła do pana Didier. Już nie płakała, już nie drżała. Była wprawdzie bladą, ale spojrzenie jéj było śmiałe, a głos pewny.

— Panie Didier, rzekła do kupca, dla mnie Robert popełnił tę kradzież. Powiedział mi, że dla zbawienia jego duszy, powinnam zwrócić panu te pieniądze, i uczynię to.

Pan Didjer prawie osłupiały patrzał na nią.

— Chociażbym całe życie miała na to pracować, mówiła daléj Eliza, zwrócę panu te pieniądze, bom to jemu przyrzekła.

Pan Didier starał się ją uspokoić, i nakoniec oddalił się, nie mogąc znieść wzruszenia.

Matka i córka sprzedały wszystko, co posiadały, i najęły izbedkę pod dachem. Tylko łóżko matki zostawiła Eliza, sama zaś, spała w nogach jéj, na słomie. Natychmiast zaniosła panu Didier pieniądze wzięte za sprzedane sprzęty, i zapewniła go, że pozostały jeszcze dług, starać się będzie jak najspieszniéj zaspokoić.

Od téj chwili pracowała w dzień i wnocy, bez odpoczynku, ujmowała sobie posiłku i snu, i często powtarzała aby nie stracić męstwa do spełnienia ofiary, przyrzekłam to jemu!

Matka Elizy umarła.

Eliza własnemi rękami obwinęła ją w smiertelne prześcieradło, czuwała przy niéj i odprowadziła zwłoki jéj do grobu; oko jéj było suche

bo już nie mogła płakać. Następnego dnia, przedała wszystko co pozostało po matce, wyjąwszy złoty krzyżyk, który zawiesiła na szyj, i często całowała. Zaniosła znowu panu Didier, a powróciwszy, pilnie wzięła się do pracy. Jeśli przypadkiem nie mogła dostać roboty, siadała przed drzwiami na kamiennéj ławce, i wyciągała dłoń do przechodzących, ze łzami prosząc o jałmużnę.

Przy takiém życiu, nic dziwnego, że jéj lica zżółkły i wychudły, jéj oczy zapadły, i delikatna płeć jéj zwolna zgrubiała. A jednak jeszcze była piękną, z swemi długiemi włosami, które powabnie spływały na jéj wyschłe ramiona, na jéj duże oczy, których spojrzenie było niepewne i błędne. Jéj widok wzbudzał najtkliwszą litość przechodniów.

Nadeszła zima. Nie miała roboty, chléb był drogi, i wielki niedostatek panował. Drżąc od lodowatego tchu wichrów, bez obuwia, biegła po śniegu i lodzie, i drżącemi usty wołała: „Muszę mu zapłacić!"

Zapłaciła święty dług; oddała panu Didier sześćdziesiątego talara. Kupiec wprowadził ją do ciepłego pokoju, i wskazawszy krzesło przy piecu, podał jéj szklaneczkę grzanego wina, aby rozgrzać skościałe jéj ciało. Ale ona nic nie widziała, ani nie słyszała; jéj oczy w górę były wzniesione. Jedna tylko łza, była to łza radości, spływała po jéj zwiędłych licach. Już jest zaspokojony! wymówiła z nadzwyczajnym wyrazem. Już

jest zaspokojony!... teraz dusza Roberta jest odkupioną. Zapłaciłam dług jego.

Eliza zdawała się nie należéć już do tego świata! Wróciła do domu. Sąsiedzi słyszeli, jak głośno śmiała się z radości, jak skakała i biegała po swojéj izbedce.

Potém zastukała w ścianę do mieszkającéj obok przyjaciołki:

— Bądź zdrowa, kochana Karolino, zawołała. Bądź zdrowa! już mię nie zobaczysz, módl się za mnie!

Karolina, pobiegła do stancyjki Elizy, aby zapobiedz nieszczęściu jakie przeczuwała. Ale kiedy weszła, już Eliza otworzyła okno, i wyskoczyła na ulicę.

Padła na kamięnną ławkę; głowa jéj rozprysła się, a krew pociekła po zimnéj opoce.

# WSPOMNIENIA Z CZASÓW

## *Cesarstwa francuzkiego.*

„*Małe podarunki utrzymują przyjaźń.*“

Sposób w jaki odbieramy podarunki, jest nam częstokroć przyjemniéjszy jak sam dar; to pospolite dowodzenie przyjętem było przez Napoleona. Umiał on najmniéjszy datek podwyższyć ujmującemi wyrazami. W tych okolicznościach, zwykle nieprzewidzianych, dźwięk głosu jego stawał się pochlebnym i pieszczonym, w jego oczach malował się wyraz najdoskonalszéj dobroci. Jednakże Cesarz nie był rozrzutnym. Budżet jego domu, jako też i państwa utrzymywanym był z nadzwyczajną surowością. Oto jest tego dowód.

Pewnego dnia, polecił swemu kamerdynerowi, aby zaprowadził jego syna do pani Motesquiou jego ochmistrzyni, która go była do ojca przyprowadziła.

Constant przyszedł mu zdać rachunek z swego poselstwa. Napoleon zatrzymał go na pogankę;

potém pociągnąwszy go za ucho, podług swego zwyczaju, i zadawszy mu kilka osobistych pytań:

— A propos, dodał, ileż masz pensji?

— Sześć tysięcy franków na rok, Najjaśniéjszy panie!

— A czy wiesz ile bierze Collin.

— N. Panie, pan Collin ma 12,000 franków.

— 12,000 franków: to niesprawiedliwie Constant. Ty jesteś moim pierwszym kamerdynerem, nie powinieneś brać mniéj, jak mój pierwszy kontroler. Odtąd podwajam twą pensję. Zawołaj do mnie Esteva, pomówię z nim o tém.

Podskarbi królewski przychodzi. Napoleon uwiadamia go o nowém rozporządzeniu, jakie uczynił względem Constant.

— Najjaśniéjszy panie, odrzekł Estéve, roczne rachunki już zamknięte. Wasza Cesarska Mość sam wskazałeś wydatki i podpisałeś budżet swego domu, potrzeba mi więc koniecznie wyraźnego rozkazu na to powiększenie płacy.

— Sprawiedliwie, rzekł Napoleon, co jest zrobione, odrabiać nie można. Nie chcę, ani nie mogę nic zmieniać w twojéj rachunkowości, którą tak dokładnie utrzymujesz panie Estéve, inaczéj sobie zaradzę.

Na dany znak, podskarbi jeneralny oddalił się, a Napoleon rzekł do Constant:

— Do końca roku, baron Fain wypłacać ci będzie co miesiąc 500 franków z mojéj szkatuły,

a na przyszły rok, ten wydatek zamieszczony będzie w budżecie. Bądź tego pewny.

Łatwo tu widzieć można, że najmniejsze wydatki w domu Napoleona, najskrupulatniéj sprawdzane były. Opuszczenie kilku centimów w ogólnym rachunku, byłoby ściągnęło ostre wymówki jeneralnemu intendentowi listy cywilnéj; lecz o ile Napoleon tak jak Sully lubił sprawdzać najmniéjsze rachunki, o tyle w ważnych okolicznościach nie rachował ani swych szczególniéjszych chojności, ani kosztowności podarków. Cesarzowa Józefina często żartowała z zwykłym sobie dowcipem z jego wybuchów wspaniałomyślności, a Napoleon odpowiadał jéj złośliwie.

— O tak, naśmiewaj się ze mnie! właśnie tobie to przystoi, tobie, która nie dość, że palisz stoczek z dwóch końców razem, ale jeszcze, aby go prędzéj wypalić, zaczynasz ze środka.

— Ty jednak, dodała Józefina, twemi podarunkami przechodzisz mnie w rozrzutności, dowiodę ci tego, jak będziesz żądał.

Na te słowa Napoleon śmiał się głośno, i odpowiedział wesoło, zacierając ręce:

— To być może, ale przynajmniéj moja kochana, ja wiem co czynię, ja mam moje powody. Male podarunki utrzymują przyjaźń.

To pospolite przysłowie, było jedyną wymówką Cesarza w napadach jego rozrzutności, z uśmie-

chem czynił z niego przystosowanie finansowe i administracyjne.

Dnia 27 kwietnia, 1821 roku, ośm dni przed śmiercią; cesarz spędził kilka rannych godzin na spisywaniu i pieczętowaniu niektórych kosztowności, które przeznaczał dla swego syna.

— Bardzo jestem zmęczony rzekł do pana Marchand; czuje, że bardzo krótki zakres życia już mi pozostaje, i dla tego radbym to zatrudnienie skończyć. Daj mi wina, które mi przysłał Lascases, kropelka tego likworu nie może mi zaszkodzić. N. Panie, odpowiedział wierny sługa, ten napój jest bardzo przeciwny temu, który zapisał doktór Antommarchi dla Cesarskiéj Mości.

— Bah! bah! rzekł Napoleon wstrząsając głową. Wszystko zaszkodzi w tym przeklętym kraju... Czegóż mam czekać. Daj mi trochę tego wina, ono mnie pokrzepi. Niechcę ja żadnym sposobem skracać mego życia, ale też nie chcę używać żadnych środków na jago przedłużenie. Alboż nie dość już żyłem? Tutaj, dodał z głębokiém westchnieniem, opierając rękę na prawym boku, tu jest cała choroba. Czuję jakby żelazo sztyletu przesuwające się i rozdzierające mnie.

To mówiąc Napoleon, rzucał się na łóżku. Przed nim znajdowały się rozmaite kostowności, które przeznaczył jako zadatki szacunku i pamiątki, tym, którzy go doglądali pod czas jego słabości, pomię-

dzy innemi przedmiotami, była tabakierka złota bez najmniéjszych ozdób, którą zapisał doktorowi Arnold, a na któréj z trudnością wyrył ostrzem nożyka lilerę N. prosty kwadracik dektury trzymał w lewej ręce i to mu służyło za podstawę do pisania, a drugą ręką maczał pióro w kałamarzu który mu podawał obok jego łóżka stojący hrabia Montholon. Naszyjnik królowéj Hortensji leżał także przed nim, wziął go i podając Marchandowi rzekł mu z uśmiechem, w którym się malował wyraz nieukojonego smutku. Bierz to, nie wiem w jakim stanie są moje interesa w Europie. Ta dobra Hortensja dała mi ten naszyjnik opuszczając Malmaison, sądząc że może mi być użytecznym ja go szacuję na 200,000 fr. Ten naszyinik przeszedł przez wiele rąk! Schowaj go pod suknią bo dotychczas jego przeznaczeniem było, zostawać zawsze w ukryciu. Gdy będziesz we Francji rozporządzisz nim według twéj myśli; postawi cię on w możności oczekiwania losu jaki ci przeznaczam w moim testamencie. Ożeń się stosownie, uczyń wybór pomiędzy córkami oficerów lub żółnierzy méj staréj gwardji, wiele się znajduję z tych walecznych, którzy nie są szczęśliwi, wiem o tém, lepszy los był im przeznaczony, gdyby nie te nienieszczęśliwe wypadki, które padły na Francję. Potomność osądzi, co byłbym dla nich uczynił. Cesarz osłabiony temi słowy, zamilkł; lecz one nigdy nie wyszły z pamięci Marchanda, który rze-

wnie płakał, a wróciwszy do Francji, pospieszył spełnić ostatnią wolę Napoleona, ożenił się z córką szanownego jenerał-porucznika Brayer, który dowodził długo w Strasburgu, takimto sposobem, wierny sługa, tego wielkiego człowieka, dopełnił jego ostaniego zlecenia: — „*Ożenisz się z córką jednego z mych walecznych.*"

Ale wróćmy się:

Znamy już doskonale chęć, jaką miał Napoleon kojarzyć małżeństwa, z jaką szybkością zwykł był prowadzić te sprawy. Na nieszczęście wszystkie te, które skojarzył, nie poszczęściły się tyle, jak by był chciał, chociaż sam wspanile wyposażał nowożeńców. Podarunek weselny, który zwykle ofiarował narzeczonéj, był dawany z tą delikatnością i tym dobrym gustem, który odznaczał wszystkie jego towarzyskie postępki.

W wilją ślubu jednego z swoich adjutantów, którego może Napoleon najlepiéj kochał, ten generał był właśnie u niego na służbie. Wieczór, kładąc się w łóżko, i po wydaniu rozkazu, rzekł mu monarcha tonem żartobliwym:

— A teraz spodziéwam się, nie zapomnisz, że jutro masz się żenić niezawodnie.

— O zapewne N. Panie!

— Daję ci uwolnienie na 24 godzin, ponieważ każdy musi urządzać swoje interesa; lecz pojutrze rano wrócisz do twych przy mnie obowiązków.... przedstawisz mi twoją żonę... Ale, byłbym zapo-

mniał; oto masz, daj jéj ten bukiet, to jest mój podarunek weselny: powiesz twéj przyszłéj, że to jest od jednego z twoich najlepszych przyjaciół, dodasz: że jeżeli nie uczyniłem wyboru z żywych kwiatów, to jedynie w celu, aby ten bukiet dłużéj się mógł zachować. A potém, nim się położysz, zobacz też, czy posterunki moich starych wojaków są ogrzane, czy nie brakuje wody w kadziach, dzisiaj jest mróz, a administracja opałów, nie pilnuje się wcale; rozprawię ja się z antreprenerem. Dobra noc. Nazajutrz obéjrzawszy te kwiaty robione, których świeżość i delikatność równała je nie ledwie naturalnym, młoda narzeczona odwija papiér, i spostrzega, że bukiet obwiązany jest łańcuchem pereł prawdziwych, przedzielanych brylantami oprawionemi w koło turkusami i rubinami, był to najwykwintniéjszy strój, jaki sobie można wystawić; lecz jenerał mniéj był rozczulony widokiem tak kosztownego dla swéj narzeczonéj podarunku, jak wyrazami, które był wyrzekł do niego: — Powiedz twéj żonie, że to pochodzi od jednego z twoich najlepszych przyjaciół. I to było dla jenerała, prawdziwym podarunkiem weselnym.

Napoleon był jednak skąpym w podarunkach dla osób składających jego prywatną służbę. Nigdy im nie dawał kolendy a zatem nie mogły rachować jak tylko na pensje powiększane wprawdzie zna-

cznemi wynagrodzeniami, gdy mu towarzyszyły bądź to w jakiéj podróży, bądź w jakiéj wyprawie; lecz w takim wypadku, Cesarz wymagał, aby każdy z jego dworu użył naddatku jaki otrzymał, i aby strój jego odpowiadał jego połączeniu. Była to rzecz osobliwa, widzieć władcę tak rozległego kraju, zajmującego się strojem swych odzwiernych, a to jednak dochodziło do tego stopnia, że kiedy spostrzegł u którego z nich jedną suknię przez trzy dni następujące, zwykł mawiać marszcząc brwi.

— Ah! ah! zaniedbałeś się dziś! byłżebyś słaby?

Przeciwnie zaś, gdy spostrzegł u którego ze swych służących suknię nową i gustowną, nie zaniedbał zatrzymać się przed nim i zaraz pochlebnemi wyrazami rzekł:

— Jesteś dziś bardzo piękny! lubię was tak widzieć.

W epoce jego zaślubin z Marją Ludwiką, jako też i przy narodzeniu Króla rzymskiego żaden z domowników nie otrzymał najmniéjszego podarunku, gdyż Napoleon utrzymywał iż wydatki tych dwóch uroczystości i tak większemi były, a niżeli żądał. Jednak w 1 dniu Stycznia 1812 bez żadnego ważnego wypadku, jak tylko że to był dzień nowego roku. Napoleon rzekł rano do swego pierwszego kamerdynera, gdy tenże kończył go ubierać. Constant, usługuj mi jak dotąd, a ja będę

pamiętał o tobie; i to mówiąc włożył mu w rękę trzy papierki zgniecione, podobne do papilotów cukierkowych, dodając:

— Oto masz pastylki jabłeczne, weź je, masz katar, to cię uleczy. A potém włożywszy kapelusz na głowę, wyszedł nie zważając na podziękowanie kamerdynera; wzruszonego bardziéj troskliwością okazaną o jego zdrowie, jak rzeczywistą wartością podarku, lecz zaledwie się Napoleon oddalił, Constant chcąc użyć poleconego lekarstwa, rozwinął papierki i znalazł trzy sztuki dziesięcio-frankowe, każda z nich owinięta biletem tysiąc-frankowym. Te wypadki szczegółowe, nie okazują się może bardzo interessującemi, malują jednak charakter Napoleona, i jego zwykłe postępowanie z domownikami. Nadto te szczegóły wykazują ścisłą oszczędność, od któréj jednak chętnie odstępował, jak się to widzieć daje, kiedy jego wspaniałomyślność lub wrodzona dobroć do tego go nakłaniały. Powiadają także, iż Napoleon nie lubił na nikogo czekać, i radby był wszystkich mieć pod ręką; dla tych to dwóch przyczyn jednego wieczora, skończywszy pracę z Réalem, rzekł do tego Radcy stanu:

— Masz pan wieś?

— Tak jest N. Panie, mam dość piękną, 5 mil od Paryża.

— To za daleko, co chwila mogę pana potrzebować. Niepodobna posyłać o 5 mil, trzeba żebyś pan kupił sobie inną, bliżéj i to natychmiast.

— N. Panie, nie mogę nabyć innéj, nie sprzedawszy wpierw dawnéj, a Wasza Cesarska Mość wie dobrze, iż nie można sprzedać majętności we 24 godzinach.

— My się wcale nie rozumiemy, mój kochany; ja ci wcale nie zalecam sprzedaży twéj majętności, ale radzę ci kupno drugiéj. Pojmuję, że po tak przykréj pracy, jaką dziś ze mną odprawiłeś, potrzebujesz spoczynku, cokolwiek rozrywki, należy ci wytchnąć świeżém powietrzem o milę, lub najdaléj dwie od Paryża; albowiem ty to zapewne rozumiesz, iż gdy cię będę potrzebował, za kwadrans musisz być tutaj, a więc potrzeba, abyś sobie kupił inną włość, to jest rzecz jasna.

— Najjaśniéjszy Panie, ja bardzo dobrze rozumiem co mi Wasza Cesarska Mość raczy tak dobrotliwie wykładać, lecz jedném słowem, do kupna trzeba pieniędzy.

— Albož to pan nie masz dochodów?

— N. Panie, szczycę się szczodrobliwością Waszéj Cesarskiéj Mości, ale zapasów nie zbieram.

— I bardzo źle robisz. Zresztą czyń co chcesz, urządź się jak ci się podoba, ale kup inne dobra, kup je natychmiast, jutro, zaraz, tego ja wymagam.

Nazajutrz po sessji rady stanu, na któréj Napoleon prezydował, a Réal się także znajdował:

— A cóż, zapytał go Cesarz, znalazłeś nakoniec wieś do nabycia?

— O mój Boże! nie wsi, ale pieniędzy brakuje.

— Wyraz zupełnie świeży, odrzekł śmiejąc się Napoleon, lecz mniejsza o to, tylko poczekaj.

— N. Panie, nadaremniebym czekał. Wasza Cesarska Mość wie równie dobrze jak ja, że dzięki Jéj staraniom nie jesteśmy już w czasach, gdzie własności darmo się nabywały.

— Kto wié? szukaj dobrze, dobre myśli często we śnie przychodzą.

Nazajutrz obudziwszy się Réal, odebrał assygnację na 100,000 franków, przeznaczoną jedynie na kupno letniego mieszkania. Takim to sposobem Réal został właścicielem domku Boułogne, który dziś należy do Rotszylda.

Często zdarzało się, gdy jaki Jenerał potrzebował uczynić ważniejsze wydatki, lub jaki rękodzielnik doznawał chwilowego niedostatku w swym handlu, albo wreszcie jaki wielki dygnitarz życzył sobie zaspokoić swe długi, w takim razie dość było żądać osobnego posłuchania u Cesarza, a nie odmawiał nigdy żądanéj pożyczki, jeżeli proszący zasługiwał na względy. Wysłuchawszy żądania, Napoleon kazał natychmiast jednemu z swych sekretarzy napisać assygnację do jego

szczególnéj kassy na 300,000 franków, mniéj lub więcéj stosownie do żądania, i sam oddawał tę assygnację proszącemu. Potém na sesji polecił dłużnikowi, aby wydał prosty rewers wartości summy pożyczonéj, dołączywszy jeszcze z swéj strony zastrzeżenie, aby też pieniądze dobrze użytemi były. — Pewnego rana, o zwykłéj porze swych odwiedzin, Corvisard wszedł bardzo wzruszony do sypialni Cesarza.

— Coż ci to dziś doktorze? zapytuje go Manarcha, jesteś mocno zmieszany, czyś kogo rozmyślnie zabił.

— Daruj N. Panie, lecz nie mam ochoty śmiać się, byłam świadkiem wypadku, który mnie mocno zmartwił.

— Cóż takiego?.. Czy wszyscy twoi chorzy wyzdrowieli.

— Przeciwnie N. Panie, biedny Laville-Leroux padł tknięty apoplexją na dole na wschodach prowadzących do W. C. Mości.

— Jakto? u mnie doktorze! to prawdziwa strata dla senatu. Do licha!

— N. Panie, udzieliłem hrabiemu potrzebnych starań, lecz już za późno.

— To tak zawsze, widzisz panie doktorze, jak źle robisz że tu nie sypiasz. Ten biedny Laville-Leroux był uczciwy człowiek! tylko nie dość był regularnym. No, ponieważ byłeś przytomnym jego ostatniéj chwili, wypada, abyś był niejako je-

go dziedzicem; pożyczyłem mu przed 2 laty 125,000 fr., dał mi na to rewers, który ci oddaję; będzie to jako wynagrodzenie za tyle osób, którym życie wróciłeś, a którzy ci się niewdzięcznością wypłacili.

Corvisart dowiedział się, że biedny Senator nie zostawił żadnych funduszów, i że jego prawi dziedzice wyrzekli się spadku. Nazajutrz przyszedłszy do Tuileries, rzekł dowcipnie Cesarzowi:

— N. Panie, zapomniałeś wczoraj ważnéj rzeczy przy wręczeniu mi rewersu.

— Cóż takiego doktorze?

— O małej bardzo formalności zapomniałeś W. C. Mość, że ten rewers powinien być przekazanym na moje imie, inaczéj jest nieważnym.

— Aha! rozumiem, rzekł Cesarz, pociągnawszy lekarza za ucho, słusznie mówisz doktorze, i dobrze czynisz że się nie chcesz na stratę narażać, i napisał na rewersie: — «Asygnacja na 120,000. fr., wypłacić się mającą z moich dochodów następnego kwartału, które Hrabia Esteve wyliczy Baronowi Corvisart.»

*Napoleon.*

Napoleon zapomniany na wyspie St. Heleny, zaszczycił Hrabiego Bertrand zamianą swego zegarka na zegarek tegoż. Umiał jeszcze znaleść sposób przywiązania do téj zamiany wspomnienia sławy.

— Patrz Bertrand, rzekł mu, ten zegarek wskazywał drugę godzinę po północy, w Rivoli, gdym wydawał Youbertowi rozkaz do attaku.

Tak to umiał Napoleon nadawać wartość swym podarunkom.

## PISZCZAŁKA.

Płaszczyzny żółtawéj wody kręgami piętrzące się, wały piasku, pokazujące się i znikające, szelest podobny do uderzeń kół wodnego młyna, wiatr dmiący tak, że wzburzona woda odkrywa dno morza, słońce ukryte za zasłoną z piany, rybitwy, których czerwony dziób gwiżdże nad twoją głową pieśń burzy, ogromne rekiny, pod których ślniącem ciałem płaszczy się łoże wałów, rzucające na ciebie krwawym ukośnym wzrokiem, zgięte maszty, żagle pochylone jak skrzele ryb, deszcz piasku przeszkadzający oddychaniu, a potém nagle — spokojna rzeka między dwoma brzegami, z których jeden jest żółtym piaskiem, a drugi mnóstwem roślin okryty, wonne milczenie przerywane tylko lotem

różnobarwnych kolibrów; tak daleko jak wzrok sięgnąć może gaiki zielone, i zioła tak wysokie jak drzewa, rozwijające swoje gałęzie na trzydzieści stóp w około, małpy skaczące z drzewa na drzewo, a pomiędzy temi ziołami i drzewami, słomiane dachy w kształcie głów cukru, nad twoją głową prostopadłe słońce, odosobnione w pośród lazurowego nieba, czyste zapachy ogromnych kwiatów, których korony mogłyby objąć śpiącego węża, i kołysać go jak muchę; gromady czarnych dziewic w pierworodnéj nagości; — oto dwa widoki, zniszczenia i spokojności, które następują po sobie z szybkością myśli, gdy wpływasz na rzekę Senegal, zostawiając za sobą ocean, i minąwszy lińję oddzielającą wody słone od słodkich, którą nazywają *la Barre*.

Okręt, na którym płynąłem, zdawał się czuć radość, równie jak jego podróżni, kiedy minął tę lińję na Senegal. Jege leniwy przód lekko tylko przecinał wodę reki; żagle jego uderzały o maszty, a powietrze okrążające pomost, napełniało się zapachem kuchni, od tak dawna już nieznanym.

Pojmą mię ci, którzy długie odbywali przeprawy. Co to za rozkosz przybyć do celu! jaka zmiana odbywa się w podróżnym wpływającym do portu. Widząc ziemię, czuć ją, słyszeć!

Tysiąc razy opisywano już tę radość, a jednak zawsze ona będzie nową. Nawet dla żeglarza,

przyzwyczajonego do długich morskich podróży, widok ziemi jest rozczulającym. Był przez pół rybą, staje się człowiekiem. Zmienia bieliznę, zrzuca ciężkie obuwie, myje ręce, pozbywa się przez trzy miesiące rosnącéj brody, obiaduje przy stole. Obiadować przy stole! nie znacie wartości téj roskoszy, wy! którzy nigdy nie jedliście siedząc na linach smołą napojonych, i to jeźli burza jeść pozwoli.

Dwa wielkie czółna, z silnemi wioślarzami czarnemi, ciągnęły nasz mały bryg wzdłuż rzeki, przy odgłosie piosnek, których słowa godne były ucha krokodylów. Płynęliśmy ku wyspie świętego Ludwika, stolicy posiadłości naszych w Afryce. Cała ta stolica zmieściłaby się na polu Marsowem w Paryżu. Wydawała nam się z daleka jak snop słomy w pośrodku wody. Zbliżając się ten snop, zmieniał się w mnóstwo stogów siana, z których wznosiły się kłęby dymu.

W bliskości wyspy czekało na nas małe czółno, na którem był lekarz, mający osądzić, czy zdrowie nasze pozwoli nam mieć stosunki z mieszkańcami. Przybywaliśmy z Europy, pełnéj życia, do kraju wiecznie wyludnionego przez żółtą febrę. Hygjeniczne odwiedziny lekarza zdawały mi się dość śmiesznemi. Był on tak blady i wychudły, że raczéj my powinniśmy byli kazać mu przebyć ścisłą kwarantannę, nim wstąpił na nasz statek. Oświadczył on, że jesteśmy w tak dobrym

stanie zdrowia, iż możemy się oprzeć miejscowéj epidemicznéj słabości.

W kilka godzin późniéj, rzuciliśmy kotwicę w przystani, prawie w środku wyspy u podnóża ogrodów, których palmy kąpały się w rzece. Byłem więc w Afryce.

Napojony czytaniem Kooka, oczekiwałem szlachetnych negrów, ofiarujących bataty, melony, ananasy i prosięta za jeden stalowy ćwieczek. Na ten raz nie doczekałem się prosiąt. W zamian za to, mogłem dostrzedz, że chociaż cywilizacja Européjska zaszczepiła w negrach pogardę szklanych paciorek i zwierciadełek, a nieograniczone zamiłowanie złota, nie oduczyła przecież chodzić nago. A jednak negr, nigdy nie jest dla Européjczyka nagim; skóra jego czarna, jest dlań wiecznym ubiorem. Do Afryki zwykle udają się dla handlu negrami, a jednak handel ten, nie jest tak korzystnym jak wielu mniema.

Ci sędziowie, wystawiają sobie, jak w czasach Marco-Polo, wszędzie kopalnie złota, a przynajmniéj rzeki, w których się ten szlachetny kruszec w kształcie piasku znajduje. Podług ich mniemania, biali uzbrojeni w strzały, z psami, udają się w lasy, chwytają negrów i wiążą ich po dwóch lub po czterech. Następnie wysyłają ich na wyspę Kuba, upchanych jak śledzie, bez powietrza, bez światła, prawie bez przestrzeni. Dowiedźcież się, że negr jest towarem bardzo rzadkim dzisiaj,

trudnym do nabycia, kosztownym jak perskie wonności, i niebezpieczniéjszym w przewozie z jednego lądu na drugi, a niżeli proch lub kwas siarkowy.

Oto niektóre wiadomości w tym przedmiocie, każdy negr, kosztuje na miéjscu, połowę wartości swojéj.

Karmieni bywają bardzo dobrze, bo ich właściciel tyle ma prawie powodów, co najczulszy filantrop do zachowania ich od chorób, a szczególniéj od śmierci. Ceni on je tyle, co dzierżawca swoje woły i owce.

Na dziesięć okrętów, z ładunkiem negrów, pięć przynajmniéj ulega przykréj pewnéj słabości, będącéj skutkiem styczności z negrami, na sześć, trzy przynajmniéj bywa zabranych przez okręta rządowe, jeden z dziesięciu spalony bywa przez samych negrów.

Jakkolwiek bądź, handel ten, uważam za najobrzydliwszą czynność, i nie dla niego udałem się do Afryki. Sumienie moje zatem czyste jest w tym względzie; ale za to czyni mi innego rodzaju wyrzuty. Wyjeżdżając z Francji, przyrzekłem wypełnić rozmaite zlecenia moich przyjaciół i znajomych.

Miałem za powrotem przywieść każdemu z moich towarzyszy szkolnych; łuki dzikich, sajdaki; dla różnych naturalistów mających zbiory motyli; trzy konie czystéj rassy, dla sąsiadów utrzy-

mujących stadninę; nakoniec mnóstwo rozmaitych przedmiotów dla osób, których nie znałem nawet, zęby słoniowe, nawet całe słonie, koral, perły, rubiny, piasek złoty, i t. p.

Nikt mi nie powiedział; staraj się, żebyś samego siebie przywiózł.

Przykro mi wyznać, że żadnego z tych poleceń nie dopełniłem, i wróciłem, bez papug, tygrysów, słoni i złotego piasku. Nie użyłem nawet dowcipnéj wymówki, pewnego podróżnika, który podobnie jak ja, obarczony mnóstwem poleceń, odpowiedział, wróciwszy z próżnemi rękami:

„Moi przyjaciele, niektórzy z was dołączyli do spisu rzeczy, które im miałem przywieść, pieniądze potrzebne na nie, inni dali mi tylko dla pamięci kartkę z wymienieniem czego żądają. W drodzę, pewnego dnia bardzo pogodnego, siedząc na pokładzie, przeglądałem dane mi kartki i układałem je na ławce. Przy których były pieniądze, kładłem je na nich. W tém silny wiatr się zrywa, jest to bardzo pospolite zdarzenie na morzu. Wszystkie kartki, na których pieniądze były położone, oparły się sile wiatru, inne zaś, jako lekkie uleciały. Dla tego niektórych poleceń dopełniłem, inne zaś pozostały bez skutku.

Rumieniłbym się, używając podobnéj wymówki; ale nie miałem potrzeby rumienić się, żem nie przywiózł lampartów i tygrysów, kiedym ich nawet nie widział.

Pomiędzy temi poleceniami, było jedno ważniéjsze, świętsze, ale którego los mógł być bardzo łatwo ten sam, co wszystkich innych.

W chwili odpłynienia do Afryki, pewna kobiéta opowiedziała mi, że jéj syn, jedynak opuścił ją przed pięciu laty, i żadnéj o sobie nie udzielił wiadomości. Sądziła ona, że jéj syn znajduje się może w Afryce, gdyż pokazywał zawsze wiele romansowéj skłonności, do awanturniczego życia. Ponieważ udawałem się w tamte strony, było więc prawdo-podobnem, że się z nim spotkam, jeśli nie został w drodze schwytany przez korsarzy, albo już na miéjscu zjedzony przez węża lub krokodyla. Zapytałem się o wiek tego młodzieńca.

Ośmnaście lat. Tyle tylko mogła mi o niém powiedzieć, i oddała mi list adresowany do pana Emila Dax.

— Czy syn pani nie miał jakiego powodu do opuszczenia jéj? zapytałem.

— Żadnego. A przynajmniéj jeśli był jaki, ten już obecnie nie istnieje, Mój syn lękał się bardzo nędzy. Powiedział że pójdzie zrobić majątek w Chinach, w Paryżu, Bóg wie gdzie. Ojciec jego umarł, a Emil postanowił wykonać swój zamiar. Wsiadł na okręt płynący do Sycylji, z Sycylji pisał mi że się uda do Malty, z Malty nie miałam już żadnego listu od niego. Pisałam do konsula, ten doniósł mi że nie wie na jakim okręcie syn mój

odpłynął, ale zdaje się, że się udał do brzegu Gambji. Nieustawałam odtąd w moich poszukiwaniach, ale wszystkie były nadaremne. A tymczasem, stryj Emila, o czem donoszę mu w tym liście, umierając uczynił go dziedzicem całego swego majątku; 40,000 franków... W tem dano znak do podniesienia kotwicy, matka Emila pożegnała mię życząc szczęśliwéj przeprawy, wsiadła w szalupę, i wkrótce straciłem ją z oczu.

Przybywszy na wyspę Świętego Ludwika, nie zapominałem polecenia pani Dax, pomimo moralnego i fizycznego osłabienia, będącego skutkiem nieznośnych upałów.

Jedni odpowiadali mi: jeśli młodzieniec którego pan szukasz, przybył tu przed lat pięciu, to bez wątpienia umarł na słabość wątrobianą; inni upewniali mię, że jeżeli nie ma więcéj jak dwa lata od czasu przybycia jego na tę wyspę, to nie umarł na słabość wątrobianą, ale na żółtą febrę; inni nakoniec pocieszali mię, że mógł uniknąć tych dwóch słabości, zaciągając się do służby na którym z okrętów udających się w górę rzeki, i w takim przypadku milczenie jego dowodzi, że musiał zostać zabitym przez Arabów.

Znaleść w osadach człowieka, którego nazwisko tylko jest wiadomém, jest bardzo trudno, ponieważ przybywający tam, zwykle zmieniają nazwisko; ale trudniéj jeszcze wynaleść go, jeśli już

nie żyje. Coraz bardziéj usilność moja w wyszukaniu Emila Dax stygła; bo nie znajdowałem żadnego zachęcenia do powtarzania poszukiwań zupełnie bezowocnych. Przypiąłem na szpilcę jak motyla list pani Dax, w ramę mego zwierciadła; była to już rzecz martwa.

Wkrótce potem rozeszła się na wyspie pogłoska, o gwałtownem starciu się Arabów z Negrami, jak zwykle Negrowie zostali pobici, wycięci a ich wioski popalone. To była treść najpierwszych doniesień. W następnych ogłoszono, o zwycięztwach odniesionych przez Negrów nad Maurami. Nie zabrano im dział, ponieważ ich nie mieli, nie spalono im w odwecie wiosek, bo Maurowie jak cyganie nie mają żadnych stałych siedlisk. Ale Negrowie mieli im zabrać trzy tysiące wołów, sześć tysięcy baranów, i już niewiem ile cieląt. To niesłychane zwycięztwo, winni byli Negrowie, osobistemu męstwu i rozsądkowi, jednego białego Europejczyka, który był ich jenerałem, naczelnym wodzem, i prawie królem.—Otóż jest jakiś awantarnik!

Czy by to on był mój zuch? pomyślałem sobie. Matka mówiła że jest nazbyt romansowy, to on; chciwy wywyższenia, to on. Pójdźmy zobaczyć jego wysokość. Wyjąłem z ramy zwierciadła szpilkę z listem pani Dax.

Nikomu nie powierzając mego zamiaru, postanowiłem udać się nazajutrz do wioski, w której

rezydował ów waleczny dowódzca. Odległość była nie wielka, i trzeba było tylko uniknąć kilku krokodylów aby się dostać na miéjsce.

Wybrałem się przed wschodem słońca, aby uniknąć utrudzającego pochodu w dzień; niemogłém jednak dość wcześnie przybyć na miéjsce, i w otwartém polu widziałem wschód słońca.

W téj okolicy Afryki świt nie poprzedza wschodu. Była noc, nagle już jest dzień. To przéjście tak jest szybkie, że zdaje się być piorunem Jest to wrażenie tak mocne, że w chwili okazania się słońca, zdaje nam się że słyszemy grzmoty.

Słońce wznoci się; niebo jest białe jak kreda. Pozostałe z nocy wyziewy, zgęszczają się w przezroczysty rąbek, i sprawiają taki skutek, jak chuchnięcie na zwierciadło. Zieloność akacji i mimoz, stopniuje się przy rozlewającem się świetle, u góry drzewo jest blado szare, a niżéj zielone; jakby korony drzew oliwnych rosły na jaworach. Piasek Sahary jest brunatno żółty u brzegów rzeki, w odległości zaś wydaje się jak złota pjana, daléj jeszcze zdaje się, że to już niebo, ale o fałszywosci tego mniemania przekonywają małe plamki poruszające się jakby na powietrzu, są to istotnie wielblądy albo strusie przebiegające po piasku.

Razem z tym nagłym wschodem gwiazdy dniowéj, rzeka przyspiesza swój bieg. Mniemałbyś, że to wiatr kędzierzawi powierzchnią wody. Wia-

tru niema wcale; ani nawet tyle, żeby jedno ziarnko piasku poruszyć. Kity trzcin nieporuszone, sterczą w górę, pomimo cienkości łodygi. Wszystko jest nieruchome, jak na obrazie, drzewa i zioła wydają się jak malowane. Jest to barwa bez ruchu.

W chwilę późniéj, widok się odmienia; ujrzysz niezliczone mnóstwo pływających po rzece wysepek koralowych w kształcie gwiazd płaskich, różno kolorowe kolibry, przestraszone krzykiem i silnym lotem pelikana, który śnieżnemi skrzydłami zakrywa im słońce. Roskosznie ożywione gorącem, zdolném ołów stopić, kralcy skrzeczą, krokodyle wyciągają się, a wsparte na zwiniętym w krąg ogonie, wyprężone jak bambusy, piętnasto-łokciowe węże, wywijają syczącemi językami i miłosnie spoglądają na ulatujące nad ich głowami ptaki. Niektóre z tych mieszkańców powietrza, ulatują w lasy, aby się ukryć przed światłem, któreby mogło zniszczyć wspaniałe barwy ich pierza. Nie wiem jak się zowią, jeżeli tylko mają już nazwisko; ale widziałem jedne czarne z białemi głowami, inne tak zielone, że niepodobna ich odróżnić od liści, a w słońcu przechodzące w szkarłat, inne kratkowane jak szachownica, a niektóre złote, ale to zupełnie złote. W tém wszystkiem nie ma wyboru. Głosu innego nie usłyszysz, prócz hyeny, która unika światła, i słonia, który je wita.

Byłem pewny, że znajduję się blisko celu méj podróży, miarkując po gęstym dymie wznoszącym się nad przestrzenią, która mogła być wioską szukaną przezemnie. Musiano więc w nocy palić ognie radosne. W miarę jak się zbliżałem, dym ten nabierał barwy czerwonawéj, i dawał się czuć zapach pieczywa, dość przestraszający dla Europejczyka, w kraju, gdzie ludożerstwo nie zupełnie jest nieznane. Wstąpiwszy na wzgórek, ujrzałem obszerne miejsce pokryte stosami w pół spalonemi, gdzieniegdzie błyskał jeszcze ogień, a zapach pochodził z mnóstwa baranów z sierścią, i wołów z rogami, piekących się wprost na stosach drzewa. Widok był równie smutny jak trujący. Byłem w miejscu, którego szukałem. Te kupy ognia i popiołu, świadczyły o losie, jaki je spotkał z rąk Maurów. Nie potrzebowałem więcéj dowodów, że te popalone mięso, zdobyte naprzód przez negrów, a potém przez arabów odzyskane, pozostało na polu zaciętéj rzezi. Musieli ci ostatni napaść zwycięzców swoich w nocy, opojonych radością i wódką, a zabrawszy ich, aby ich sprzedać na brzegach handlarzom niewolników, woły i barany spalili, aby nie mieć przeszkody w szybkim pochodzie.

Zwycięztwo maurów nie było zupełnie wolne od okrucieństwa, dowodem tego było kilkudziesięciu negrów powieszonych na gałęziach drzew tu i owdzie po nad dymiącemi stosami.

Ponieważ nie mogłem jednym rzutem oka ogarnąć całego pola rzezi otaczającego mię w około, dopiéro więc w kilka chwil po pierwszém zadziwieniu, czekało mię drugie jeszcze przykrzejsze. Pomiędzy trupami czarnych rozwieszonemi w różnych kierunkach, ujrzałem Europejczyka powieszonego za nogi, zapewne dla odróżnienia go od gminu. Po składzie ciała, poznać można było, że ten nieszczęśliwy był jeszcze bardzo młody. Widząc tego jednego białego, między tylu negrami, przyszła mi myśl złowroga, że to jest trup młodzieńca, tak prędko wyniesionego na najwyższą godność przez negrów, i tak prędko powieszonego przez arabów, może tego, któregom szukał; jakże się o tém przekonać? Nie widziałem go nigdy, a prócz tego maurowie powiesili go za nogi, odciąwszy mu pierwéj głowę.

Przyznam się, iż mniemałem, że dwie tylko ostateczności mogą mię spotkać, to jest: że zobaczę Emila Dax, albo że go nie zobaczę, byłem w błędzie. Można człowieka widzieć przez pół tylko.

Nie mogłem więc być pewnym, czy to był szukany przezemnie człowiek, czy nie.

Wróciwszy do mieszkania, zatknąłem znowu list na szpilce, w ramę zwierciadła.

Właśnie rozpoczynała się pora roku, którą tam nazywają *hivernage*, postrach dla tych, którzy nie przyzwyczaili się przez długi pobyt w koloń-

jach do gwałtownych zmian powietrza, które ta pora sprowadza.

*Hivernage* jest porą nieznośnych upałów i nawałnic nieznanych w naszym klimacie. Wówczas okolica ta, przedstawia obraz zniszczenia pierwotnych wieków. Niebo wylewa deszcz, którego gęstości i natężenia nic opisać nie zdoła; wiatry gwałtowne ze wszech stron wiejące, łamią najtwardsze drzewa i niosą je do rzek, które występują z swoich brzegów. Gdy te wiatry i deszcz ustaną na kilka godzin, pokazuje się słońce w pięknéj pogodzie, piekące silniéj niż kiedykolwiek. Powiedziałbyś, że ono zbliża się ku ziemi, aby ją wysuszyć i przygotować do nowych zalewów. Wschodni wiatr uderza o piasek, odbija się jak światło od zwierciadła parabolicznego, i rozpływa się w kształcie gryzącego pyłku. Powietrze jest gorące, ziemia płonie, woda nawet letnia. Wszystko czego się dotkniesz spotniałe, wrzące. Co chwila oczekują zapalenia się słomianych dachów, których mieszkańcy ziają na matach rozciągnięci. Mury schną i rozpadają się, szyby pękają. Nagim nawet gorąco jest, pot cieknie potokami; w domach ogień.

Biada Europejczykowi, który wyjdzie w południe, a nawet wieczór w pogodę! Biada temu kto zaufa gwiazdzistemu niebu i w nocy szuka ochłody i spoczynku po całodziennych cierpieniach. Oddychać będzie zabójczemi wyziewami jezior i

lasów. Jego ciało wciągnie jad obszernéj martwéj ziemi, która gnije aby znów odżyć. Odtąd przykra ociężałość opanuje go i będzie niszczyć aż do szpiku jego kości: zżółknie, członki jego pokrzywią się, ciało stopi się jak przy ogniu, albo też po kilku godzinach walki ulegnie, jeźli słabość dotknie go gwałtownie. Ta słabość zmienna stosownie do stref, tu zowie się tyfusem, tam żółtą febrą, w Senegalu zaś zowią ją dyssenterją.

Ta okropna choroba wyludniła w owym czasie osadę Senegalu, a szczególniéj stolicę, wyspę Świętego Ludwika. Patrzałem codziennie na pochody pogrzebowe, widziałem wczorajszych biesiadników niesionych na cmętarz, niekiedy dla jednéj szklanki wody nierozważnie wypitéj.

W koło mnie umierano bez liczby; najdawniéjsi osadnicy, nawet krajowcy nie więcéj opierali się zarazie jak cudzoziemcy. Grzebano negrów w wapnie a białych w piasku; to była jedyna między niemi różnica.

Niech sobie czytający wystawi przyjemność wyspy. Rzeka była pustą, wszystkie statki francuzkie odpłynęły już od dwóch miesięcy, bo handel w kolońjach zwykle jest zawieszony przez czas trwania téj okropnéj pory; kilku officerów garnizonu, którzy przez wyższe wychowanie przypominali obyczaje francuzkie, wymarli, albo oddalili się do Galam.

Jedyną moją rozrywką, była przechadzka codzienna w porze między zachodem słońca a nocą; to jest, nim jeszcze świeżość mordercza nocy rozlała się w powietrzu. Ta przechadzka ograniczała się na niewielkiej odległości od mego mieszkania położonego nad brzegiem rzeki, do pałacu Gubernatora. Przybywałem zawsze do pałacu w chwili kiedy muzyka wojskowa przy wieczerzy odgrywała różne kompozycje francuzkie. Wpoczątku moich przechadzek składała się ona z fletu, puzanu, trąb, klarynetów, bębna, trjangulu, i tureckich talerzy; i tworzyła harmonijny ogół. Zwykle sam zupełnie używałem téj rozrywki pogardzonéj przez krajowców. Siadłszy na kamiennéj ławce, duszą przenosiłem się do Francji na skrzydłach kilku ulubionych i powszechnie znanych melodji. Każdego wieczora siadałem na téj ławie jak amator włoskiéj opery, w teatrze *Italiens.*

Pewnego dnia, nie bez smutku dostrzegłem że brakowało fletrowersisty, nie dla tego żeby ten brak dawał się bardzo czuć w całości muzyki, ale ponieważ wszyscy ci ludzie mocno mię zajmowali, bo im byłem winien najprzyjemniéjszą chwilę dnia. Kiedy odchodzili, zapytałem się kapelmistrza o przyczynę, która mię pozbawiła przyjemności słyszenia fletu.

— Fletrowersista umarł wczoraj dotknięty tutéjszą chorobą, odpowiedział wsuwając swoją dyrektorską laseczkę w skurzaną pochwę. Jest to strata

niewynagrodzona, szczególniéj w kraju, gdzie nikt nie chce się uczyć muzyki.

Dzieliłem smutek kapelmistrza, i powróciłem do domu jak zwykle.

Nieszczęście prędko ludzi zbliża. Wkrótce zostałem przyjacielem muzyków pułkowych. Moją niezmienność w przychodzeniu codziennie dla słuchania ich, nie była im obojętną. Paschal ma słuszność kiedy mówi: «Jesteśmy tak próżni, iż staramy się o pochwały całego świata, i tak mali, że przyklask jednego zadowalnia nas.

Pomiędzy tymi muzykami, uważałem jednego młodszego od innych, był on bardzo delikatny, nawet cokolwiek melancholiczny. Instrument, na którym grał, zdawał się wcale niestosownym do usposobienia jego duszy. Grał na piszczałce, ale grał na niéj do zachwycenia. Piszczałka w jego ręku płakała, śpiewała i dumała. Istotnie był on poetą, na swoim niewdzięcznym instrumencie. Wpośród tonów czystych i czułych, zdawało mi się, że widzę moje rodzinne strony, i nasze barki, uchylające się pod wierzbami pochylonemi nad morzem.

W kilka dni, po stracie fletu, uważałem, że nie słychać tureckich talerzy. Miałem okropne przeczucie.

To przeczucie było bardzo słuszne, i ten umarł.

— Cóż robić, rzekł do mnie kapelmajster, z czerwonym nosem i czworograniastą głową, w całéj osadzie niema już wina. Musiemy pić rum. Rum w wodzie zabija nas.

Nie śmiałem napomknąć kapelmistrzowi, że to zapewne rum bez wody zabił nieboszczyka, co bił w talerze.

Byłem głęboko zmartwiony; alež przynamniéj klarynet, bęben, trjanguł, trąby i piszczałka zostały jeszcze. Młody fejfer, zawsze smutny, przelewał swoje duszę w piszczałkę. Gdyby Beethowen przeczuł tę duszę, byłby napisał choć kilka nót na piszczałkę w swoich zachwycających symfońjach.

Moje zmartwienia nie doszły jeszcze kresu, puzan i klarynét poszły wkrótce za fletem i tatalerzami.

Cała muzyka wojskowa składała się już tylko z bębna, trjangułu, trąb i piszczałki. Jakkolwiek to sprawiało cokolwiek czczości co do ogółu harmonji, niepodobna było uskarżać się bez obciążenia się grzechem niewdzięczności.

Pora zmieniła się cokolwiek, ale nie na korzyść. Niebyło już deszczów, huragany zasypywały wrzącym piaskiem Sahary, a trąby morskie porywały całe karawany, ludzi, wielbłądy i namioty.

Około tego czasu, myślałem o zmianie mieszkania; chciałem się przenieść na wyspę Gorée, w pośrodku oceanu w stronie północnéj, około 40

mil od wyspy Świętego Ludwika. Morze otaczające tę wyspę, zasłania ją od zjadliwych wyziewów stałego lądu, i powietrze jest tam cały rok zdrowe. Jest to ziemia wybawienia dla tych, którzy nie byliby w stanie wytrzymać okropnéj pory na wyspie Świętego Ludwika. Na nieszczęście mieszkańcy stolicy osad francuzkich w Afryce, wtedy dopiero namyślają się na tę podróż, kiedy już tylko tyle sił mają, żeby wytrzymać trudy przeprawy. w obu częściach świata dopiero ludzie myślą o zdrowiu, kiedy je utracili.

Ja byłem jeszcze zbytnie osłabiony, czułem jednak potrzebę spoczęcia. Żyjąc ciągle wpośród chorych i umierających, niepodobna być zdrowym. Potrzebowałem ulżyć moim spojrzeniom; opuścić tę rzekę drzemiącą pod ciężarem gorączki, te drzewa bez cienia, tę pustynię pełną ociężałości; potrzebowałem orzeźwić się wodą gór, i odetchnąć świeżem, silném powietrzem oceanu.

Postanowiłem wsiąść na statek, mający się udać do Gorei, z tamtąd zaś z początkiem wiosny miałem zamiar udać się do Europy. Jeszcze raz przed opuszczeniem wyspy Ś. Ludwika, chciałem zobaczyć, nie śmiem powiedzieć, usłyszéć, nieszczęśliwych muzyków pułkowych. Miałem sobie za powinność wziąść od nich jakie zlecenia do Francji; przygotowawszy się zatém do podróży, udałem się do pałacu Gubernatora, gdzie prócz tego, miałem jeszcze odebrać paszport.

W tym dniu, pora roku, rozwinęła całą swoją niszczącą siłę. Powietrze było gorące jakby wychodziło z pieca, i zdawało się opalać suche gałęzie palm. Wiele domków, wywróconych wiatrem, wpośród swych ruin okazywało zaczerniony kamień ogniska. Ziemia rozsypywała się pod nogami, na pół łokcia wszystko już było piaskiem. Pelikany niknące w obłokach, wydawały krzyki radośne. Zaledwie gdzie niegdzie widać było na progu chatki, starą murzynkę, tłukącą proso w moździerzu wyschłym jak ona. Zamiast deszczu, padał piasek, którego każde ziarnko paliło skórę jak iskra.

Przybyłem nakoniec; ale pałac gubernatora był pusty, nie było muzyki. Nie przyszli, chociaż już było dość późno. Jakto! czyżby wszyscy wymarli, w ciągu dziesięciu tylko dni, ani jeden nie uszedł zarazy! Może też nie mogąc zebrać kompletu po stracie czterech głównych instrumentów, zaprzestali swoich serenad. Mylnie mniemałem, bom nie czuł wojskowéj karności.

Zaledwiem przypuścił tę myśl, ujrzałem wchodzącego w bramę podwórza, kapelmistrza muzyki półkowéj. Bez wątpienia za nim idą jego podwładni; niezmiernie byłem niecierpliwy policzyć ich.

Pierwszy po kapelmistrzu wszedł fejfer. Niestety! pierwszy był ostatnim!

Zobaczywszy mię kapelmistrz, skinął głową, a w tém skinieniu, była cała powieść. To skinie-

nie mówiło: „Bęben umarł, trjanguł umarł, trąby umarły, wszyscy pomarli, a my dwaj; ja kapelmistrz, i fejfer, także wkrótce umrzemy.“

Podstąpili obadwa pod same okno gubernatora, aby zagrać ostatnie solo, które mieli wykonać na tym świecie.

Byli posłuszni. Nie będę opisywał stanu zdrowia kapelmistrza, on, dawniéj pełny jak wielki bęben, a szumny jak trąba, miał teraz tylko skórę na kościach, albo raczéj pod kośćmi, bo kości przebijały skórę. Prawdo-podobnie, nie pił już rumu z wodą, ale samą wodę. Z swojéj przeszłéj godności zachował tylko laseczkę, i poruszenia głowy, któremi ożywiał albo zwalniał rozmiar wykonywanych melodji.

Smętny fejfer rozczulił mię. Wyschłe ręce jego wydobyły z małéj pochewczki instrument, a blade usta wyciągnęły się, aby go dotknąć. Drżał, kilkakrotnie przesunął rękę po wilgotnych włosach, a z trudnością utrzymywał się na nogach.

Kapelmistrz odwrócił się, jakby do całéj orkiestry, i dał znak do zaczęcia.

Młodzieniec zaczął. Nie umiałem słów piosneczki którą grał, ale ją znałem. Znawca byłby ją znalazł nadto prostą, mnie wzruszyła ona do głębi duszy. Była to także piosneczka francuzka, jak owa, którą grał, kiedym go pierwszy raz słyszał. Aż dotąd, grał on zawsze dla innych, dziś grał tylko dla siebie. Biédny młodzieniec, mniemał

zapewne, oddając się zupełnie swemu instrumentowi, że się znajduje w jakiém miasteczku, w chwili przechodu, kiedy młode dziewczęta stają szeregiem, aby przepuścić fejfra, który zawsze jest dla nich przedmiotem uwielbienia. Może marzenia jego, były bardziéj poetyczne, nie wiem. Jakkolwiek bądź, był panem swego wzruszenia, aż do ostatniéj chwili. Kiedy skończył, kapelmistrz umiejący oceniać zasługę wysilenia swojéj orkiestry, odwrócił się do młodzieńca, i silnie ścisnął go za rękę.

Włożywszy znów piszczałkę w pochewkę, młodzieniec zbliżył się do mnie, i oddając mi swój instrument, rzekł:

— Ponieważ nie będę już grał, proszę pana chciéj za powrotem twoim do Europy, oddać ją mojéj matce. Nazywam się Emil Dax.

List doszedł nakoniec do swego celu.

Chciałbym tu dowieść jeszcze jak się ucieszył Emil Dax wiadomością, że został bogatym, jak wrócił do Francji, chciałbym opisać jego i jego matki szczęście, zapewnić szczególniéj, że zaraza nie porwała go, ale ta pociecha historyka jest mi wzbronioną. Powiedziałem ilem wiedział, więcéj już nie wiem.

Nazajutrz z rana niebyłem już na wyspie Świętego Ludwika.

Dodam tylko, że oddałem piszczałkę Emila Dax porucznikowi okrętu kupieckiego, udającego się z Go-

rei do Cherbourg. Nie wiem czy ten instrument doszedł do miejsca swego przeznaczenia.

Może na komorze złamano go na kawałki, dla przekonania się czy w nim nie ukryto złotego piasku.

*Leon Gozlan.*

# LA VILLA MARAVIGLIOSA.

## I.

Błażéj młody malarz, między wielu pięknemi przymiotami liczył i ten, że nigdy niebył we Włoszech. Urodzony w Paryżu, uwielbiał to miasto, nieporównywając go nigdy z Rzymem, owém miastem miast, Louvr wzniecał w nim podziwienie, lubił ogród Luxembourg, chociaż cokolwiek za nadto symetryczny, i Tuilleries, pomimo nianiek siedzących pod kasztanami, i kruków na ich 'gałęziach; utrzymywał on jak wszyscy cudzoziemcy,

że bulwary są najwspanialszą przechadzką, a pola Elizejskie najbogatszemi w piękne widoki.

Błażéj był jak mówiłem, malarzem: muszę więc dodać, że jego czułość dla Paryża, rozciągała się za jego rogatki. Nic podług niego nie mogło zrównać piękności wiosek skrapianych wodą Sekwany albo Marny.

Błażéj malował widoki z natury. Jakie bądź drzewo, proste czy krzywe, suche czy liśćmi pokryte, było dlań przedmiotém do obrazu. Lubił bardzo przedstawiać kapustę z szerokiemi liśćmi rozwiniętą jak róża, skropioną deszczem; i w ogóle, to wszystko co niewiele wznosiło się nad poziom szparagów. Szanował on bardzo tych, którzy malowali. Chimborazo pokryte śniegiem; Ganges, unoszący z sobą całe wyspy; górę Atlas, i Beduinów na niéj obozujących; pola ameryki i biegające po nich lamy; ale nieczuł pociągu do naśladowania ich, dla wielu przyczyn, między innemi, ponieważ ci malarze mieszkali w Paryżu, na Chassée-d'Antin, zkąd niemogli widzieć Chimbaraso ani Beduinów, powtóre, ponieważ wewnętrznie przekonanym był, iż przyrodzenie równie jest obfite w rozmaitość, wdzięki i barwy, w liściu kapusty, jak w liściu palmowym. Ja, zupełnie zgadzałem się z nim w tym względzie.

Pomimo wrodzonéj skromności, pomimo istotnego talentu, w rodzaju malowania, któremu się poświęcił, pomimo, że obrazy jego zawsze fałszywie

były umieszczane na wystawie, Błażéj zyskał imie zaszczytnie wspominane między imionami współczesnych malarzy. Ostatniego roku, pierwszéj epoki naszej przyjaźni, dał na wystawę obraz przedstawiający *Karczmę w Gentilly*. Zachwycającą była prawda tego obrazu. Zdawało się, że słychać zapach kozcolistka (*caprifolium*), że czuć, jak się gną gałązki bzowe; jak naturalnie wino wyléwało się z beczki, stojącéj w poprzek na dwóch innych próżnych, jak się rumieniły kotlety na kominku! jak karczmarz zadowolony z swych gości, a nadewszystko z jaką chciwością zajadali dwaj ogrodniey, siedzący przy stole, to niepodobna opisać, dość powiedzieć, że widok tego obrazu, obudzał chęć jedzenia.

W kilka dni potém, dzienniki ogłosiły imiona artystów, którzy otrzymali nagrody za piękne twory złożone na wystawie. Szukałem chciwie imienia mego przyjaciela, ale naprożno. Trzydziestu malarzy otrzymało krzyże legji honorowéj, za malowanie kobiety, kąpiącéj się, o Błażeju ani wzmianki.

Nie spotykałem Błażeja, może się zabił przed swoim obrazem, którego nie umiano ocenić.

Nie zabił się! pewnego poranku przyszedł do mnie.

Szczególna zmiana zaszła w całéj jego postaci. Był ubrany zaniedbanie, włosy długie, w nieładzie, spojrzenie pełne natchnienia.

Zadrżałem. Byłem pewny, że pierwszém jego słowem będzie: „Jadę do Włoch!“

— Uczyń mi jedną przysługę, odezwał się, wska· mi imie mniéj pospolite jak moje. Błażéj! śmieją się kiedy je wymieniam.

— A jednak to ci nieprzeszkodzi być wielkim malarzem pejzaży.

Błażéj zbladł na słowo pejzaże.

— Może się chcesz nazwać Arturem; Arturem, Alfredem albo Edwardem? mój przyjacielu imie nic nie stanowi. Malarze włoscy, w tym jednym przypadku pozwalam brać ich na wzór, nie starali się o dobór imion. Jeden nazywa się *il Guercino*, zyzowaty; drugi, *il Zucchero*, cukier, inni nakoniec nie mają rodzinnych nazwisk, i mianują się podług miéjsca swego urodzenia, *il parmesan*, *il perugino*.

— A więc, będę się nazywał Błażejem, we Włoszech?

— Jakto? do Włoch jedziesz?

— To ci się nie podoba?

— I bardzo; widzę w tém szkodę dla ciebie.

— Ależ tam przecie znajdę obrazy wielkich mistrzów.

— Ja mniemałem że pojedziesz do Normandji albo Bretanji, do Prowancji albo Auvernji naśladować piękną naturę, nie zaś wielkich mistrzów we Włoszech. Powiedz mi cóż od nich weźmiesz? barwę ciała? Zawołaj córki twego odźwiernego, a jeżli nie przyznasz że na jéj twarzy piękniéjsze

są kolory jak na wszystkich obrazach Rafaela, to przysięgam ci, że już nigdy nie spojrzę na kobietę. Czyliż kaszmiry aksamity i atłasy jakie przedają w Palais Royal, nie przewyższą najwspanialszych draperji Pawła Veronese; cóż chcesz nakoniec naśladować? kompozycję? tego kopjować nie można, wiesz o tem dobrze.

— Słusznie, odpowiedział Błażéj bojaźliwie; nie potrzeba nikogo naśladować kiedy ograniczamy się na samych krajobrazach; ale chcąc być malarzem historycznym, trzeba zwiedzić Włochy i podziwiać cuda Rafaela d'Urbino, Tentoretto, Guercino, Tyziano, Perugino.

— Ależ na miłość boską, dajże się przekonać. Włosi, którzy tych wszystkich mistrzów których wymieniłeś, mają u siebie ciągle przed oczami, nie słyną teraz wcale jako malarze. Wymień mi choćby jednego człowieka w naszym wieku. Ich obrazy mają tylko wartość ram w których są oprawne, jakąż więc korzyść mają z tych wzorów które posiadają od pięciu wieków?

— Ale inni z nich korzystają.

— Kto? malarze w szkole rzymskiéj? Bądźmy grzecznemi dla tych, którzy tam są: nie wspominajmi o nich. Ale oddajmy sprawiedliwość tym, którzy tam nie byli. Wyliczyłbym ci kilkunastu którym sam przyznałbyś znakomite zalety.

— A jednak ministerjum wysyła tam młodych malarzy, aby się doskonalili?

— Zbyt masz mocny zamiar wyjechania, nie będę cię więc zatrzymywał; powodzenie malarzy, którzy na wystawę dali obrazy kąpiącéj się kobiety, nie pozwala ci zasnąć: dobrze, maluj w tym rodzaju; ale ja nie zapomnę nigdy twojego młyna w Montmartre; Montmartre, z lewéj strony Batigroles, daléj w cieniu Saint-Denis, i gościniec z powozami kurzem okrytemi, trzody wołów, owiec, i wszędzie kapusta; że aż bierze chęć do jedzenia!

Błażéj patrzał na mnie z niepewnością, co ma postanowić.

— A twoja *karczma w Gentilly*!

— Przyjmij ją, kiedy tak ci się podobała, będzie to pamiątką odemnie.

— Dobrze, zatrzymam ją, dopóki nie będzie warta 10,000 franków.

— Zmysły straciłeś! czyliż ona będzie kiedy tyle warta.

— Bez wątpienia. Gdy we Włoszech, albo za powrotem z tamtąd, wymalujesz ze trzydzieści *Madonna della sedia*, gdy okażesz kopje Rafaela, Ticjana, i Michała anioła.

Błażéj ułagodził się i ściskając mię za rękę, rzekł:

— Udaję się także do Włoch, dla zmiany powietrza, będę śledził inne obyczaje, przyglądał się innemu niebu. Lubię Włochy, z opisów tych,

którzy tam byli; spodziéwam się, że twoja nienawiść nie rozciąga się aż do ludzi tamtych okolic?

Tym sposobem mówiąc, Błażéj przymuszał mię do pochwalenia jego zamiaru, i kładł koniec rozprawom.

— Bądź zdrów, rzekł nakoniec, dziś wieczorem odjeżdżam do Marsylji, z tamtąd popłynę morzem do Genui, a potem udam się do Toskanji. We Florencji mam list polecający, do hrabiego Frontifero, który posiada znakomitą galerję obrazów w wiéjskim pałacu nad Arno, znanym od cudzoziemców, pod nazwiskiem *villa maravigliosa*.

— A więc, jedziesz do Włoch, dla zmiany powietrza?

Błażéj uśmiechnął się, i podał mi rękę.

— Będę do ciebie pisał.

— Będziesz pisał?

II.

Błażéj nie pisał do mnie, podług zwyczaju między przyjaciółmi. Ale w rok późniéj, jedliśmy śniadanie w oberży w Gentilly, któréj widok tak zachwycający, darował mi, wyjeżdżając.

Tam, w ten sposób, opowiadał mi swoją podróż do Włoch.

— Hiszpanie zwykli do swoich komedji dodawać zawsze przydomek *sławna*, mimo to, jednak nikt ich nie przychodzi widzieć ani nie czyta.

We Włoszech wszystko jest *sławne*, przynajmniéj w ustach tak zwanych *cicerone*. Ulice przez którą idziesz, jest sławną w tém mieście, ten dom sławny na téj ulicy, to okno sławne w tym domu, nareszcie w tém oknie jest jeszcze gwóźdź, przez jakieś zdarzenie wsławiony.

Przybywając do Genui, miałem gorączkę właściwą tamtemu klimatowi, a będącą skutkiem błękitnego powietrza, i *brzmiących* wód, tak zachwalanych przez podróżników. Wyzdrowiwszy, łatwo się domyślisz, że starałem się jak najspieszniéj uzyskać pozwolenie obéjrzenia *sławnych* galerji, w tém *sławnem* mieście, które posiada ogrody na dachach, bo ich nie może miéć na ziemi.

Właściciel pierwszéj galerji, którą chciałem zobaczyć, wydawał za mąż swoją córkę; odmówiono mi wnijścia.

Naprawiano wschody drugiéj galerji, zostałem proszony, żebym się zatrzymał trzy miesiące, jeżeli chcę ją obéjrzeć.

Właściciel trzeciéj galerji, nie lubił francuzów, i dlatego nie pozwalał im wnijścia do niéj.

Trzy ważne powody wyłączenia: ślub córki, naprawa wschodów, i nienawiść polityczna.

Pojechałem więc z Genui do Florencji, nie widząc dotąd nic, prócz powietrza i wody. Przybyłem do Florencji.

Hrabia Frontifero, któremu byłem poleconym, nie był tak dumny jak inni panowie włoscy, nie

chwalił się, że pochodzi od Herkulesa, jak rodzina d'Este, ani od Marsa, jak bardzo wiele rodzin florentskich; odnosił tylko pochodzenie swoje do Eneasza, którego imie na chrzcie otrzymał, jednakże przez chwalebną nader skromność, używał tylko pierwszéj głoski. Podpisymał się: *E. Frontifero.*

Chociaż piękna *villa maravigliosa*, nie dostała mu się w spadku po Eneaszu, nie podpadało jednak wątpliwości, że od niepamiętnych czasów, należała do rodziny Frontifero, która szczyciła się, że dał światu trzech papierzy, miastu Genui sześciu gonfaloniero, i jednego nieporównanego miłośnika sztuki malarskiéj. Tym nieporównanym miłośnikiem był, można się domyśléć, hrabia Eneasz Frontifero.

Cały rok mieszkał on w swojéj *villa maravigliosa*, sławnéj przez swoje wody, ogrody, lasy, a szczególniéj galerję obrazów.

Przyjęcie, jakiego doznałem u hrabiego Eneasza Frontifero, pochwyciło mię. Teraz jeszcze wyznam, iż jego villa zasługuje na przydomek cudownéj, który jéj cudzoziemcy nadali, chociaż Pirasini, sławny malarz widoków, przetwarzający domki zaledwie porządne w pałace, nie zaszczycił ją swoim ołówkiem.

Przy pierwszych moich odwiedzinach, hrabia wprowadził mię do swéj galerji obrazów. Zielone firanki zasłaniające całe okna, rozléwały lekki

cień wrażający uszanowanie prawie religijne. Pod wpływem tego światła przyćmionego, poważne dzieła szkoły rzymskiéj, zyskiwały przez to, że nietyle znać było niedostateczności ich kolorów, zaś malowidła szkoły weneckiéj, nie tyle raziły zbytnią jaskrawością.

— Jednem słowem byłeś zachycony pierwszemi odwiedzinami u hrabiego Frontifero?

— Zachwycony do najwyższego stopnia; tém bardziéj, że łaską, jaką mi wyświadczył pozwalając obejrzyć swoją galerję, od dawnego już czasu nikogo nie spotkała. Moje pochwały, wynagrodziły mu tę grzeczność. Wyczerpałem cały słownik wykrzykników: piękne! bardzo piękne! szczytne! cudowne! zachwycające! wzniosłe! porywające! nieporównane! i t. d.... Nakoniec już nie chwaliłem, drzałem, słabłem, gniéwałem się. Oddając się nagannym przesądom uniesienia i gótów byłem skoczyć na szyję hrabiemu. Wiek jego jednak, i imię Eneasz, wstrzymało mię od tego. Hrabia był zadowolony. Co do mnie, wolałbym, żeby firanki były odsłonięte iżbym mógł jeśli nie w lepszem, przynajmniéj w większém świetle ujrzéć te obrazy. Milczałem jednak, licząc na następne odwiedziny, i ciesząc się, że jeszcze pozostało mi większe ukontowanie niż to, którego już doznałem.

— Przygotuj się pan, rzekł hrabia, gdyśmy zbliżyli się do ostatniéj arkady galerji, zobaczyć

najkosztowniéjszy mój obraz, który nie wszystkiem oczom pokazuję.

— Tintoretto?

— Jeszcze coś więcéj.

— Rafael? krzyknałem aby prędko skończyć.

— Jeszcze coś więcéj.

— Więcéj niż Rafael!

— Móją córkę. Oto ona!

Hrabia odsunął firankę, i ujrzałem młodą osobę zajętą kopiowaniem Wenery Tycjana.

— Nazywa się Wenus, tak jak ta któréj obraz maluje. Młoda panienka powstała.

— Godną jest tego imienia! krzyknąłem.

Panna Wenus zarumieniła się, i prosiła mię o zdanie względem kopji którą malowała.

— No, toś już i zakochany, biedny mój Błażeju założyłbym się prawie.

— Szalenie zakochany. O Itajo! myślałem, ojczyzno słońca, sztuk i piękności! Bóg stworzył piękność dla Włoch a dla innych krain szpetność. Jakie sabińskie włosy miała panna Frontifero! toskańskie spojrzenie, szyje samnicką płeć kampańską, jakiś wdzięk płaskorzeźby w jéj ruchach. Obrzydłe! mówiłem z cicha, patrząc na nią z uwielbieniom, stokroć obrzydłe wspomnienie francuzek a nawet paryżanek. Żadna paryżanka nie ma stylu w swéj postawie. Oto są piękne kobiety, tu przyjdźcie je widziéć.

— Mój Boże! jakże dalekim wtedy byłeś od wieśniaczek z Gentilly. Cóż tedy wypadło z téj miłości?

— Bądź cierpliwy. Na domiar oczarowania, panna Wenus Frontifero mówiła po francuzku jak po włosku.

— To cud!

— Miała nawet wymowę wersalską. Jéj malowanie zdawało mi się przeslicznėm, chwaliłem je bardzo.

Udaliśmy się na śniadanie zastawione w altance ogrodowéj. Byłem zachwycony wszystkiém, co mię otaczało, zdawało mi się, że pierwszy raz w życiu napawam się zapachem róż i jasminów. O Florencjo! wołałem, słusznie cię nazywają miastem kwiatów.

— Nakoniec?

— Przy końcu tych pierwszych odwiedzin, przepełniony uwielbieniem, zapałem i miłością, żegnałem się z hrabią Frontifero, i jego córką. Oboje odprowadzili mię aż do krat otaczających willę, wymagając odemnie przyrzeczenia, że ich w krótce znowu odwiedzę.

Gdym ich ostatni raz żegnał, rzekł do mnie hrabia:

— Związek sztuki, jest związkiem przyjaźni. Pozwól pan, abym ci udzielił przestrogi, która ci się może zdawać nadto poufałą. Florencja jest zniszczeniem dla cudzoziemców; po cóż masz się

pan niszczyć? proszę mi przebaczyć, że zwracam jego uwagę na takie drobnostki. O dwa kroki ztąd, jest hotel bardzo pięknie urządzony i wygodny. Za cenę bardzo umiarkowaną, będziesz pan miał piękne mieszkanie i stół wykwintny. Radzę panu obrać tam mieszkanie, bo radbym bardzo mieć go moim sąsiadem.

— Ach hrabio, czyliż to nie jest szczęściem, mieszkać tak blisko twego pałacu? Ja to powinienem dziękować ci z uniesieniem, że przy twojém urodzeniu, stopniu i majątku, raczysz hrabio uniżać się, aż do troskliwości o moje mieszkanie. W téj chwili, prosto spieszę do tego hotelu.

— Pod znakiem, *Brutusa poświęcającego swoich synów*!

Piękny kraj, zawołałem, rozstawszy się z szlachetnym hrabią Eneaszem. Aż do znaków, wszystko tu jest wzniosłem. Co za piękny pomysł! zachęcać do cnoty, za pomocą znaku nad szynkiem.

— Ale zapomniałem ci powiedzieć, dodał Błażéj, kończąc pierwszą część swego opowiadania; hrabia Frontifero, ubrany był w suknią z czerwonego axamitu.

Ja zaś, zapomniałem wspomnieć, że mój przyjaciel miał pięćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu, malował dla rozrywki, nie zaś z potrzeby.

III.

Mieszkałem więc, jak ci mówiłem, w hotelu pod *Brutusem poświęcającym swych synów*. Nie był on wytwornie urządzony, ale z okien moich widzieć mogłem cudowną villę, ta okoliczność zdolna była zastąpić najwspanialsze umeblowanie. Prócz tego, łatwo mogłem przypuścić, że Dominikin mieszkał kiedyś w tym samym pokoju, albo że Paweł Veronese, pił z tego samego kubka. Mój oberżysta, dalekim był od zbijania podobnych domysłów, owszem kiedym rzekł raz do niego: Signor Policastro, czy to nie tu, Bramante, nie będąc w stanie zapłacić za talerz groszku, jednemu z poprzedników twoich w sztuce gastronomji, wyrysował na murze ten półmisek z groszkiem, i tym malowniczym sposobem, uiścił się z swego długu.

— Jakto, czy nie tu, a gdzieżby to mogło być jeśli nie tu.

— Czy nie mogłbym zobaczyć téj pamiątki wielkiego artysty.

Tu signor Policastro, zaczął się użalać na cudzoziemców, którzy gdzie mogą łupią dzieła sztuk pięknych. Któryś z przejeżdżających francuzów wyłupał kawał muru, na którym był ten rysunek.

Prócz zamiłowania sztuk pięknych, mój oberżysta posiadał niepospolite kucharskie zdolności.

Kuchnia włoska! mój przyjacielu, nic nie mogło zrównać jéj w mojém przekonaniu. Uśmiechałem się z pogardą na wspomnienie potraw francuzkich bez poezji i bez séra, potraw, którym przypisać należy naganną skłonność do malowania nikczemnych wiéjskich krajobrazów, i tyle innych słabości; we Włoszech jest kuchnia historyczna. Wszędzie sér, sér w jarzynach, ser w sztuce mięsa, sér w owocach, sér smażony w sérze.

— Na niczém nie zbywa naszéj narodowéj sławie! rzekł raz signor Policastro, stawiając przedemną sześć potraw, a wszystkie z serem.

— Istotnie, odpowiedziałem, gdyby tylko jeszcze można kłaść sér do kawy.

Zostawmy tymczasem na chwilę mojego oberżystę, a wróćmy się do mego szlachetnego sąsiada, hrabiego Eneasza Frontifero, i jego piękněj córki, Wenery Frontifero.

Odwiedziny moje w *villa maravigliosa*, coraz stawały się częstszemi. W ciągu dwóch miesięcy, uważano mię już jak domowego.

Namiętność moja dla córki hrabiego, postępowała tym samym krokiem, co mój zapał dla jego galerji, i kuchni jego sąsiada, oberżysty Policastro. Szczerość wymaga, żebym wyznał, iż pod różnemi pozorami, hrabia musiał mię ciągle zbywać niczém, ile razy prosiłem go, o pozwolenie zwiedzenia galerji.

Mmniemasz może, że kochałem córkę jego po francuzku, naturalnie, skromnie, żem podnosił jéj rękawiczkę, aby miéć sposobność dotknięcia się jéj ręki. Mylisz się; była to miłość liryczna, w stancach; ja przemawiałem do niéj jaką piosnką Petrarka, ona mi odpowiadała sonetem. Rzecz jasna, że nie oświadczyłem jéj moich uczuć w salonie, na prozaiczném krześle, między kominkiem i modnym geridonem. Mówiliśmy z sobą o miłości włoskiéj, gorącéj, ognistéj, z kwiatami i trucizną, w ogrodach villi w posród ruin, grot, ciemnych cyprysowych alei i grobowców. W owéj szczęśliwéj chwili, kiedy jéj wyznałem moje uczucia, otoczoną była nagrobkami. U stóp jéj czytałem: *Diis Manibus*. Ręka jéj prawa, oparta była na murze z napisem: *Aellae romanae conjugi dulcissimae*; a kiedy podniósłem głowę, aby zwyczajem starożytnym, z jéj ust w słodkiém pocałowaniu otrzymać odpowiedź: Ujrzałem nad jéj głową wyryte: *Sub ascia dedicavit.*

Niech się twoja skromność nie oburza, wkrótce miały być moje zaręczyny z hrabianką Wenerą Frontifero.

— I ożeniłeś się z nią? i galerja jest twoją, a *villa maravigliosa* do ciebie należy?

— Posłuchaj. Chciałem zebrać niejakie wiadomości względem mego przyszłego teścia, pierwéj, nizbym się na zawsze połączył z jego córką. Vil-

ła jest zamkiem, wszystkie zabudowania, hotel, składy, kuźnia, i t. d., zależą od willi, sądź więc czy mieszkańcy, dobrze mówili o swoim lennym panu. Wiedziano, że jestem jego przyjacielem, słyszałem więc tylko same pochwały.

Ale zdarzenie jedno podało mi sposobność sprawiedliwego ocenienia charakteru i obyczajów hrabiego, mego przyszłego teścia.

Pewnego wieczora, gdym samotny w moim pokoiku rysował popiersie z Antyku, usłyszałem szmer w bliskości. Północ biła. Psy przestały szczekać, a śpiewacy mieszać swe głosy z tą czworonożną muzyką, powszechna spokojność panowała w całym domu aż do poddasza. Idąc za szmerem dwóch rozmawiających głosów, zbliżyłem się do drewnianéj ściany, i przez małe szczeliny, ujrzałem mego oberżystę Policastro, ze swiécą w ręku, wprowadzającego mego teścia, który usiadł przy stole. Policastro usiadł obok niego i otworzył książkę, gdzie niegdzie noszącą plamy tłustości; była to księga przychodu dziennego. Hrabia wziął pióro, i z powagą, która zdawała się trwożyć jego towarzysza, zabrał się do pisania.

— Zobaczmy, messer Policastro, mówisz więc... Policastro zaczął dyktować:

*Obiad dla anglików.*

| | |
|---|---|
| Dwa pollastri. | 30 fran. |
| Pieczoną szynka. . . | 50 — |

| | | |
|---|---|---|
| Bricoli stracinati. | . 10 | — |
| Fegato à la milanaise. | 12 | — |
| Pasta frolla. | . . . 8 | — |
| Razem | 110 | — |

— Tylko 110 franków! Rachunki twoje codzień zmniejszają się, jak piramidy Egipskie, poniżasz się, signor Policastro. Anglicy wkrótce przestaną do nas przyjeżdżać, jeżli stracą sposobność wydawania więcéj pieniędzy jak u siebie. 110 franków! myślisz chyba, że kaczki rodzą się z jaj pająków.

— Ależ panie hrabio, Anglicy skarżyli się jeszcze na drogość potraw.

— To niech siedzą w swoim mglistym Londynie! I tak więcéj z nich mamy straty niż korzyści; zabierają wszystkie nasze starożytności, niedługo nie zostanie ani jeden nagrobek na Włoskiéj ziemi. Ale wróćmy się do wątrobki à la milanaise; ostatni raz, zapytuję się; podwoisz cenę czy nie?

— Ależ już krzyczą że zdzieram podróżników!

— Zdzieraj! nic nie szkodzi; czyliż warto pokazywać im tak piękne ville, tak wspaniałe galerje, za to, że zjedzą bricolistracinati za dziesięć franków! Ponieważ nie masz odwagi potrzebnéj oberżyście, ustanowię sam niezmienną cenę wszystkich potraw; jeśli będziesz się opierał, oddalę cię.

I hrabia zaczął wypisywać na tablicy na któréj był wydrukowany spis wszystkich potraw i napo-

jów, których można było dostać w hotelu pod *Brutusem poświęcającym swoich synów.*

— Ale, panie hrabio, wołał za każdym wierszem poczciwy Policastro, nikt nie będzie jeść ryb smażonych, duszonéj kalarepy, jeśli pan tak wysoką cenę im naznaczysz. Przynajmniej miéj pan wzgląd na potrawkę z séra. Zgubisz pan ulubione *tagliarini.* Ach panie hrabio, litości dla makaronów. Nie poniżaj ich pan, od pięciuset lat cena ich jest niezmienną; ludy starożytne nie śmiały się targnąć na nią. To jest cena święta, przodkowie pańscy ustanowili ją. Pradziad rodziny Frontifero Eneasz!....

Nieubłagany hrabia, oparłszy się lewą rękę na rękojeści swéj szpady, dla nadania sobie większéj powagi, napisał na karcie podwyższoną cenę makaronów, i powstał.

Policastro uchwycił za poły jego czerwonéj sukni i zawołał:

— Panie hrabio, nic mię już nie wstrzymuje, powiem co myślę, postępek pański z makaronami jest oburzający. Biada domowi Eneasza! Jego upadek się zbliża.

— Milcz Policastro, albo, znajdę innego na twoje miejsce.

— Nie uczynisz pan tego!

— Ciekawym kto mi zabroni?

— Własny interes.

— Czy tak?

— Czy chcesz pan żebym odkrył czém jest jego villa?

— Policastro, mój przyjacielu.

— Czy chcesz pan żebym ogłosił czem jest jego galerja?

— Policastro, *mio caro*!

— Czy mam powiedzieć czém jest jego córka?

— Policastro mój wspólniku! mój towarzyszu! No, no, nie gniewaj się, przywrócę dawną cenę makaronów, i zgoda z nami.

Jedném pociągnieniem pióra hrabia zmniejszył cenę makarów, i Policastro ścisnął z zapałem podaną mu rękę.

— Twój habia jest szalony! Błażeju.

— Nie tak szalonym jakbyś sądził, przekonasz się później. Ja to mało nie postradałem zmysłów w chwili kiedym widział mego teścia, potomka Eneasza, w postaci oberżysty, i gdym słyszał tak mistyczną rosprawę o villi, galerji, i hrabiance Wenerze, za którą w posagu miałem otrzymać tę villę i tę galerję.

„*Czy mam powiedzieć czém jest pańska córka?*" ta groźba oberżysty grzmiała w mych uszach. Byłażby Wenus wystąpną?

Po zawarciu pokoju z oberżystą, hrabia zdjął swoją aksamitną suknię, i powiesił ją na kołku, odpiął szpadę, położył kapelusz na rogu stołu, zsunął rękawy koszuli aż po łokcie.

— Jeżeli chcesz, jestem gotów, rzekł potem do oberżysty.

Policastro wyszedł, i wrócił w krótce z wielkim koszem z którego wydobył rozmaite ryby, jarzyny, ptastwo, i owoce. Otworzył potém szafę z któréj wyjął rądle, misy i inne naczynia kuchenne, i wszystko rozłożył na wielkim stole, zamknąwszy poprzednio drzwi na dwa spusty.

— Więc to byli czarownicy, ci ludzie?

— Nie, po prostu tylko kucharze.

Uzbroiwszy się dużym nożem, brabia siekał jarzyny, wyprawiał ryby i ptaki, oberżysta tymczasem, rozpalił ogień i zaprawiał korzeniami i sérem przygotowywane przez jego towarzysza potrawy.

Wystaw sobie moje podziwienie, na widok potomka pobożnego Eneasza, zamienionego nagle w podkucharza, i sądź, com myślał, patrząc, jak właściciel pięknéj villi i kosztownéj galerji, a nadto mój przyszły teść skrobał marchew? Do drugiéj po północy, wyprawiał pulardy, skrobał i solił ryby, nie okazując w twarzy najmniéjszego uczucia wstydu. Kiedy już wszystko było przygotowane. umył sobie ręce, odsunął na powrót rękawy, wdział suknię, przypiął szpadę i nakrył głowę, wyszedł temi samemi drzwiami któremi wszedł poprzednio. Nie potrafisz pojąć jak nagła zmiana, zaszła w postępowaniu oberżysty.

Policastro przed chwilą równy hrabiemu, skoro tylko tenże ubrał się w pąsową suknie, stał się najuniżeńszym lennikiem, najpokorniejszym sługą. Z czapką w lewéj, a świecą w prawéj, zgięty jak znak zapytania, odprowadził hrabiego aż na podwórze, upewniając go o swojéj niezachwianéj wierności.

## IV.

Łatwo domyślisz się, że za pierwszém widzeniem się z hrabianką, starałem się znaleść sposobność wyjaśnienia dziwnych okoliczności, i tajemniczych słów, które wzbudziły moje podziwienie, w chwili gdym patrzył przez szczelinę w ścianie mojego mieszkania. Najtrudniéj było zacząć. Możebym nie dopiął mego celu, gdyby hrabianka nie wezwała mię, do użycia z nią przechadzki po ogrodzie. Przechodząc około posągu Vitelliusa, rzekłem:

— Wielcy ludzie miewają słabości, którym niekiedy trudno uwierzyć, i tak:

Vitellius jak mówią, sam mył sobie półmiski,
Traian butelkował wino,
Konstantyn przykrawał suknie.
Ludwik XIII robił konfitury,
Ludwik XIV czesał swoje pieski,
Ludwik XV gotował sam sobie kawę.

— Pojmuję jednak podobne dziwactwa, dodałem, są one rozrywką po trudach przywiązanych do wielkości. Łuk nie powinien być ciągle naprężony, bo mógłby pęknąć powiedział Sokrates. Ojciec pani, lubi bardzo zdania Sokratesa, chociaż nie myje półmisków, nie czesze piesków, i nie robi konfitur.

— Ma on jednak swoje dziwactwa, odpowiedziała, rumieniąc się hrabianka Wenera.

— Może pisze wiersze? to jest miła rozrywka.

— Nie.

— Może zajmuje się szukaniem kamienia filozoficznego?

— Nie sądzę, żeby tak wysoko sięgał.

— Wiem. Bez wątpienia, oddaje się chemji.

— Tak jest, w zastósowaniach użytecznych, odpowiedziała Wenera.

— Tyle ich jest, że trudno mi zgadnąć jakiéj gałęzi poświęca się szlachetny ojciec pani. Do chemji należą fabryki mydła, wody kolońskiéj, zapałki, sztuka kucharska...

— Podobno ta ostatnin gałęź chemji jest jego ulubioném zatrudnieniem.

— Nie ma w tém nic, co mogłoby mię martwić, rzekłem spiesznie, dziwactwa wielkich ludzi są święte. To nawet, ma zaletę oryginalności. A więc ojciec pani pomimo, że jest we dnie hrabią...

— Staje się w nocy kucharzem, dodała kończąc moją myśl naiwna Wenus. Powiedziałam to panu, ponieważ wkrótce, nie będziemy mieli dla siebie nawzajem nic skrytego. Ale nie chciéj wspominać o tém memu ojcu, bo musiałby rumienić się, przez wzgląd na swoich przodków.

A więc miałem już odgadnienie jednéj z trzech zagadek. Mój przyszły teść, był kucharzem z dziwactwa. Lalande jadł pająki; hrabia robił makarony dla tych, ktorzy pająków nie jadają. Lalande mimo to, był wielkim astronomem, a hrabia szlachetnie urodzonym, bogatym właścicielem cudownéj willi, i galerji sławnych obrazów, które to skarby miały być mojemi, skoro otrzymam trzeci skarb, to jest córkę hrabiego, Wenus Frontifero.

Ale druga zagadka, czyli raczéj groźba oberżysty Policastro: *Powiem, czém jest pańska galerja*!

— Dla czego ojciec pani, piękna hrabianko, który tyle dał mi dowodów swojéj przychylności, dotychczas, trzy razy tylko pozwolił mi widzieć swoją galerję obrazów, któréj okazałem się sprawiedliwym wielbicielem?

— Dowiesz się pan. Mój ojciec, przeszłego roku, przedsięwziął podróż po Francji i Anglji, jedynie w celu obéjrzenia zbioru obrazów w tych dwóch krajach. Sądź o jego podziwieniu i gniewie, kiedy mu odmówiono wstępu do wszelkich prywatnych galerji, jakby w skutku jakiéj zmowy.

Po długiém śledzeniu przyczyny takiéj niegrzeczności, dowiedział się nakoniec, że pewien anglik, rozgniewany nań, jedyną był sprężyną całego tego spisku. Ten anglik, któremu mój ojciec dla szczególnych powodów, nie dozwolił wnijścia do swojéj galerji, zemścił się, podmawiając wszystkich lubowników malarstwa z obu stron kanału *de la Manche*, aby nie pokazywali zbiorów swoich hrabiemu Frontifero. Mój ojciec głęboko uczuł tę zniewagę, ale jako włoch, ukrył ją w sercu. Wróciwszy do Florencji, postanowił, iż galerja jego na zawsze będzie zamkniętą dla wszystkich cudzoziemców bez różnicy. Jedynie szacunkowi, jaki powziął dla pana, i wzajemnéj naszéj skłonności, winien jesteś to wyłączenie od ustawy, na któréj zemsta położyła swoją pieczęć. Dla tego to, pragnąc ile możności, pogodzić chęć okazania ci swéj przychylności z trudną powinnością dotrzymania danego samemu sobie przyrzeczenia, tak się ograniczył w zadowoleniu pana.

Druga zagadka odgadniona, pomyślałem sobie, ale dodałem, biorąc za rękę moją przyszłą:

— Gdy zostaniemy połączeni, przestanę być dla was obcym, i potrzeba wyłączenia zniknie. Prócz tego sądzę, że galerja ta, będzie moją własnością.

— Nieochybnie. Ale jeśli to panu ma przyjemność sprawić, mogę mu ułatwić oglądanie naszéj

galerji za pomocą klucza, który mam od niéj, pod warunkiem jednak, abyś nic wewnątrz nie poruszał, a szczególniéj zasłon u okien nie podnosił, bo w przypadku gdyby mój ojciec przyszedł tam niespodzianie, łatwo będziesz mógł ukryć się za którym obrazem, byleby nic nie wskazywało, że się tam znajdujesz.

Nigdy kochanek usłyszawszy wyznanie oddawna upragnione, nigdy inżynjer widząc wytryskującą wodę studni artezyjskiéj na dziesięć stóp wydrążanéj, tam gdzie spodziewał się że będzie musiał ze sto sążni w skale świdrować, niedoznali tyle radości ile ja w téj chwili.

Kobiety zwykle więcéj się cieszą radością którą komu sprawią, niż swoją własną. Jest to także rodzaj samolubstwa, szlachetniéjszy jednak jak u męszczyzn.

Wenus podzielała moje szczęście, i chcąc je podwoić oddała mi zaraz wspomniony klucz od ubocznych drzwi galerji. Lovelace byłby przynajmniej czekał nocy, aby zbliżyć się do ukochanego przedmiotu: szczęśliwszy od niego nie potrzebowałem téj zwłoki. Jeszcze hrabianka nie doszła do pałacu, kiedy ja już byłem w galerji, na kolanach z zapałem witając kilka set obrazów najcelniejszych mistrzów włoskich, francuzkich, angielskich, flamandzkich, i niémieckich.

Kiedy w najlepsze oddaję się uniesieniu, główne drzwi galerji otwierają się, i widzę wchodzących...

— Hrabiego i jego córkę, to były sidła.

— Tym razem tylko hrabiego i oberżystę Policastro.

Zaledwie miałem czas ukryć się za olbrzymią statuę Polliona. Na nieszczęście Pollion jako prawdziwy rzymianin, nie miał płaszcza. Przeklinałem w głębi duszy obyczaje rzymskie i nieskromność rzeźbiarza.

Jakkolwiek hrabia i Policastro zatrzymali się dość daleko odemnie, słyszałem jednak ich rozmowę.

— Jeszcze tylko dwa pozostały, hrabio, rzekł oberżysta, i to nienajgorsze.

— Niestety! masz zupełną słuszność kochany Policastro; moi przodkowie...

— Przodkowi pańscy byli rozrzutni, jak można było, przez bale i uczty stracić tyle prześlicznych postaci starego i nowego testamentu, greckiéj i rzymskiéj historji? To jest prawie ludożerstwo.

— Kochany Policastro, stopień nasz wymaga stosownego rodzaju życia. Będąc hrabią niepodobna żyć jak wyrobnik: przez uszanowanie dla pamięci wielkich moich przodków, spuśćmy zasłonę na ich błędy.

— A szczególniéj na obrazy które nam zostawili; chociaż zbliża się chwila, w któréj niepodobna będzie ukryć okropnego *qui pro quo*. Przebaczam prapradziadowi pańskiemu że zniszczył całą prawą stronę, bo będąc księciem, musiał wspania-

le żyć przy dworze; ale ojciec pański który na kartę puścił trzydziestu dziewięciu po lewéj stronie, dwudziestu ośmiu Rzymian i Greków i cały zbiór szkoły flamandzkiéj, nigdy nie zyska mego przebaczenia.

Ależ te wszystkie obrazy są tam jeszcze, widzę ztąd owych papieży i ową szkołę flamandzką, mówiłem sam do siebie, nie pojmuję więc w jaki sposób ojciec i pradziad mego przyszłego teścia mogli złupić tę galerję, jeżeli w niéj nic nie brakuje.

— Gdyby przynajmniéj kazali robić dobre kopje obrazów, które przedawali, mówił daléj Policastro; ale to są haniebne mazaniny bez smaku bez wyrazu. Powtarzam panu, te zasłony niepotrafią ukryć tak krzyczących kłamstw.

— Słuchaj Policastro, uprzedzenie i zapał są najlepszemi malarzami; aby sie przekonać, powiem ci, że ten bogaty młody malarz, który ma wkrótce zostać moim zięciem, z zupełnym zapałem przyglądał się wszystkiemu. Ten naprzykład, wziął za dzieło Giordana.

— Poczciwy człowiek! odpowiedział z uśmiechem Policastro.

— Uwierzył, że ten, jest pędzla Caravagio.

— Czysta duszą!

— Ten, Michała Anioła.

— Biédak!

— Ten, Rafaela.

— Eh, to głupiec, który nie umie rozróżnić księżyca od kawałka séra.

I oba zaczęli się śmiać tak ironicznie, że w zapędzie mego gniewu, zdawało mi się, że te wszystkie przeklęte kopje, przed któremi padałem na kolana, śmiały się także, a nawet Pollion za którym byłem ukryty, śmiał się. Zapewne i on był kopją.

— Gdyby też on wiedział, że my dwaj malowaliśmy ten obraz Rafaela. Ja go rysowałem, a pan kolorowałeś. Oryginał od dziesięciu lat wędruje między ludźmi.

— Pochlebiasz sobie Policastro; prawie nie dotknąłeś się tego obrazu.

— Chcesz mi pan wydrzéć część sławy, jaka na mnie przypada! To nie bardzo szlachetnie. A ja nie wyparłbym się, że pan masz udział w sporządzaniu moich makaronów! pan jesteś moim wspólnikiem przy kuchni, niechże ja będę pańskim w malarstwie.

— Talent, z jakim wykonałeś te dwie ostatnie kopje Dominikina i Carlo Dolci, stanowić będzie o szacunku, jaki ci będę winien, jako malarzowi.

— W sam czas, kiedy już nie będzie co kopjować.

— Wiem co mówię. Wkrótce wydam za mąż moją córkę, za tego cudzoziemca, aż do téj chwili nie mogę zniszczyć omamienia. Jeżeli nie będę mógł wstrzymać go od wejścia do téj galerji,

i jeśli przez twoją niezręczność, odkryje straszliwą rzeczywistość, utracę zięcia i sześćdziesiąt tysięcy rocznego dochodu.

— O jakiéjże córce raczysz mówić panie hrabio? przecież panna Wenus Frontifero nie jest pańską córką.

— Niezupełnie to prawda; jest ona córką mego brata, który ożenił się i umarł we Francji.

— A więc nasz malarz zaślubi kopję!

Wenus nie była jego córką! Chciałem przewrócić olbrzymią statuę, i zginąć razem z niemi pod jéj ciężarem.

— Ależ panie hrabio, dla czego kryć przed nim, że panna Wenus jest pańską siostrzenicą?

— Bo widzisz on jest zapalonym lubownikiem wszystkiego co jest włoskie, włoskie obrazy, włoskie pałace i wille.

— A więc hrabianka nie jest włoszką?

— Już ze sto razy powtórzyłem ci, że się urodziła w Montreuil niedaleko Paryża.

O Pollionie, przywal mię! zbiór nikczemnych kopji wziąłem za galerję najsławniéjszych mistrzów, i miałem się ożenić z francuzką z Montreuil, sądząc, że jest rodowitą włoszką. A jéj etruska kibić, samnickie ręce, i sabińska szyja.

Znowu hrabia i przeklęty przyprawiacz potraw sérnych, zaczęli się śmiać tak nielitościwie, że musiałem bledszym być niż gipsowy Pollion.

Przez chwilę mniemałem, że ja sam jestem tylko kopją.

Niedługo późniéj, usłyszałem jakiś szelest, wyjrzałem z mego ukrycia, i zobaczyłem jak Policastro zdejmował ostatnie dwa obrazy, Dominikina i Carlo-Dolci, a na ich miejsce, zawiesił dwie kopje przez siebie malowane.

— Bravo, Policastro! nie źle! Mianuję cię pierwszym kopijstą całego świata.

Jednak kiedy Policastro postawił na ziemi dwa zdjęte obrazy, hrabia patrzał na nie z żalem. Wziął je, oparł o ścianę, i długo wpatrywał się w nie z czułością. Wydobył z głębokiéj kieszeni chustkę i otarł nią oczy.

— Policastro, rzekł drżącym głosem, to są moje dzieci, najpiękniejsze, ostatnie. Co za koloryt! jakie draperje! jaki rysunek! ale gdyby nawet nie były tak pięknemi, mógłżebym rozłączać się z niemi bez żalu. To były moje skarby, i tracę je w téj chwili! wszystko, co było w mojéj możności czyniłem, aby je zachować; przedałem konie, muła, suknie moje, oprócz téj jednéj; połączyłem się z tobą, obracałem rożen, i skrobałem marchew....

— Panie hrabio, rzekł rozczulony Policastro, całując jego ręce, miéj pan nadzieję.

— Jaką nadzieję? czyliż odzyskam kiedy te nieoconione obrazy? Bądź zdrów Dominikinie! bądź zdrów Carlo Dolci! żegnam was moje dzieci!

I całował po kilkakrotnie oba obrazy, z całém wylaniem włocha.

Jedna myśl, rzucała swój zazdrosny cień na czułość oberżysty. Jego miłość własna, obrażoną była uniesieniem hrabiego nad obrazami, którym przynajmniéj wyrównał w wartości podług swego zdania, przez kopje, które wymalował.

Co do mnie, pocieszałem się jeszcze tą myślą, że chociaż hrabia pozbył się już ostatnich oryginałów z swojéj galerji, pozostała mu jeszcze jego wspaniała willa, wartości przynajmniéj dwóch miljonów.

— Ta, ktoréj właścicielem stać się miałeś, zaślubiając mniemaną córkę hrabiego.

— Tak jest.

— Odważnie, panie hrabio, odezwał się Policastro; pokaż się pan wyższym nad twoich przodków. Gdyby oni byli podobni panu, zostawiliby więcéj oryginałów, a mniéj kopji. Żeby jeszcze te kopje warte były moich! ale po cóż tak się smucić; hrabianka Wenera pójdzie za tego francuza, i będziesz pan znowu bogatym, jak jego przodek, pobożny Eneasz.

— To małżeństwo jeszcze nie jest dopełnione, mój Policastro. Mam nieprzyjaciół, gdyby też który z nich odkrył temu młodzieńcowi, że moja willa podług prawa nie może przéjść w obce ręce, i po mojéj śmierci dostanie się jednemu z krewnych tegoż co ja nazwiska, sądziszże, że niewy-

rzekłby się ręki mniemanéj mojéj córki, i nie wyjechał co prędzej z Florencji?

To być może! Ale też to dziwne prawa, które przymuszają właściciela wspaniałéj willi umierać z głodu, albo wchodzić w spółkę z oberżystą mieszkającym obok jego pałacu.

— Zamieniwszy pierwéj, dodał płaczliwie hrabia, oryginalne obrazy swojéj galerji, na nikczemne kopje.

Po tém wszystkiem, mogłem już wyjść z mego ukrycia i powiedzieć: „Panie hrabio, komedja już się skończyła; bądź zdrów.“ Ale hrabia i oberżysta oddalili się, unosząc dwa obrazy, pierwéj niżeli zdołałem ochłonąć z podziwienia.

Kiedy byłem pewny że już odeszli, wyszedłem z mego ukrycia wstydząc się żę się znajduję w téj przeklętéj galerji, Obejrzałem się z pogardą na kopje przed któremi padałem na kolana. Okropnie zawiedzione wszystkie moje nadzieje, burzyły krew w mych żyłach. Uwielbiałem hrabiego który pieczeń obracał, unosiłem się nad galerją kopji, i kochałem włoszkę z Montreuil.

Wyjechałem z Florencji, i listownie uwiadomiłem mniemaną córkę hrabiego, iż nie mogę zostać jéj mężem; uczyniłem to jednak nie dla tego, że nie była ani bogatą, ani córką hrabiego, ani włoszką, ale dla tego że mnie jak mówią, chciała *na dudka wystawić*.

Pół godziny przed wyjazdem z Florencji, wstąpiłem na wierzę kościoła *Santa Marja del Fiore* i ztamtąd głośnym szyderskim śmiechem, pożegnałem ziemię ciągłego oszukaństwa.

— A więc wracasz do nas na zawsze?

— Na zawsze.

— I będziesz znowu malował krajobrazy?

— Będę. Karczmy, praczki i kapustę!

Błażéj dotrzymał słowa, i jest teraz jednym z najlepszych pejzażystów.

Na drzwiach jego pracowni przybita jest karta z napisem:

„Uprasza się odwiedzających aby nie wspominali Włoch.“

„Pozwala się pluć na obrazy historyczne.“

*Leon Gozlan.*

## MOJA DUSZA.

Ogniu, którym me serce bezustannie płonie,
Tchnienie nieskazitelnéj, niebieskiéj czystości,
Istoto tajemnicza, którą czuję w łonie,
Iestżeś ty ziarnem śmierci, czy nieśmiertelności?

Czyś na skrzydle piorunu z wysoka spuszczona,
Mojéj słabéj istoty sprężyny rozwinąć;
Czy też masz jak proch marny, od nieba wzgardzona,
Błysnąć, i potem razem z ciałem w nicość zginąć?

Nie!.. tyś nie ztąd: nie możesz należeć do ziemi,
W tobie coś więcéj widzę niż znikome tchnienie...
Ten, co cię wlał w me piersi, słowy wszechmocnemi,
Wyższe tobie, tam, w niebie, skreślił przeznaczenie,

Tyś nie ztąd!... Twa siedziba, tam, po nad obłoki,
Ziemia pielgrzymką, zgon zaś wytchnieniem przy kresie,
Bóg, twoim ojcem; a życie, falą co cię niesie,
Tam, gdzie początek mają wieczności potoki!...

# ANATOL.

## I.

W piękny wieczór wrześniowy, młody hrabia Anatol przechodził się wzdłuż i wszersz swego pokoju, w najpiększym hotelu wiedeńskim pod nazwą „Arcy xięcia Karola,“ zatrzymując się często przed wielkiém zwierciadłem. Jeszcze wahał się brązowy pierścień u jedwabnéj taśmy od dzwonka, a w pełnéj uszanowania postawie, stał przy drzwiach zawolany przed chwilą kamerdyner Attilio, poufalec najprzyjemniejszego *bon vivant* całéj Europy. Signor Attilio, był tyrolczykiem, i równie jak pan jego bardzo przystojnym.

Hrabia Anatol jedynie dla rozrywki, spędził 3 zachwycające letnie miesiące, w Tyrolu, i przez ten czas ukrył piękne regularne rysy swéj twarzy, pod ogromnemi wąsami i faworytami. Od kilku dni Attilio mocno był dręczony ciekawością, co też jego pan teraz zamyśla czynić. Hrabia kilkakrotnie jeszcze przéjrzawszy się w zwierciedle, zatrzymał się na środku pokoju, zmierzył od stóp do głów pięknego tyrola, i zapytał go, czy wtéj

chwili ubrany jest w swoje najpiękniéjsze tyrolskie suknie.

Attilio przyzwyczaił się oddawna nie dziwić się niczemu, co jego pan powie lub uczyni, odpowiedział więc tylko — „*Si signor.*“

— To zdejmże je natychmiast, i ubierz się w te, które leżą na sofie.

Gdy Attilio zdjął zielony kaftan z złotemi sznurami, pantaljony z pstremi podwiązkami i sprzączkami, Hrabia zrzucił swą ranną suknię i ubrał się w tyrolski strój swego kamerdynera; potem włożył na głowę strojny piórami kapelusz, i gdy Attilio skończył także swoje przebranie, stanęli obadwa z pozoru zupełnie zmienieni, bo każdy przybrał obejście stosowne do powierzchownego ubrania.

— Doprawdy, wyglądasz jak panicz salonowy, zawołał hrabia.

— JWPan jest takim Tyrolem jakbyś się w górach urodził, odpowiedział Attilio.

— Attiljo!

— *Signore?*

— Pamiętasz ty tę damę w lesie Friaul?

Kamerdyner zaczął sobie coś przypominać.

Przed trzema miesiącami, przejeżdżał hrabia powozem pocztowym przez ten las. Nagle powóz jego zatrzymał się przy zakręcie drogi. Pocztyljon klął, a hrabia wyjrzawszy, zobaczył wywrócony powóz, z którego kilku służących wydobywało

nieżywego w podeszłym wieku człowieka, którego ten nieszczęśliwy przypadek życia pozbawił.

Ale dla młodego hrabiego, magnesem nieprzezwyciężonym, była postać młodej nadobnej kobiéty, która blada i osłabiona, niedaleko ztamtąd opiérała się o drzewo, i zdawała się bliską zemdlenia. W jednéj chwili hrabia wyskoczył z powozu, napełnił swój kapelusz wodą pobliskiego zdroiku, i przybiegł do upadającéj już prawie niewiasty. Zemdloną zaniósł na ławkę stojącą na drodze, i skropił wodą jéj skronie.

Młoda dama zaczęła powoli wracać do życia, ale w chwili, kiedy lekki szkarłat, występował na jéj zachwycające lica, zajechał inny powóz z służącemi w téj saméj liberji. Hrabia Anatol, jakby oczarowany wdziękami nieznajomej, machinalnie i nie wiedząc o tém, dopomagał jéj wsiąść do pięknego powozu; do drugiego zaś włożono nieboszczyka; i dopiéro gdy oba pojazdy znikły już z oczu jego, przypomniał sobie, że nawet nie zapytał się o imie pięknéj nieznajoméj.

Przed godziną przyrzekł pocztyljonowi poczwórne wynagrodzenie, byleby jak najprędzéj w Wiedniu stanął, a teraz stał niewzruszony pod drzewem, patrząc na murawę lekko zgniecioną, gdzie przed chwilą stała piękna nieznajoma. Pocztyljon niecierpliwie trzaskał z bicza, a Attiljo zbliżył się, zwracając pańską uwagę, że trzeba jechać.

Hrabia wsiadł nakoniec do powozu, ale rozkazał wrócić do stacji z któréj wyjechał.

Trzy miesiące pobytu w oberży bliskiéj miejsca, gdzie ujrzał piękną nieznajomę, przeszły hrabiemu na przechadzkach w okolicy, z wielkiem nieukontentowaniem jego kamerdynera, któremu już się to zaczęło nudzić.

— Widziałem znowu tę damę, rzekł hrabia, znajduje się tu w Wiedniu.

— *Felice lei*, odpowiedział poufałec.

— Jest to księżna L... śmierć tego starca, którego widzieliśmy w przewróconym powozie, uczyniła ją wdową.

— Czy tak? odezwał się kamerdyner z uśmiechem, bo znał dokładnie swego pana i pewien był, że możność połączenia się z celem jego miłości, przytłumi nieco tę namiętność.

— Tak istotnie, odpowiedział poważnie hrabia Anatol. Teraz uważaj co ci powiem. Księżna żyje w wielkiém odosobnieniu, kilka podeszłych kobiét i zaufany służący, stanowią całe jéj towarzystwo. Musisz się zbliżyć do tego służącego, jaką bądź ceną zyskać go na moją stronę, skłonić go, żeby podziękował za służbę, i mnie na swoje miejsce przedstawił; potem kurjerem popędzisz do Paryża, zkąd jak się spodziewam z ważnemi depeszami wkrótce do mnie powrócisz. Zrozumiałeś mię?

— *Si signore*!

## II.

W małym budoarze letniego pałacyku książęcéj rodziny L... siedziała owdowiała księżna. Swiatło wchodzące przez jedno tylko wysokie aż do ziemi sięgające okno, wychodzące na taras zastawiony kosztownemi kwiatami, łagodzone było jedwabną szkarłatną zasłoną. Kosztowna złota lampa rozszerzała najrzyjemniéjszy zapach. Młoda dama, siedziała przy marmurowym stole, oparłszy prześliczną głowę na alabastrowéj dłoni, a przed nią leżał papier z czarnemi obwódkami, na który jakby w marzeniu, rzucała pojedyncze wyrazy i myśli. Drzwi się otworzyły, i w grubéj żałobie służący, zatrzymał się z uszanowaniem w niejakiéj odległości.

— Namyśliłam się względem twojéj prośby, Franciszku, rzekła pani, przyzwyczaiłam się do twoich usług i chciałabym cię dłużéj zatrzymać, ale nie chcę być ci przeszkodą do zapewnienia sobie losu; uwalniam cię.

Franciszek podziękował z wzruszeniem, które dowodziło, że nie bez trudności dał się powabem złota nakłonić do opuszczenia tak dobréj pani. Potem prosił o pozwolenie przedstawienia tego, którego na swojém miejscu chciałby zostawić.

— Zkądże on jest rodem?

— Z Tyrolu, JOpani.

— Dlaczegóż opuszcza pana, z którym do Wiednia przybył?

— *Il est amoureux d'une Viennoise. Madame*, odpowiedział pokojowiec, który zwykle używał języka francuzkiego, ile razy miał coś nadzwyczajnego powiedzieć.

— *Pauvre enfant*. rzekła księżna. Niech wnijdzie.

I hrabia Anatol wszedł i stanął w pysznym tyrolskim stroju przed tą, któréj skronie skrapiał wodą w lesie Friaul, któréj śnieżną rękę ogrzewał w swoich dłoniach, i pocałowaniami okrywał, któréj słodki wracający oddech swojém tchnieniem ożywiał — przed powabnym obrazem wszystkich snów swoich, przed tą, która serce jego namiętną zapaliła miłością.

Księżna spojrzała obojętnie na wchodzącego, ale gdy jéj wzrok ujrzał jego rysy, zdawała się przez chwilę zamyśloną; ale to tylko przez chwilę. Przesunęła po czole piękną swą rękę, jakby chciała jakąś smutną myśl oddalić, westchnęła, i oparłszy się o poręcz krzesła, zapytała o imie przybyłego.

— Anatol, JOpani.

Głos ten, zdawał się znowu obudzać jakieś wspomnienie, księżna była przez niejaki czas głęboko zamyśloną.

— Przyjmuję cię do moich usług. Franciszek obznajmi cię z twoją powinnością. Lubię strój tyrolski, możesz go i nadal zachować.

Z ukradkowém spojrzaniem miłości, prawie oczarowany nadzwyczajną pięknością księżnéj, ukłonił się udany służący i wyszedł.

Miesiąc po miesiącu upływał, a namiętność młodego hrabiego z każdą chwilą wzrastała. Pewnego pięknego majowego poranku, wspaniały błyszczący powóz, zatrzymał się przed pałacem księżnéj L... na powozie widać było herby książęcéj rodziny E.; strzelcy i lokaje w bogatéj złotem tkanéj liberji stali przed pałacem, rozmawiając o pewnym skutku zamiarów ich pana.

Mniemany tyrol, wprowadził do pokoju swéj pani, bogatego księcia E. Zajął się potem przestawieniem kwiatków, ułożeniem zasłony u okna, jedném słowem starał się tak długo, jak tylko przyzwoitość pozwala pozostać w pokoju. Nakoniec jednak musiał się oddalić i w największych męczarniach zazdrości zamknął za sobą drzwi, któremi wyszedł.

— Czy JOpani dzwoniła? zapytał, wchodząc po kilku chwilach nieznośnéj męki, otwiérając znowu drzwi.

Książe E... klęczał przed piękną damą.

— Nie, odpowiedziała księżna, ale przynieś mi szklankę wody.

Gdy podawał drżącą ręką kryształową szklankę, na ciężkiéj złotéj tacy, książe E... żegnał już jego panią. W oczach księcia błyszczała radość, nadzieja, tryumf, wszystko jedném słowem, co nie-

szczęśliwego kochanka do rozpaczy przywodziło. Odprowadziwszy swego rywala do powozu, wrócił do pokoju pani, wziął wypróżnioną szklankę, i chciał się oddalić, kiedy jego pani, zawołała go po imieniu.

Niepodobna uwierzyć, żeby hrabia Anatol, przez cały czas swego pobytu w domu księżnéj, chociaż na chwilę nie odstąpił cokolwiek od swojéj roli służącego. Jego pełne uszanowania i wykwintne obéjście się, jego sposób wyrażania się, a nadewszystko ta nieograniczona przychylność, która bardziéj niż cokolwiek innego, podbija czułą kobietę, zjednały mu wkrótce zaufanie pani, która w pierwszym już tygodniu lubiła mieć go jak najczęściéj przy sobie, i niechętnie pozwalała mu niekiedy oddalić się na kilka godzin, o co jednak nie bardzo często prosił. Mniemała ona, że Anatol poświęca ten czas miłostkom o których poprzednik jego wspomniał. Jego gorliwość i zapał w odgadnieniu i uprzedzeniu jéj życzeń, uważała ona jako dowód wdzięczności za jéj łaskawe z nim obéjście, i niezgłębiając własnych uczuć, czuła tylko, że jest dlań bardzo przychylną, co każdę inną więcéj doświadczoną kobietę, byłoby bez wątpienia cokolwiek zatrwożyło.

Zaledwie wyszedłszy z klasztoru, w którym się wychowała, zaślubiona z człowiekiem w podeszłym wieku, który żył z nią w samotności, zdala od wielkiego świata, pierwszy raz usłyszała głos miło-

ści, w głosie młodego namiętnego hrabiego, który ją zemdloną w lesie Friaul, do zmysłów przywrócił, Nie pojmowała dla czego słowa jéj nowego pokojowca a nawet jégo spojrzenia, budziły w niéj wspomnienia jakby słodkich snów pyzeszłości.

Ale on, jakież szczęśliwe chwile przeżył w ostatnich miesiącach! Ciągle przy księżnie zrana, w południe wieczorem, oczarowany jéj anielską pięknością i dobrocią, każde jéj spojrzenie, każde przychylne słowo, jak skąpiec w skarbcu swojego serca zachowywał, O! któż zdoła jego szczęście wysłowić!

Blady i mocno wzruszony, odwrócił się hrabia gdy go księżna zawołała, i ze drzeniem oczekiwał jéj rozkazu.

— Anatolu!

— Łaskawa pani?

Skinęła aby się przybliżył. Siedziała na sofie, i łza błyszczała w jéj oczach. Hrabia zapomniał o całym świecie, ukląkł na poduszce, na któréj spoczywały jéj nogi, ujął jéj ręce i z uniesieniem ucałował. Teraz księżna ujrzała całą rzeczywistość, była kochaną — ale od kogóż? od jéj służącego! Ta okropna myśl ścięła jéj krew, dusza ocuciła się w niéj, powstała szybko i chciała zadzwonić.

— Łaskawa pani, rzekł Anatol zimnym dumnym głosem, wstrzymując jéj rękę, oddalam się, ale na zawsze!

Wtedy nieznane dotąd uczucia opanowały księżnę, w sercu jéj powstała walka, miłość zwyciężyła — księżna zakryła twarz rękami i padła w objęcia hrabiego.

III.

W krótce potem, był to dzień urodzin Cesarza, pyszne powozy najznakomitszych osób, mijały bramy Wiednia, spiesząc do pałacu cesarskiego w Schoenbrunn, gdzie ich panowie uroczyste składać mieli powinszowania. Oprócz zwyczajnego powabu podobnych uroczystości: dzień ten miał być uświetniony pierwszém przedstawieniem się na pokojach cesarskich nowego posła francuzkiego, którego powierzchowne powaby i umysłowe zdolności, jakich dał świeże dowody w szczęśliwém załatwieniu ważnéj tajemnéj negocjacji przedmiotem były rozmowy całego dworu.

Książę E.. miał jeszcze inny powód zapisania dnia tego złotemi literami w księdzę swojéj pamięci, księżna L... w tym dniu, na usilne żądanie Cesarzowéj, miała pierwszy raz zdjąć żałobę, aby znowu stać się podziwem całego dworu. Nie mogła odmówić, ale postanowiła, dopełniwszy woli cesarskiéj, znowu powrócić do najcichszéj samotności.

Księżna została przedstawioną Cesarzowi. Ogólny szmer podziwienia obecnych zmięszał ją cokolwiek, i po chwili dopiero zdołała podać rękę

księciu E.. aby przejść się po pięknym pałacowym tarassie.

Muszę pani przedstawić nowego posła, rzekł w ciągu rozmowy Książe E.. Jeszcze go pani nie widziałaś, piękny jest jak Apollo. Od kilku już miesięcy znajdował on się tutaj przebrany i pod innèm imieniem, dla załatwienia jakiéjś ważnéj tajemnéj sprawy, i w nagrodę szczęśliwego jéj ukończenia został mianowany posłem. Otóż on. Pozwól pani... żebym jéj.....

Księżna L... nic już nie słyszała. Jedno spojrzenie odkryło jéj tajemnicę tylu miesięcy; oparła się o bliską kolumnę aby nie upaść, i ta sama ręka, która ją wspierała w lesie Friaul, wspierała ją w téj chwili, i ten sam słodki głos co wtedy, szeptał jéj do ucha pełne miłości wyrazy.

Następnego zaraz miesiąca uroczyście obchodzono zaślubiny wdowy księcia L... z hrabią Anatol; Cesarz i cały dwór, przytomni byli świętemu obrządkowi; tylko książe E... ważnemi sprawami zatrzymany został w swoich dobrach.

# POEZJA LUDOŻERCÓW.

Jedno z ostatnich posiedzeń azjatyckiego towarzystwa w Londynie odznaczyło się wypadkiem bardzo ważnym w historyi orjentalizmu.

Na stole leżał zwinięty papier w bogatym futerale, wzbudzający ciekawość całego uczonego zgromadzenia. Nakoniec Prezes rozwinął go i przedstawił zdziwieniu członków. Był to arkusz wschodnio-indyjskiego papieru, długi siedm stóp, cały zapisany dziwnemi literami, umałowany, ozdobiony, uzłocony najbogatszym sposobem. Wschodnia kalligrafja nie wydała jeszcze równie doskonałego i świetnego utworu pióra i pędzla. Pismo to było w języku narodu *Batta*, który zajmuje większą część Sumatry. Naród ten ma dosyć znaczną literaturę; cztery księgi, wzięte z bibljoteki kompańji wschodnio-indyjskiéj, leżały także na stole, dla porównania rozmaitych charakterów battyjskiego pisania. Naród ten jest łagodny, lubiący pokój, przemyślny i w każdym względzie zasługujący na uwagę orjentalistów, dziwno jednak, że przy całém swém ukształceniu oddany, dotąd namiętności do jedzenia ludzkiego ciała. Że Battowie rzeczywi-

ście są ludożercami to nie podlega żadnéj wątpliwości.

W zgromadzeniu powstała długa i bardzo uczona sprzeczka, jakim sposobem Battowie piszą: czy od prawéj ręki ku lewéj czy od lewéj ku prawéj; czy z góry do dołu czy z dołu do góry. Wszystkie cztery sposoby znalazły obrońców między członkami towarzystwa. Z powodu tego sporu nikomu na myśl nie przyszło zapytać o treść tego pisma. Nakoniec uczony doktór Roburgh uczynił to zapytanie, i sekretarz towarzystwa objawił, że to jest oda w języku battyjskim na cześć Gubernatora angielskiego miasta Fort-Malborough na wyspie Sumatra, i że ten arkusz wraz z tłómaczeniem przysłał sam Gubernator. Oda napisana z następującego powodu: Statek angielski, przechodząc mimo Sumatry, postrzegł łódkę indyjską, rzuconą wiatrem daleko od brzegu, znajdujący się w niéj ludzie już byli pochłonieni, i tylko jeden nieszczęśliwy Indjanin walczył jeszcze z falami. Kapitan statku uratował go, i przywiózł do Benkulen prawie umarłego. Tam, angielski gubernator kazał przyjąć go do lazaretu, wyleczyć, odziać, i wypuścić do domu. W końcu okazało się, że to był król battyjski, czy też jeden z królów. Po powrocie do rodziny, władca ten zebrał poetów i kaligrafów swego państwa, i rozkazał im wylać ludzkiemu gubernatorowi, w najszczytniejszych wierszach i najokazalszym charakterem, królewskie

swoje uczucia podziwu i wdzięczności. Poemat, który się uważa, za wzorowy w literaturze battyjskiéj, był przysłany do Fort-Małborough z uroczystém poselstwem. Król Battów wychwala w téj odzie potęgę i wysokie cnoty gubernatora, które się głównie dowodzą przez jego bezprzykładną wrtrzemięźliwość, «albowiem ten nadzwyczajny człowiek ocalił go, wyleczył, utuczył jak najlepiéj i nie zjadł!»

## TAJEMNICA.

W roku 1664, mieszczanin pewien w Chelmsfort, w hrabstwie Essex w Anglji, kupił stary dom, i kazał go na mieszkalny przerobić, piérwéj bowiem była to oberża. Między innemi przedsięwziętemi naprawami, rozrzucono stary spruchniały parkan, oddzielający ogród od ulicy, mając w tym miejscu wystawić mur z cegieł. Gdy robotnicy dla założenia fundamentów, zaczęli głęboko kopać, znaleźli około trzech stóp pod powierzchnią ziemi, trupa męźczyzny, prawie wcale nie uszkodzonego.

Ponieważ miejsce to nigdy smętarzem nie było nabywca zwrócił uwagę na tę okoliczność, i sądził się obowiązanym donieść o niéj miejscowéj zwierzchności.

Doniesienie jego dało powód do bliższego śledztwa, które jednak długo nic stanowczego nie odkryło. Lekarz miejscowy oświadczył, że trup ten mógł już piętnaście lub dwadzieścia lat w suchéj ziemi leżéć.

Prócz tego wiadomém było, że ten dom nazywał się dawniéj «Oberżą pod białym koniem»; że właściciel téj oberży i jego żona, przed siedmiu lub ośmiu laty umarli, i że krótko przed ich zgonem, uważano nagłe powiększenie się ich zamożności.

Przy obejrzeniu ciała okazało się, że głęboka rana w głowie mogła być przyczyną śmierci tego człowieka; ale czy istotnie był zamordowanym, i przez kogo, tego niepodobna było dojść, ponieważ oberżysta z żoną umarli nie zostawiwszy po sobie dziedziców, i przytém nie można było wynaleźć nikogo z tych, którzy za życia ich w oberży téj służyli.

Gdy jednak wszystkie okoliczności kazały się domyślać popełnionego morderstwa, przeto najwyższy sędzia hrabstwa, Lord Bridgmann, rozkazał w pismach publicznych umieścić następujące ogłoszenie: „Ktokolwiek był w oberży pod białym koniem w Chelmsfort przed lat piętnastu lub dwu-

dziestu, niechaj się zgłosi do sędziego pokoju swego okręgu, jeźliby mógł jakąbądź wiadomość tyczącą się zwłok pod parkanem wspomnionéj oberży znalezionych, udzielić. “

Wskutku tego ogłoszenia, stawiła się przed sędzią pokoju hrabstwa Nordhampton, kobieta, która oświadczyła, iż słyszała o wezwaniu sędziego z Hrabstwa Essex, i że sumienie skłania ją do odkrycia tajemnicy, któraj ej dawno na sercu ciężyła. Była ona przed lat około dwudziestu, posługaczką w oberży pod białym koniem, i tam następującego zdarzenia była świadkiem.

Pewnego wieczora, (opowiadała ona), późno już przybył jakiś obcy pan do oberży, konno; miał on z sobą tłomok skórzany przywiązany do siodła, tak ciężki, że ja z gospodynią nie mogłyśmy go zanieść do izby gościnnéj, i musiałyśmy wezwać pomocy parobka. Gość ten zjadł smaczno wieczerzę, pił bardzo wiele i prawię bez zmysłów został poprowadzony do łóżka przez tegoż samego parobka. Nazajutrz przed świtem obudziła mię gospodyni i posłała do odległéj bardzo mleczarni, gdzie jeszcze nigdy po mleko nie chodziłem. Gdym po dwóch godzinach wróciła, gospodyni oświadczyła mi, że ów obcy pan odjechał już i zostawił dla mnie kilka szylingów zwykłego dla usługujących w oberżach wynagrodzenia, i oddała mi te pieniądze; chciałam wziąść się do uporządkowania pokoju gościnnego, co zwykłém było mojém zatrudnieniem, ale gospodyni znów mię

po coś wysłała, oświadczając, że dziś sama zatrudni się uporządkowaniem w gospodzie. Przez cały dzień wynajdywano dla mnie zatrudnienie za domem. Gdy popołudniu przechodziłam przez wspólną izbę, gospodyni wyszła właśnie z pokoju w którym nocował ów obcy, zamknęła drzwi za sobą, i czego nigdy nie czyniła, schowała klucz do swojéj kieszeni. Uważałem, że się zmięszała ujrzawszy mnie, bo zbladła i zaczerwieniła się w jednéj chwili. Przed wieczorem słyszałam w stajni rżenie konia; drzwi były zamknięte, ale przez dziurkę od klucza zobaczyłam konia, na którym wczoraj przyjechał ów podróżny. Zaraz mi na myśl przyszło, że ten obcy został zamordowany w naszéj oberży, ale milczałam; kiedy jednak spostrzegłam nazajutrz, że gospodyni szukała wyraźnie powodu do kłótni ze mną, aby mię ze służby oddalić, powiedziałam jéj, że domyślam się, iż zamordowano tego gościa, i że dla tego tylko chcą mię odprawić. Mowa moja zmięszała bardzo gospodynię, i odeszła naradzić się z mężem. W godzinę potém, przyszedł do kuchni gospodarz, i rzekł: Co ty, głupia, mówiłaś mojéj żonie o zabójstwie? Wiesz ty, że gdybyś co podobnego przed obcemi powiedziała, mogłabyś sprowadzić na cały mój dom nieszczęście. Jesteś jeszcze młoda, roztrzepana, przeto wybaczam ci, ale zasłużyłaś, żebym cię ubił. Patrz, oto jest pięć funtów szterlingów, daruję ci je, ale pod warunkiem, że natychmiast oddalisz

się z naszego domu, a nawet z téj okolicy, i nikomu ani wspomnisz o tym podróżnym. Jeźli kiedykolwiek powrócisz tu, albo powiesz komu choć słowo o twoich nierozsądnych domysłach, znajdę ja ciebie gdziekolwiekbyś się skryła, i zabiję cię tak jak Bóg w niebie! Z obawy śmierci poprzysięgłam milczeć; i wziąwszy ofiarowane mi pieniądze, w pół godziny opuściłam oberżę, udałam się do mojéj stryjenki o kilkanaście mil od Chelmsfort, i dotąd nie śmiałam nikomu powierzyć moich postrzeżeń.

Podług zadawanych jéj zapytań, opisała postać owego gościa, tak, iż opis jéj zupełnie się zgadzał z postacią zwłok znalezionych. Późniéj jeszcze przypomniała sobie, że ten podróżny miał orzechowy surdut i biały kapelusz.

Następnie wymieniła nazwisko ówczesnego parobka w oberży, i opisała jego postać. Przedsięwzięte poszukiwania doprowadziły do wiadomości, że tenże mieszka dotąd w hrabstwie Essex i jest bogatym dzierżawcą.

Uwięziono go i oskarżono o uczestnictwo w zamordowaniu człowieka, którego znaleziono w ogrodzie oberży pod białym koniem, ale niechciał się przyznać do niczego. Tymczasem owa była służąca, przypomniała sobie, że krótko przed jéj oddaleniem się z oberży, ów parobek szybko odjechał gościńcem na koniu podróżnego, a wrócił pieszo, właśnie wtenczas kiedy ona wychodziła

z miasta. Ta wiadomość potwierdziła występne uczestnictwo obwinionego.

Późniéj zgłosił się do sędziego krawiec, który dawniéj robił suknie dla byłego parobka. Oświadczył on, że tenże przed dziewiętnastu około laty, przyniósł mu do przerobienia orzechowy surdut. Prócz tego, żył w Chelmsfort, kapelusznik, który zeznał, że w tym samym czasie parobek z oberży pod białym koniem, przyniósł mu biały męzki kapelusz, i kazał go na czarno ufarbować. Dowody te, silnie przemawiały przeciwko obwinionemu, ciągle jednak zapiérał się, i dopiéro kiedy sąd przysięgłych, uznał go winnym, wyznał, że istotnie zmówił się z gospodarzem oberży i jego żoną na zamordowanie bogatego cudzoziemca, pod warunkiem, że otrzyma połowę jego pieniędzy.

Skoro mu to przyrzeczono, zamordował owego podróżnego rozciąwszy mu głowę siekierą, a następnéj nocy w towarzystwie gospodarza, zwłoki zabitego zakopał w ogrodzie pod parkanem.

Przy dalszém poszukiwaniu, okazało się, że zamordowany, nazywał się Küfermeister, był rządcą dóbr Willingham, i jechał właśnie, odwożąc roczny dochód z dóbr ich właścicielom.

Oberżysta i jego żona, szczęśliwie przez naturalną śmierć uniknęli haniebnego rusztowania. Towarzysz ich zbrodni, mniéj jak oni szczęśliwy, został powieszony.

Przez lat dwadzieścia, zbrodnia została w ukryciu, aż nakoniec nic nie znaczący wypadek odkrył ją światu. Jak żywy dowód powolnéj ale niechybnéj opatrzności. Jak straszna nauka dla bezpiecznego zbrodniarza.

## NUMER TRZYDZIESTY SZÓSTY.

### ZDARZENIE PRAWDZIWE.

Pod kryształowém sklepieniem błyszczało tysiąc jasnych płomyków gazu, które w tysiącznych zwierciadłach, niezliczone razy powtarzały się. W blasku tego sztucznego dnia, rozłożone były wszystkie bogactwa wschodnich i zachodnich krajów; różnobarwne, ciężkie, jedwabne, bawełniane, złote i srebrne materje powiewały na zwierciadlanych ścianach, a na marmurowych podstawach, błyszczały tu drogie kamienie, perły, gustównie w pierścieniach, spinkach, i naszyjnikach oprawne, tam złoto i srebro wsztabach jedne na drugich. W pełnych smaku trofeach, rozwieszone najwspanialsze oręże; tu krzywy bułat damasceński tam płytki

yatagan Araba w kunsztownie drogiemi kamieniami nabijanéj srebrnéj pochwie; pistolety różnéj wielkości, i ozdobne myśliwskie strzelby. Z drugiéj strony, w pysznych safjanowych bogato złotemi wyciskami zdobnych oprawach, na najpiękniéjszym welinie odtłoczone, i pysznemi rycinami upiększone, dzieła największych jeńjuszów, wszystkich krajów Europy. W pośród tego przepychu przechadza się mnóstwo osób pojedyńczo i po kilku. Rozmowy angielskie, włoskie, hiszpańskie, niemieckie, polskie, arabskie, i francuzkie mieszają się i szumią w pstrym choasie.

Ja dla rozrywki przechadzałem się w pośród różnorodnego panorama, jakie przedstawia Palais-royal, marząc o prawdopodobieństwie powieści tysiąca nocy. Nakoniec uczułem, że przechadzka po tych nieskończonych galerjach, utrudziła mię cokolwiek i zacząłem się namyślać, gdzie mógłbym najswobodniéj odpocząć. Czy w któréj ze wspaniale urządzonych kawiarni wypić *une demi-tasse*, czy w jakiéj czytelni przéjrzéć dzienniki, czy też w *estaminet hollandais* przy butelce piwa fajkę wypalić? Już skłaniałem się do ostatniego, gdy moje oczy padły przypadkowo na małe drzwi, nad któremi przezroczysta z tyłu oświecona liczba: *Numer* 36, zdala już dawała się wyraźnie spostrzegać. Bez namysłu przemknąłem się przez wąską sionkę, przebiegłem widne wschody, od-

dałem w przedpokoju kapelusz, i wszedłem do wielkiéj pięknie oświeconéj sali.

Tam, stał długi zielony stół, w środku wydrążony w kształcie okrągłego kotła, w którym mosiężny krąg i biała marmurowa gałka w przeciwne sobie strony kręgiem obiegały. Po obu stronach, tego kotła, stół był na rozmaite strony podzielony, na których leżały stosy srebra i złota. W około stołu ścisk ludzi, ale w tym całym tłumie, głębokie panowało milczenie, i nic nie było słychać prócz kręcenia się mosiężnéj tarczy i łoskotu podskakującéj kulki. Tylko kiedy tarcza zatrzymała się, a kulka upadła na jeden z przeznaczonych numerami przedziałów, i wtedy panowie, przed któremi owe stosy złota i srebra leżały, obojętnie zgarniali małemi grabkami pieniądze na numerowanych polach składane, albo z mechaniczną zręcznością, temu lub owemu wygraną summę wypłacali, wtedy tłum ulżywał swoim piersiom, częścią przytłumionem, częścią radośnem, częścią bolesnem westchnieniem.

Ruleta, miała znowu w ruch być wprawioną. *Faites votre jeu Messieurs*! obecni rzucali pieniądze na rozmaite pola stołu. „Rien ne va plus!“ zawołał bankier. Los rozstrzygnął, krupjerowie obojętnie zgarniali albo wypłacali.

Kupiłem sobie za kilka franków znaczki do gry, aby przez to mieć prawo usiąść przy stole i uważać na grających. Po największéj części suche,

żółte, brzydkie twarze, wlepiały wzrok w koło szczęścia, i połykały oczyma stosy złota, leżące przed bankierem. Ten lub ów, wyciągnął z kieszeni pięcio-frankowy pieniądz albo znaczek, i postawił wachając się na jedno z pól; czy wygrał czy przegrał, zawsze twarz jego wykrzywiła się potwornie.

Nie daleko odemnie, siedział stary, łysy jegomość w okularach, który ledwo czasem rzucił okiem na grę. Patrzył on ciągle przed siebie, na papier, na którym pisał duże liczby i gorliwie rachował. Po pół godzinnéj, mniéj więcéj, podobnéj pracy, brał kupkę biletów bankowych i złota i kładł je na pewno, albo na czarne albo na czerwone, albo na parzyste lub nie parzyste, kulka padła, wygrał, zgarnął pieniądze, i na nowo rospoczął liczenie.

— Widzisz tego starego łotra, jak zgarnia pieniądze! Żeby to my je mieli! odezwał się jakiś głos za mną.

— Tak, to łatwo być bogatym, odpowiedział inny.

— Mam, zaczął znów pierwszy, jeszcze sześć franków z przeszłotygodniowéj zapłaty, czy postawić je?

— Czemu nie, odpowiedział drugi, łatwo wygrać, widziałeś sam przed chwilą. Ia mam także cztery franki dostawię je, a za wygrane pieniądze będziemy mogli choć z tydzień pohulać.

Dziesięć franków zostały postawione, za chwilę bankier zgarnął je, a ci co mieli przez cały tydzień chulać, odeszli klnąc, aby jutro w fabryce swego majstra zarobić skromny obiad.

Naprzeciwko mnie, siedziało kilku starych wyschłych ichmościów w wytartych sukniach, ci gorliwie spisywali wychodzące numera i kolory, Szare ich oczy namiętnie spoglądały na koło szczęścia. Każde słowo bankiera, powtarzało się echem w ich sercach. Ale żaden z nich nie stawiał. Byli to dawni gracze, którzy tu swoje majątki niegdyś potracili. Nie mieli pieniędzy aby grać, ale namiętność z całą swoją siłą jeszcze w nich pozostała. Cały dzień natrudziwszy się, aby przykry głód zaspokoić, przychodzili tu wieczorem, siadali przy stole, cierpiano ich jako dawnych gości, stawiali idealne summy, wygrywali lub przegrywali równie idealnie, i z całym ogniem namiętności zajmowali się grą. Niekiedy ten lub ów zażądał od posługacza szklankę cienkiego piwa, które tu bywa bezpłatnie graczom dawane, i chłodził niém rozpaloną krew swoją. Co wieczór można ich tam było znaleść.

Pełni nadziei młodzieńcy z znacznych rodzin, przybyli po większéj części z prowincji, których uczucie wstydu wstrzymywało od udziału w grze, stali za siedzącemi graczami, i przez ich głowy na grę spoglądali. Na ich twarzach, widać było wzrastającą ciągle chęć sprobowania szczęścia. Do

tych zbliżali się jakby przypadkowo, starzy ichmoście z chytremi twarzami. Zaczynali z niem rozmowę, tłómaczyli im zasady gry, i prawdopodobieństwo wygranéj, a nakoniec podéjmowali się stawić za nich. Talarki, które podobnego młodzika dawno już paliły w rękę, teraz ochoczo przechodziły w ręce takiego *Professeur de jeu*, który je stawiał kolejno. Jeśli wygrywał, dzielił się wygraną z swoim uczniem, jeśli zaś grał nieszczęśliwie i sakiewka tego ostatniego została wypróżnioną, wtedy pan nauczyciel, zostawił go a zwracał się ku innemu, który zdawał się potrzebować jego pomoc.

Wtém wszedł do sali młody człowiek, który od pierwszego wejrzenia zajął całą moję uwagę; czarne włosy ocieniały piękną twarz jego, spojrzenia i ruchy jego były szlachetne. Zbliżył się do stołu, i stanął naprzeciw mnie, sięgnął potem do kieszeni, wydobył złoty pieniądz, przyjrzał się dobrze liczbom na stole wypisanym, i jakby z nagłego natchnienia, drżącą jednak ręką położył pieniądz na Numer 13.

„*Le jeu est fait. Rien ne vas plus!*"

Kulka wpadła w przegródkę.

Treize, rouge, impair, manque! zawołał bankier i rzucił młodzieńcowi trzydzieści sześć sztuk złota.

To był mój cały majątek, rzekł tenże z cicha, więcéj do siebie niż do swego sąsiada, jego lica

zaczęły cokolwiek pokrywać się rumieńcem. Zgarnął wszystkie złoto i postawił je na czerwoną. Czerwona wyszła, wygrana podwojła się. Bankier zaczął patrzéć nań z ukosa, a obecni zaczęli się nim zajmować. Żywsi zachęcali go, inni uśmiechali się, winszując mu szczęścia.

Jest to młody artysta, szepnął mi mój sąsiad. Widywałem go tu często, jest to namiętny gracz, dotąd grał zawsze nieszczęśliwie. Mowią że w ten sposób, stracił mierny spadek po ojcu, a jego żona i dziecię muszą niekiedy niedostatkiem okupywać jego nieszczęśliwą skłonność. Dziś szczęście zdaje się doń uśmiechać. Jeźli tak dalej pójdzie, w krótce odzyszcze swoje straty.

Istotnie stało się jak mówił mój sąsiad. Kolor czy liczba, na które młody artysta stawił, prawie zawsze wychodziły. Powoli reszta graczów przestała stawiać, aby uważniéj zająć się szczęśliwą grą młodzieńca. Dziwném mi się zdawało że nikt nie dał znaku zazdrości, nawet ci którzy poprzednio ciągle nieszczęśliwie grali.

Bank był to wspólny nieprzyjaciel, i każde zwycięstwo nad nim, napełniało wszystkich graczy radością. Młody artysta w krótce znaczny stos złota miał przed sobą.

— Wszystko albo nic! zawołał wreszcie z pewnością. Stawiam wszystkie wygrane pieniądze.

Policzono je, było dwanaście tysięcy franków.

Postawił je na czerwoną. Z natężoną uwagą obecni patrzyli na stół. Najgłębsze panowało milczenie. „*Rien ne va plus*!“ Koło się zakręciło, kulka wpadła w skrzyneczkę, wyskoczyła, toczyła się przez niejaki czas po tarczy, nakoniec zatrzymała się.

— Vingt, rouge, pair, passe! zawołał bankier, z trudnością tłumiąc niespokojność.

Wszyscy obecni głośno odetchnęli, tak, że to podobném było do radośnego okrzyku. Jedni objawiali swoją radość, że bankier tyle przegrał, inni cieszyli się, że młody artysta wygrał. Jemu, zdawało się że wrócił rozsądek i krew zimna. Zebrał bilety bankowe, złożył je i schował w pugilares. Potém wstał od stołu, zażądał od posługacza pióra, papieru i atramentu, usiadł przy jednym z pobocznych stolików, i zaczął list pisać. Ja także cieszyłem się z szczęścia młodego artysty, tak dalece, że w końcu zdawało mi się, że ja wygrałem tyle pieniędzy. Wyobraźnia moja, przedstawiała mi rozmaite sposoby ich użycia. Zdawało mi się, że w przyjemnym ciepłym pokoju, otoczony przyjaciołmi, siedzę przy stole zastawionym bańkami i butelkami najwyborniéjszych win; wszyscy paliliśmy najprzedniéjszy sułtański tytoń z pięknych piankowych fajek, i wszyscy byliśmy weseli. To znowu w wygodnym angielskim podróżnym koczu, ciągnionym przez czterech ognistych biegunów, jechałem z moją żoną, w po-

śród pięknych krajów włoskich, i wszędzie przyjmowano nas dobrze, ponieważ byłem bogatym angielskim lordem. Potem zwiedziwszy najpiękniéjsze kraje Europy, wróciłem do mego wiéjskiego domku, ozdobnie, lekko budowanego; poszedłem zaraz do piwnicy, która była napełnioną dużemi beczkami starych win z oznaczeniem ich nazwisk. Ztamtąd udałem się do bibljoteki, którą bardzo pięknie znalazłem zapełnioną; między najpierwszemi Europejskiemi pisarzami, widziałem długi szereg wspaniale oprawnych moich własnych dzieł, których jeszcze nie napisałem, a które niezmiernie były chwalone w leżących obok pismach perjodycznych.

Byłbym tak długo jeszcze marzył, nie uważając, że już oddawna straciłem te 24,000 franków młodego artysty, a nawet dziesięć razy więcéj, kiedy on sam właśnie przerwał moje zamyślenie. Wstał on od stołu, przy którym swój list napisał, zapieczętował, włożył w kieszeń, i zdawał się mieć zamiar wyjścia. Ale aby dojść do drzwi, musiał przechodzić koło saméj Rulety. Jeszcze raz spojrzał na koło szczęścia, wachał się przez chwilę, i nakoniec zawołał śmiejąc się: „Kto wie? może szczęście będzie mi jeszcze sprzyjać!“

Dobył pugilares, wyjął z niego bilet tysiąc-frankowy i położył go na stół. Przegrał. „Muszę się odegrać!“ rzekł. Postawił drugi raz, i znowu przegrał. Stawiał daléj z wzrastającą namiętnością

i prawie ciągle przegrywał; nakoniec miał już tylko 12,000 franków.

— Wszystko albo nic! krzyknął, niebędąc prawie panem siebie, i postawił wszystko na czerwoną.

*Faites votre jeu, Messieurs!*

Stary łysy jegomość, który sam tylko z całego towarzystwa, nie uważał ani na szczęście poprzednie, ani na teraźniéjszą nieszczęśliwą grę młodego artysty, powstał skończywszy zwykłe swoje rachuby. Postawił kilkanaście biletów bankowych i sztuk złota na czarną.

*Le jeu est fait, rien ne va plus!*

„Douze, noir, pair, manque.“

Stary spokojnie zgarnął pieniądze, Młody artysta przegrał 12,000 franków, ale i on nie pokazał wzruszenia. Odwrócił się jakby chciał odejść; w kilka chwil zachwiał się, i upadł na podłogę. Szkarłatny strumień płynął z jego piersi, utopił sztylet w swém sercu.

Gra została przerwaną; wszyscy cisnęli się koło nieszczęśliwcgo. Znaleziono przy nim list który przed kilku minutami napisał. Na wierzchu było napisane: A Mme, Vernon, rue des Beaux Arts, Nr 8. tak zaś brzmiał:

„Droga Marjo!

Dziś twój Karól był szczęśliwym! odegrał to, co poprzednio przez swoję okropną namiętność postradał. Nie będziesz już cierpiała niedostatku. Mamy teraz dość aby uczciwie nasz dom utrzymać.

Nie będę już grał, i martwił cię, ale powrócę gorliwie do pracy. Ten list uwiadomi cię o naszém szczęściu, bo ja wstąpię jeszcze do któréj modniarki, kupić co dla ciebie. Chcę cię jeszcze raz chociaż zobaczyć wesołą, pięknie ubraną. W krótce uściska cię twój szczęśliwy.

Karol."

## GOŚCINNOŚĆ WSCHODNIA.

W tych stronach gdzie obyczaje zachowały swoję pierwiastkową prostotę, pod namiotami tych błędnych nomadów bogatych w trzody, i szczęśliwych z niezawisłości, znaleść można zwyczaje patrjarchalne; tamto zdaje nam się, że widziemy Abrahama, zapominającego lat swoich i biegnącego naprzeciw wędrowników, z prośbą, aby nie gardzili jego mieszkaniem. W miejscach, gdzie tym sposobem wznawia się żywy obraz starożytnych obyczajów, podróżnik uprzéjmie przyjęty, błogosławi przywiązaniu tych ludzi do zwyczajów ich ojców, i wewnętrznie życzy, aby nieszczęście nigdy ich nie dotknęło, aby szlachetny gospodarz jego, nigdy nie potrzebował zawołać, jak Job

w pośród cierpień: „A jednak nigdy nie zamknąłem domu mego przed obcym, i drzwi moje otwarte były zawsze dla podróżnych.“

W istocie, wszyscy arabowie mogl by dziś jeszcze wezwać jak Job nieba na świadectwo ścisłego wykonywania tych szanownych przepisów; zwyczaje które im tylko są właściwe, sięgają tak jak ród ich, pierwszych wieków stworzenia. Podróżnik, po kilku wzajemnych oświadczeniach przychylności, ofiaruje mały jaki podarunek, zawsze przyjmowany z uczuciem religijném, kosztowny dar uważany byłby za obrazę i nie przyjęty. Jeśli w ciągu długiéj podróży, ogołocił się już z zapasu drobnych płodów swego kraju, podaje wtedy przy powitaniu, kwiatek albo gałązkę urwaną o kilka kroków od domu. Tęn czyn jest wyrażeniem prośby o gościnność, i zawsze bywa zrozumianym. Domownicy, dzieci, gromadzą się około *Mussafira* (tak się po arabsku zowie gość), myślałbyś, że z ust jego usłyszéć mają najweselszą wiadomość, wszyscy cieszą się jego obecnością, i może być pewnym, że nie zaniedbają niczego, coby mogło uprzyjemnić mu jego tam pobyt.

Powinnością jest gospodarza zatrzymać podróżnego przynajmniéj przez trzy dni, najtuczniéjsze jagnię powinno być dlań zabite. Mussafir pierwszy bierze z półmiska, i podług powszechnego zwyczaju, on czyni honory przy uczcie, i podaje pierwszy kąsek, temu który go w swoim do-

mu przyjmuje. Gospodarz dziękuje mu za to że dom jego wybrał, i wróży sobie z tego pierwszeństwa wielkie szczęście na przyszłość.

Nawet Arabowie Beduini, zawsze gotowi do grabieży, nie złączeni żadnym węzłem z innemi narodami, bez litości łupiący karawany napotkane w pustyni, i z dobytym mieczem ścigający za wędrownikiem, który na ich widok ucieka, ci dzicy wojownicy, którzy utrzymują że mają prawo siłą odbierać starożytne dziedzictwo niesłusznie wydarte im w osobie Izmaela, zdają się nagle, przez zadziwiającą sprzeczność zapominać swego charakteru, dla dopełnienia praw najszlachetniéjszéj gościnności. Żaden z nich nigdy nie opuści obcego którego w dom swój przyjął, cała rodzina zginie raczéj w iego obronie, aby się uchronić od hańby jaka by okryła tego, kto pozwoliłby skrzywdzić swego gościa. Pod opieką tego świętego imienia, podróżnik przechodzić może w pośród najdzikszych hord, bo jego tarczą jest honor i religja. Niepodobna żeby Arab zdradził nieszczęśliwego, który się pod jego dach schroni, albo dotknie brzegu jego szaty.

# NAJNIESZCZĘŚLIWSZY.

## SONET.

Szczęśliwy, kto nie łudzon nadzieją fałszywą,
Czyta w oczach swéj lubéj szczęścia zapewnienie;
Komu każde wielbionéj istoty spojrzenie,
Pożądanéj przyszłości, wróżbą jest szczęśliwą.

Szczęsny, kto obudziwszy miłość czułą, tkliwą,
Chociaż mu przeciwności stawia przeznaczenie,
W przyszłości widzi życzeń swoich dopełnienie;
Uzbrojony miłością silną, bo prawdziwą.

I ten szczęsny, kto zmienną koleją miotany,
Chociaż go płonny tylko cień nadziei łudzi
W marzeniu spełnia życzeń koniec pożądany.

Lecz kto płonąc miłością, któréj nic nie studzi,
Widzi tę przepaść co go dzieli od kochanéj; —
Ten podług mnie, od wszystkich nieszczęśliwszy ludzi.

# SPIS RZECZY

## W TOMIE TRZECIM ZAWARTYCH.

---



---